

... archipelagi ...

Zbigniew Kruszyński

Kurator

**Zbigniew Kruszyński**

KURATOR

**w**  
ydawnic  
**a**  
two **b**

2014

Jeszcze jedno potrafiłem dobrze: spać. Za dobrze, kładłem się przed północą, wstawałem o dziewiątej, nawet o dziesiątej. Nad ranem budził mnie pęcherz, z trudem opróżniany. Potem znów zasypiałem, z podwojonym zapalem. Potrafiłem też kłaść się w ciągu dnia i spać jak zwierzę, kot, pies albo waran. Nigdy nie opowiadam snów, nie ma nic nudniejszego. Nie chodziło o sny, chodziło mi o sen. (Śnił mi się pogrzeb samoobsługowy. Wchodziłem do rodzinnego grobu, dobrze znany cmentarz. Zamykałem się od środka, łykałem garść tabletek. Niezły sposób, by usunąć się dyskretnie, nie absorbując nikogo, lekarzy czy grabarzy).

Mogłem pojechać do obcego miasta, po krótkim spacerze wrócić do hotelu, wypróbować prysznic i ręczniki, białe, z lekkim zapachem chloru. Chloru, nie chloroformu, jednak mnie usypiał. Wiesziałem na kłamce karton: proszę nie przeszkadzać. Zaciągałem grube zasłony, jak w kinie. Spać. Spać na cały świat.

Kiedy wreszcie jakoś się wybudzałem, po dwóch kawach, mocno parzących wargi, kawa jakakolwiek, byle wrzątek, byle sparzyć język, który stawał kołkiem, wstawałem, włączałem laptop – zasypiał zawsze równolegle ze mną – i zaczynałem szperać po omacku.

Odpowiadałem zdawkowo na maile, domagały się przecież zdawkowości. Czy ktoś pisze wylewne maile, epickie esemesy? Wylewne zawsze lądowały w koszu. Opróżnić kosz? Tak, zanim zapleśnieje. Sprawdzam przelewy. Sprawdzam jakieś akcje. Sprawdzam stan konta i aktywa wolne. Natarczywie domagają się działania.

Przechodziłem na strony pod hasłem: sponsoring. Były coraz obszerniejsze i bardziej zachłanne. Wszyscy domagali się gratyfikacji, podbijali stawkę. – Nie myśl, że możesz mnie mieć za średnią krajową – ostrzegła szatynka na tle mola w S. – Molo w S., plaża, rozkładany tapczan, różne wersje kaloryferów oraz konwektorów, kabiny prysznicowe, szczyty łóżka, pościel, wielbłądy, piramidy, fotele lotnicze – taki był stały repertuar tła. Średnia krajowa wynosi trzy sześćset, osiemdziesiąt procent jej nigdy nie osiągnie. Za parę spotkań w miesiącu to nie było mało. – I masz mnie na

wyłączność – zapewniała szatynka, proste włosy do ramion zasłaniały pół twarzy, naturalnie, bo na molo wieje. Ale w mailu załączy jakieś zdjęcie flauty. Na wyłączność? Po kilku dniach w miesiącu? Bardzo ograniczony wymiar czasu pracy. Co będzie robić w pozostałe dni? Tęsknić. Usychać z żalu. Czekać na telefon.

Kobiety kazały sobie płacić za gotowość. Są. Czekają. Dyżurne. Strój wyjściowy. Pachną. Czy zdajemy sobie sprawę, ile to kosztuje? Kostium, buty, bielizna, torebka niepodróbka. Tego nie da się kupić za średnią krajową, jeśli wszystko policzyć, jeszcze na tym tracą. Nie będą się spotykać z kimś, kto ich nie ceni. Ale – powtarzają, wklejając ustalony jednolity tekst – są otwarte na twoje propozycje. Studentki potrzebują na chesne i stancję. Studentki stanowiły połowę ogłoszeń. Młode, ambitne, znające języki. Dobrze jest inwestować u progu kariery. Nie jesteśmy profesjonalistkami – zapewniały chórem. Sponsoring należy do sportów amatorskich. Chcesz zawodowstwa, zadzwoń do agencji.

Przed studentkami była mała grupa licealistek sprzedających cnotę. Mogłyby ją stracić gratis, pozbawione dobrego biznesplanu. Miały kilka okazji, dyskotek, domówek. Rozochoceni rówieśnicy nabierali śmiałości na ogół już po drugim piwie. Bywało, że pod kluczem w toalecie zmuszali je do innych czynności. Oralnych, ale one się nie liczą. Można wypluć albo zwymiotować. Przez usta jeszcze nikt nie stracił cnoty, nawet przeklinając. Gorzej, że pod wpływem internetu pchali się też do badań *per rectum*. Nieprzyjemnych, bolesnych, całkiem niepotrzebnych. Jednak – gotowe są dostarczyć stosowne zaświadczenie – nienaruszających cnoty jako takiej. Która kosztuje. Cena wywoławcza? Dziesięć tysięcy. Raczej okazyjna, jeśli policzyć te lata wyrzeczeń.

Otwieramy nowe okno, szkolne. Gdzie podziewa się nasz pierwszy raz? W liceum, u niej w domu, w bloku. W małym pokoju wyklejonym plakatami. Na wąskim tapczanie z narzutą – pamiętam ją dokładnie – cepeliowskie paski, lekko nas drapały. Nikt nie pomyślał, by wyciągnąć pościel. Tego dnia nie poszliśmy do szkoły. Leżeliśmy bez życia, posklejani potem. Lekcje mijały z wyłączonym dzwonkiem. Śpimy, jak nie przystoi pierwszy raz kochankom, których budzi nagłe szczęknięcie drzwi. Mama

wróciła wcześniej, zwykły klasyczny powrót, zaskakujący przestępców *in flagranti*. – Jesteś? – wołała ostrzegawczo z kuchni (dostrzegła moją kurtkę w przedpokoju). Rozdzielili szybko ubrania na podłodze, splątane gorzej niż ich właściciele.

– To jest Paweł – powiedziała Ewa. – Pomaga mi w fizyce – prawie nie skłamała.

– Paweł -emski – przedstawił się korepetytor. Bardzo mu przyjemnie.

To z Ewą trwało niemal do matury. Tyle przedmiotów wymagało powtarzania. Spotykali się codziennie, w szkole, po szkole, czasem zamiast szkoły. Wielkie sumy nie wchodziły w grę. Byłe starczyło na napój jabłkowy z zastępczą etykietą, w brązowej butelce. Wypijało się na miejscu, bez zastawu. Dla Ewy mleko, w butelce litrowej, ze srebrnym kapslem albo nawet złotym, pod którym, jeśli nieoszukane, gęstniała śmietana.

– Zatrujesz się, zobaczysz, to trzeba przegotować. – Ewa wychylała przed sklepem pół butelki. Wierzchem dłoni ścierała białe wąsy.

– Zostaw – starał się ją powstrzymać – dodają ci urody.

Apostrofy do mleka przed pasteryzacją wydają się dziś mocno naciągane. Czekanie na mleczarza jak na zbawiciela. Sakralne rytuały odstawiania na zsiadłe. Nostalgiczne bakterie, flora płytkich wspomnień. Można przecież kupić jogurt, zdrowszy. Albo od razu jakieś probiotyki.

Spotykali się codziennie, nie mając gdzie się schować. U niego odpadało, zawsze ktoś był w domu. Dziadek, gosposia, brat i jego wścibscy kumple – zaraz by roznieśli. Do niej sprowadziła się przyzwoitka ciotka, ni gdy nie było wiadomo, na jak długo wychodzi. Najgorzej zimą, zmarznięci i zmoknięci tułali się po mieście, wstępując do kościołów. Zaszywali się w bocznej nawie, pod bocznym ołtarzem, z ust, kiedy je na chwilę od siebie odrywali, szła para, zalepiając Ewie okulary. Zdejmował je ostrożnie i kładł na ławce obok. Nic więcej nie dawało się obnażyć.

Wiosną ojciec Ewy dostał talon na samochód. Dużego fiata w kolorze beżowym. Nowy samochód nie może stać pod blokiem. Rdzewieje, dobierają się do niego kolekcjonerzy części. Kiedy ukradli wszystkie cztery koła, zostawiając samochód na ceglach jak na podmurówce, rodzice Ewy wynajęli garaż. Obskurny ciasny garaż śmierdzący benzyną, postawiony na

dziko kawałek od domu, przy ogródkach działkowych, obok innych przykładów odważnej samowoli budowlanej. Ciężkie metalowe drzwi z masywną chińską kłódką chowaną w przyspawanej rurce, trudną do obciążenia. Od środka zamykały się na haczyk.

Samochód cały tydzień stał w garażu, używany tylko w soboty i niedziele do rodzinnych wypadów za miasto. U ślusarza dorobili sobie komplet kluczy i wreszcie mieli stałe miejsce schadzek. Ciasne wnętrze auta ograniczało ruchy. Nie było foteli rozkładanych dla śpiochów i kochanków. Musieli zadowolić się tylną kanapą, z pikowanego brązowego skaju. Na udach odciskał swój wyraźny wzór.

Któregoś razu we wstecznym lusterku zobaczyli jasny fragment nieba. Drzwi do garażu musiały otworzyć się z haczyka. Może za bardzo rozbujali fiata, który ledwie się mieścił, tak że tylny zderzak zostawiał raptem parę centymetrów światła. Za samochodem stali już młodociani fani motoryzacji i zapuszczali żurawia do wnętrza.

Wróciłem do ogłoszeń, sprawdzałem najnowsze. Po co się poddawać dawnym uniesieniom, zastygłym spazmom, historycznym wzwodom. Zdjęcia były fragmentaryczne albo niewyraźne, z odwróconą albo zasłoniętą twarzą. Szybko skreśliłem samotne matki z dzieckiem, które szukają tutaj alimentów. Myśl, że miałbym być ojcem – chyba raczej dziadkiem – nie odjęła mi lat ani zmarszczek. Mógłbym wpłacać na fundusz alimentacyjny, byle dzieci zostawiły mnie w spokoju. Starzy ojcowie są karykaturalni, infantylni, seplenią, nie trzymają moczu. Sześćdziesięcioletni pisarze, którym w dowód potencji urodził się synek Antoś. Nie oszczędzą nam jego dorastania. Pisarzy powinno się sterylizować, są zbyt płodni, plemniki i idee tylko krążą wokół, wszędzie szukają dogodnego celu.

Z większą uwagą przyjrzałem się mężatkom. Nie chcą wnikać w moje prywatne życie. Czyli to, co będą ze mną robić, nie należy do życia prywatnego? I dlaczego mam płacić pięć tysięcy – taka była ich przeciętna stawka – za czyjeś nieszczęśliwe pożycie? Byłoby sprawiedliwiej, gdyby finansowali to mężowie, najwyraźniej niespełniający zadań. W ogłoszeniach mężatek tkwiło coś intrygującego. Nie obiecywały przyszłości – która może oznaczać tylko katastrofę – nie chciały nam towarzyszyć w podróży służbowej, uczestniczyć w kolacjach, spotkaniach biznesowych, wakacje raczej nie wchodziły w grę, nawet na wyspach, nawet Malediwach. Niewnikanie w życie prywatne miało się ograniczać do spotkań w hotelu, dyskretnych, *incognito*, najlepiej przed południem, kiedy mąż jest w pracy, a dzieci się uczą. Żadnych esemesów ani telefonów. Czasami może jakiś lekki lunch, przyniesiony przez kelnera na górę do pokoju.

Co do istoty sprawy, obiecywały wrażliwość, niedocenioną w małżeństwie, doświadczenie, zrozumienie potrzeb (*rimming*). Które tamten notorycznie lekceważy, mimo że sypialnia jest za darmo.

Na przeciwnych pozycjach stały, w luźnej pozie, kandydatki aspirujące do wyłączności. Będą spotykać się z jednym mężczyzną, dyspozycyjne, na każdy telefon, ale oczekują przy tym wzajemności. Taki układ, symetryczny, obopólny, chociaż zasilany jednobiegunowo. – Szukam jednego na układ –

tak się to formułuje.

Były też ogłoszenia – pod modnym hasłem: inne – które znalazły się tu przez pomyłkę. Ktoś prosił o pieniądze na leczenie syna. (Anons sprzed roku: choroba przewlekła). Ktoś za doładowanie konta chciał się za mnie modlić, nie precyzował, w jakiej sieci i kościele. Ktoś kompletował ekipę na warsztaty buddystów; czy buddyści czytają takie ogłoszenia? Kilka sekretarek potrzebowało szefa, który będzie je regularnie molestował. Pewnej inwestorce brakowało jeszcze paru tysięcy, żeby dopiąć interes, z niebotycznym zyskiem.

Długo nie mógł się zdecydować, do kogo napisać. Jeszcze raz przeglądał galerię zdjęć, które obiecując wiele, mało pokazywały. Czyjeś plecy, piersi, odsłonięte udo. Twarz zasłonięta włosami albo wymazana. Albo widoczna, nie wiadomo czyja, anonimowa, może z katalogu. Katalog twarzy – facebook – podnosił obroty, nawet Kościół się do niego włączył. Z rozpaczy przeszedł do działu męskiego, zobaczyć, w jakim doborowym towarzystwie się obraca.

Właściciele, prezesi, zarządcy, inwestorzy. Prężni, dynamiczni, obyci, zajęci. Najzupełniej normalni, tylko w nawale pracy nie wystarcza im czasu na życie rodzinne. Szukają kobiety reprezentacyjnej. Która będzie umiała się równie dobrze znaleźć w sytuacjach intymnych, jak i *pro publico bono*. W hotelu, podróży, klubie, przy wystawnym obiedzie. Musi się dobrze ubierać i rozbierać. Musi mieć chemię. Nawet petrochemię – tabela wymagań była coraz twardsza, bardziej kamienna, bardziej przemysłowa. Plus aktualne badania – tu następowały skróty groźnych chorób przenoszonych drogą.

Ale czeka ją słodkie życie, kolacje i kurorty, prezenty, kosztowności, głębokie dialogi. Obcowanie z kimś wyjątkowym, hojnym i wydolnym. Górna półka zajęta przez piękne kapelusze. To chyba nie jest o mnie? – zachnął się czytelnik i aby zyskać na czasie, przeszedł na inne strony, dla odmiany: sponsoruje pani. Tu było zaledwie kilka propozycji, w większości nieaktualnych, mocno przedawnionych. Jakaś trzydziestolatka zapraszała go na sylwestra, sprzed czterech lat, w ten sposób młodniejemy. Chętnie by poszedł, odbierał i składał życzenia obcym alkoholikom, popijał fałszywego szampana, już nieco zwietrzałego. Tańczył w grupie, pompując przy



niewidzialnej studni. Słone orzeszki wchodziłyby mu nieprzyjemnie w plomby.

(Jak spędził wtedy sylwestra, gwoli dokładności? Chciałem go po prostu przespać. Położyłem się godzinę przed północą, włożyłem korki do uszu. Obudziło mnie przytłumione strzelanie, jakby front się przesuwiał gdzieś dalej).

Jakaś Maria chciała, by na weselu kuzynki odgrywać rolę jej narzeczonego. Niewykluczone, że jeśli zaiskrzy (chemia organiczna), to mogą się też przespać. Spać potrafię sam nie najgorzej – uciał narzeczonego.

Pozostałe kobiety szukały partnerki, mężczyźni niech nie zapychają skrzynki. Najchętniej młodszej i niedoświadczonej. Która dopiero zrozumie, co traci, oddając się płci przeciwnej. Szkoda, chętnie wcisnąłby się na trzeciego. Gwoli sprawiedliwości mu się należało, tyle razy pomawiano go o zniewieściałość.

Nic tu jednak nie wskóra, wrócił na stronę główną. Dziesięć tysięcy kobiet żądało jego pieniędzy. Jeśli miałyby być – powiedzmy – dwie średnie krajowe, to w ciągu roku zebrałyby się niezgorszy kapitał. Można by kupić pakiet. Na przykład rafinerii. Byle nie Możejki. A gdyby tak opodatkować te transakcje, zmniejszyć deficyt budżetowy? Fiskus się wtrąca i domaga swego przy daleko mniejszych obrotach.

Ograniczmy się – tak będzie najrozsądniej – do najnowszych anonsów. Jeśli ktoś szuka miesiącami, znaczy, że prawdopodobnie wymaga zbyt wiele. Jest wybredny albo kompletuje klony na skalę przemysłową. Cały czas zapewniając, że chodzi o jednego.

Odrzućmy jeszcze studentki i kandydatki najmłodsze. Nie żeby miał tu jakieś zahamowania, mężczyźni w pewnym wieku, rzecz smutna i żalсна, tracą zainteresowanie dla swoich rówieśnic i zgrabnie przeskakują o dwa pokolenia. Bał się jednak wstydu przy formalnościach w hotelu, podejrzliwych pytań recepcjonistki, czy córka ma na pewno to samo nazwisko. – Humbert? Dwa razy Humbert?

Szukał gdzieś przed czterdziestką, ale z podejrzeniem, że trochę zaniżają wiek, więc może znajdzie kogoś po i w ten sposób zmieszczą się dla przyzwoitości we wspólnej dekadzie.

Anna, trzydzieści dziewięć lat, dwa zdjęcia odsłaniały tylko trochę skóry na ramieniu – wiarygodnej dermatologicznie, piegowatej – i włosy, założone za ucho z prześwietlonym kolczykiem, proste, opadające do ramion (bo gdzie miałyby opadać?). Lśniące, kolor marchewkowy, bardziej chyba jednak od szamponu niż diety.

Hej – skreślił, droga Pani – skreślił, droga Anno, przeczytałem Pani ogłoszenie i pomyślałem, że powinienem chyba odpowiedzieć. Ja także lubię kolacje i czerwone wino, długie romantyczne spacery, chętnie wzdłuż wybrzeża, operę niemydlaną i teatr. Niestety, nie czytałem Paulo Coelho. Tak, jestem jak najbardziej konkretny, abstrakcja jest źródłem wszelkiego zła i nudy.

W każdym dziale marketingu wiedzą, że respons nie jest równy zapytaniom, więc dla pewności postanowił napisać jeszcze dwa zgłoszenia.

Daria była szatynką, włosy są niejadalne, ale ich barwy pochodzą od owoców. Wysoką, zgrabną, wydepilowaną (uprzedzała wypadki). Podobnie jak my wszyscy, nie lubiła nudy. Zapracowana, chciała się oderwać. Wygląd nie pozostawi nikogo obojętnym, gwarantowane. Długie nogi w rajstopach (ma pani bardzo zgrabne rajstopy – chciał w pierwszej chwili napisać), dodatkowo sztukowane obcasami. Biust – miseczka C, nie wiedział, co to znaczy, ale brzmiało obiecująco, pożywnie.

Natalia była młodsza, na pewno nie odpisze. Wszystko zważyło się jej na głowę, już nie wie, co robić. Zdjęcie nie potwierdzało niewiedzy, twarz, tym razem odkryta, uśmiechnięta, promieniowała spokojem (raziło w oczy, musiałem zmniejszyć o stopień jasność ekranu), należała raczej do doradcy finansowego niż kogoś, komu w końcu miesiąca brakuje na spłatę. Niewykluczone, że z zemsty Natalia zamieściła na swoim profilu zdjęcie pani z banku. Bluzka była zapięta aż pod samą szyję – a powinna być rozchylona – włosy też upięte wysoko, zaczesane, gładkie. Makijaż bardzo dyskretny, szminka – albo ślina? – z lekkim połyskiem w naturalnym bladym kolorze, wystające kości policzkowe z rumianymi plamami od – trzeba by to sprawdzić – krwi (tętnicznej)? Rózu?

Odpowiedziała pierwsza. Nie, wcale nie przeraża jej różnica wieku, woli nawet starszych, doświadczonych, pewnych, nie ma o czym rozmawiać z

rówieśnikami. Chciałaby się spotkać jak najszybciej, koniec miesiąca się zbliża, kurs franka rośnie jak szalony, już boi się sprawdzać. (Może płacić jej we frankach, z konta w Crédit Suisse, które leży odłogiem?).

Umówili się nazajutrz w Monopolu, restauracja i od razu hotel, dla szybkich i konkretnych.

Przyszedł kwadrans przed czasem (wolę czekać, niż żeby na mnie czekano). Tak lubił, życie zyskiwało nagle sens i wektor. Tymczasem odebrał klucze i rozglądał się po sali, pustawej. W rogu siedziała para i kłóciła się zażarcie po kolacji, rozwodowa, niesponsorowana. W drugim rogu inna para romansowała, on odkładał nóż i w celach pokojowych głaskał ją po rękę z widelcem, na którym stygło mięso zatrzymane w pół drogi. Jakiś samotny sponsor nad piwem – prostata jeszcze mu pozwala na piwo wieczorem – rozłożył tablet, wolał aseptyczny świat wirtualny, mimo że wokół miał rzeczywisty, ciekawszy i hormonalny. Spod oka lustrowała go żywa konsumentka, bawiąc się serwetką, okruchy spadły jej na sukienkę, strącała je starannie, ale wciąż pojawiały się nowe, wszędobylskie jak łupież. Kelner przecierał szklanki białą ściereczką i patrzył na nie pod światło, jakby temu, kto zagląda do kieliszka, mogły przeszkadzać plamki po płukaniu. Mężczyzna coś uparcie przewijał na niewidzialnym ekranie. Kartkował bezszelestnie, bez papieru, bez kartek, enter, wciskał zawzięcie, enter, to mu podchodzi. Kobieta przegrała walkę z okruchami, wyszła do toalety, *exit*. Tych dwoje jest w separacji, ustalił obserwator.

Przypomniał sobie wklęsły czas po swoim rozwodzie. Puste mieszkanie, pozbawione sprzętów. Bolesną rekonstrukcję przedmiotów. Nie chciał odchodzić, nienawidził zmian, więc spakował walizkę jak wtedy, gdy wyjeżdżasz na kilka dni, zestaw obowiązkowy. Wynajął pierwsze lepsze dwa pokoje, dwa, żeby móc przechodzić z pustego do próżnego. Przez miesiąc nic nie zjadł w domu, nie miał naczyń i sztućców, apetyt też go opuścił. W plastikowym kubku popijał wodę z kranu. Czuł nieodpartą niechęć do nowego życia, kupował rzeczy jednorazowe. Koszule nosił do pralni, bieliznę prał w umywalce.

A potem przeciwnie, chodził do desy i szukał rzeczy używanych, wyślizganych. Kupił drogi serwis, który wyżywił kilka pokoleń, tu i ówdzie nieco wyszczerbiony, tym lepiej. Trochę mebli, starych, wysiedzianych, niekoniecznie stylowych. Jakiś zegar, który – nakręcany – podtrzymywał następstwo epok. Przez chwilę zastanawiał się nad portretem przodka – nie

jego – ale pomyślałem, że to już może przesada, skoro go tu zostawili do wzięcia, na widoku publicznym, na ścianie, na pewno był tyranem. Zupełnie jak mój dziadek, po którym nic nie zostało, poza wspomnieniami.

– Przepraszam za spóźnienie – usłyszał i zobaczył jej wypielegnowaną rękę, odsłoniętą do łokcia, opaloną, paznokcie mignęły na czerwono, bransoletki zadzwoniły zachęcająco na powitanie. – Nie szkodzi, nic nie szkodzi. – Miała ciepłą, lekko wilgotną dłoń, z jaśniejszą, jak u Murzynki, skórą. – Nie zamawiałem niczego, czekałem, nie wiem, czy jest pani, czy jesteś głodna, czy wieczorem jadasz.

– Może coś lekkiego. – Siadła, założyła nogę na nogę, która się, zamiast skrócić, wydłużyła, lycra zaszeleściła metalicznie, kiedy bransoletki ucichły. Studiowała kartę w miękkich, wатовanych okładkach, w restauracji jadłospis zastępuje dialogi.

– Apéritif? – O, tak, niech będzie, i może z lodem, lepiej coś trzymać i grzechotać kostkami, kiedy ręce poszukują zajęcia, a cisza zaczyna doskwierać.

Była ubrana odważniej niż na zdjęciu. Tym razem szary kostium zapinał się raptem na jeden guzik, poniżej piersi, odsłaniał dekolt przekreślony w poziomie czymś czarnym i błyszczącym w charakterze zasłony. Spódnica do pół uda była, jeśli komuś za mało, dodatkowo rozcięta i odsłaniała uciekający ku górze esflores, zgadnijcie, wzór na rajstopach czy pod nimi tatuaż. Buty nie wiadomo jak się trzymały na nodze, jeden spiralny pasek obejmujący kostkę. Makijaż był inny, wyraźniejszy wokół oczu, a bledszy na policzkach, szminka mocno czerwona, ale nie zostawiała śladu na kieliszku, ku zadowoleniu kelnera. Jeśli dziś miałyby być doradcą finansowym, to raczej na rynku opcji i derywatów, papierów większego ryzyka.

Miło, że przyszła, bo do końca nie wiedział, internet służy raczej do zakładania pułapek na ludzi. Tak, ona też się parę razy nacięła, ale przecież wymienili dwa maile, to pewniejsze i bardziej osobiste, z adresem. Nawet jeśli ten lewituje gdzieś w sieci, niedostępny chyba na piechotę. Nie wiedział, czy go rozpozna, bo zdjęcie, prawdę mówiąc, miało już parę lat na karku, którego zresztą nie widać, tylko zarost, a u góry, przeciwnie, początki

łysiny. Nie miała tu, zauważmy, wielkiego wyboru, między nim a kelnerem, ale kelner był młodszy i bez okularów, i przecierał kieliszki, więc wybrała jego (gdzieś zniknął facet nad tabletem). Nie żałuje? Nie, czemu, zresztą zobaczymy.

Przez chwilę jedli w milczeniu, trzymała nóż inaczej niż większość, między palcem wskazującym a kciukiem, jak długopis.

I jak to sobie wyobraża? Trudno wyrokować, ale mogłaby się pojawiać tak dwa razy w tygodniu, tysiąc złotych za każdym razem naprawdę ją ratuje. Dopóki mu się nie znudzi.

Dlaczego miałyby się znudzić. Pomyślałem z ulgą, że raz, dwa razy na tydzień zniósłbym czyjąś obecność.

Ale często byłby skłonny płacić tysiąc za wieczór, byle tylko zostawiono go samego. Uniknąć wspólnych kolacji, nakrywania, rozmów, stanowisk przy stole. Komentowania wina, czy ma długi posmak. Oglądania telewizji, filmów, w których trwają pościgi albo dialogi. Czekania, aż zwolni się łazienka z obietnicą odosobnienia. Ustalania czegośkolwiek na przyszłość, co kto kupi i kiedy wróci, nigdy. Owszem, przy kawie brakuje kogoś (próbowałem go zastąpić gorącym mlekiem). Ale jak spędzić noc samotnie, a potem zjeść z kimś śniadanie? Chyba w hotelu. Dlatego lubię hotele: długie śniadanie wśród ludzi mających dzień przed sobą.

Właśnie, czy wezmą pokój? Zarezerwował dwójkę z wielkim łóżkiem niesłusznie zwanym małżeńskim, ale nic ich przecież nie obliguje, można anulować. Nie, dlaczego, przecież jest zdecydowana, konkretna. Na co mają czekać, już dość się nagadali przez internet. Dobrze, pomyślałem, rozwiążę kwestię wzoru na rajstopach albo tatuażu na udzie. Choć właściwie było mu wszystko jedno, lubił obydwa. Tatuaże były w modzie i coraz bardziej rozległe, zaczynały już przeszkadzać w rezonansie magnetycznym pacjentów, farby zawierały metale, interferowały, parzyły.

– Wezmę pokój na siebie, proszę poczekać – zaproponował. Tak będzie prościej, unikną niezgodności nazwisk i dowodów. I zapłaci za jedną osobę, dwójka jako jedyńka, pomyślał oszczędnie, nie mylić z harpagoństwem.

Dostał plastikową kartę zamiast klucza i wrócił. Niestety, nie da się nią płacić ani wyjąć gotówki.

Może jeszcze czegoś się napiją dla kurażu. Z nieśmiałości można popaść w alkoholizm. Likieru, żeby sobie osłodzić? Zamawiają cointreau, z lodem, czekają, aż stopnieje, aż likier zmatowieje.

W windzie nie było ciasno, zbyt widno i za krótko, żeby się zbliżyć do siebie. Lepsze są stare dźwigi analogowe, nawet jeśli w przystępie bliskości zgniatają pasażera.

Parę chwil zmagął się z zamkiem, wsuwał i wysuwał kartę jak skimmer, ale lampka świeciła na czerwono. Dopiero kiedy ją przekręcił zgodnie ze strzałką, coś pisnęło, zapaliło się zielone i klamka ustąpiła.

Jej język był ekspansywny, bardziej ruchliwy niż w dialogach przy stole. Szybko znalazł jego stare plomby, dwie dolne piątki, reagujące na gorąco i zimno, trzeba by może wreszcie pójść do dentysty, za jeden wieczór z Natalią mógłby załatać całą szczękę, rachmistrz szybko obliczył. Potykając się, dotarli do łóżka, ona szła tyłem na obcasach i robiła dziury w wykładzinie. Ściągnęli ciężką, ornatową narzutę i na białej pościeli zobaczyłem wyraźnie, że to tatuaż, biegł wyżej, ponad biodro, i na plecach łączył się z drugim, symetrycznym, dzieło strzeliste jak płomienny gotyk. Sprawdził farbę, nie rozmywała się, nie smakowała metalicznie, raczej słono, podobnie do innych miejsc, nietatuowanych. Jakimś cudem uporał się z zapięciem i piersi opadły o dwa piętra, próbował je formować, poddawały się miękko, materiał budowlany.

W pępku miała biżuterię, nie wiadomo, czy odziedziczoną po mamie. Bielizna była elegancka i nie wymagała ściągania, stosunki w ubraniu są bardziej wyuzdane. Urzędniczkom każe się przychodzić do banku w pończochach w środku lata, ale ten sam *dress code* przejęli operatorzy internetowych filmików. Nie zdjął jej butów, wygodnie będzie chwycić za paski. *Vero cuio*, przeczytał na podeszwie, chodzić tylko po suchym. – Jak dla mnie, to nie trzeba – powiedziała, patrząc, jak zмага się z celofanowym opakowaniem, i tak wymienili już płyny. – Ale będzie bezpieczniej. – Zębami przerwał celofan, wewnątrz były saszetki z trucizną na plemniki dla tych, którzy obawiają się potomstwa. Pomyśleć – pomyślał z trwogą – że ktoś mógłby się wrodzić. Wyjęła mu z rąk gumowe, zrolowane kółko, przytrzymała w ustach końcówkę, a resztę szybkim ruchem rozwinęła,

trochę go depilując.

Czy w tej sytuacji wypada przywoływać inne osoby? Z jedną partnerką uprawiać seks grupowy? Wywoływał je po kolei, kobiety znane z widzenia, spotkane raz, niedawno albo przed laty, bez litości dla chronologii, naruszając ich integralność. Finansista, często zaczynał od banku. Nierzadko rezygnował z operacji przez internet tylko po to, aby patrzeć, jak kasjerka za biurkiem zakłada nogę na nogę. Przechodził do drogerii, gdzie zaopatrywał się w środki plemnikobójcze, i podziwiał chłodną obojętność, z jaką ekspedientka bierze do ręki śliskie pudełko, przejeżdża nim przed czytelnikiem i podaje cenę, jak na truciznę, niewygodowaną. Niestety, nie zagrzeje miejsca przed kasą, bo kolejka, w której nie brak innych erotomanów, musi się posuwać.

W restauracji kelnerka wysuwała biodro w moją stronę i tak na chwilę zastygała, przyjmując zamówienie.

– Z frytkami?

– Tak, z frytkami, ale krwisty, nie wysmażony.

W środkach komunikacji miejskiej odbywał się nieustający nawet w korkach casting na pasażerkę. W pociągach intercity miejscówki stykały się łydkami.

Pod koniec, kiedy czułem, że koniec się zbliża, wracałem do Natalii. Widać ją było z góry, wysokość się zmieniała niewiele, jak przy robieniu pompek, i z trudem można było rozpoznać tę samą twarz, która tak nam się podobała – w pionie – w restauracji. Włosy leżały rozrzucone na poduszce, nie wiadomo, dokąd by sięgnęły spięte. Czoło zrobiło się szersze, nos utracił wypukłość. Oczy się powiększyły i patrzyły w niebo, w sufit, omijając obserwatora. Na skronie wystąpiły krople potu i wcale nie spływały. Czy dokonuję obdukcji? – pomyślał, pomyślałem. Pobieżnej, bo śmierć jest pozorowana. Natalia wydała z siebie westchnienie i zastygła, cała.



Skąd miałem pieniądze? O to samo pytał urząd podatkowy. Skąd obywatel ma na koncie. Środki dawne i bieżące.

Pot jej spływał po plecach i szukał zagłębienia. Znalazł dwa zbiorniki retencyjne w łądzwiach. Dobrze jest leżeć zmęczony po fakcie, po wydzielinach. Jeździłem jej palcem po ramieniu, szkicując łopatkę. Zasypialiśmy, wykończeni. Wierzę w pożądanie ciała i nieuleczalną samotność duszy, za Söderbergiem.

Skąd miałem pieniądze? Berga jest rozległym domem starców, podzielonym na małe domki na przedmieściu, wśród pagórków i lasów, sarny podchodziły pod sam taras co wieczór. Rzecz w tym, aby starcy byli samodzielni jak najdłużej, do grobu. Nikt nie opiekuje się rodzicami, zlećmy to pielęgniarzom. Tak więc opiekowałem się kilkoma domkami. Przynosiłem posiłki, sprzątałem, latem kosiłem trawę, zimą odśnieżałem. Gudrun była zamożną wdową. Zostawałem u niej po godzinach, pomagałem jej trochę w inwestycjach, to były dobre lata, bez trudu dawało się uzyskać kilkadziesiąt procent w skali roku. Uciekaliśmy przed podatkami, nie miała już nikogo, a zyski lepiej rozłożyć na dwie osoby. I tak miała zamiar zapisać mi połowę, a połowę zostawić jakiejś fundacji, która oczywiście chciała połączyć wszystko, nie wierzcie fundacjom.

Wytoczyli mi proces, pracownicy nie mogą przyjmować darowizn od pensjonariuszy, w ten sposób zapobiegamy otruciom. Ale ja nie byłem już pracownikiem, zwolniłem się zawczasu. Dla adwokata sprawa dziecinnie prosta, wystarczy ustalić daty. Miał tu łatwy zarobek, wliczyłem go w koszty.

Pod koniec tolerowała już tylko mnie i pielęgniarkę, a potem sam nauczyłem się robić zastrzyki. Poprawiałem jej poduszkę, uchylałem okno. – Tak? Trochę więcej? – porozumiewała się ruchami powiek. Zdobyłem starą

wodę kolońską, jakiej używał jej mąż przed ćwierćwieczem, chciała odnowić zapach. Kroplówka nie smakuje i nie pachnie.

Czytałem jej indeksy; Sztokholm, tu mieliśmy najwięcej, Londyn i Frankfurt. Nowy Jork, wczorajszy. Świetnie pamiętała notowania. Ostatniego dnia prosiła o owoce. Czereśnie. W środku zimy? Musiałem znaleźć importera w Kopenhadze. Potem wyjmowałem z nich pestki, bo bałem się, że połknie albo się zadławi.

Poprosiła o kosmetyki. Zrobiłem lekki makijaż, nie odmłodziła, ale uśmiechnęła się do lusterka, kiedy jej podałem. Umarła we śnie nad ranem, żadnych nekrologów. Kolumny cyfr są do wglądu w urzędzie podatkowym, tam fiskus jest przezroczysty.

To haniebne płacić za seks – za którymś razem zwierzyłem się Natalii, gdy inkasowała.

– Zwariowałeś? – zaśmiała się szczerze rozbawiona. – Przecież nie płacisz za seks, tylko za wszystko, czego nie musisz robić.

Czego nie musiałem? Doznawać głębszych uczuć. Nie wdychałem i nie słuchałem westchnień. Najpierw nie cierpiałem rozłąki, a potem oszczędzono mi przeprowadzek, kiedy wreszcie państwo młodzi się zdecydowali zamieszkać razem. Nie chodziłem na nauki przedmałżeńskie, niezbyt skuteczne, sądząc po rozwodach. Nie musiałem poznawać jej rodziców, matka nie patrzyła na mnie sceptycznie spod kapelusza. (– Chyba się zagalopowałeś, matka nosi czapkę). Ojciec nie oczekiwał, że będę mówił do niego: tato. – Macie fajny samochód, weźcie mnie na przejażdżkę – nie zaproponowała siostra, jeśli była siostra. Braciszek nie wspinał mi się na barana i nie kazał się wozić po ogrodzie, waląc mnie piąstkami po oczach.

Kiedy zachorowała, nie stałem przy jej łóżku, nie mierzyłem gorączki, skąd trzydzieści dziewięć? Nie martwiłem się o rokowania i czy antybiotyk nie zeżre jej flory bakteryjnej. Kiedy umarła babka, nie byłem na pogrzebie. Padało, cmentarz tonął w błocie, jak tu obrócić się w proch przy takiej ulewie. Ksiądz pokropił trumnę, po której spływało, sam przemoknięty. Grabarz się poślizgnął i zleciał do grobu.

W lipcu jechała na wakacje, nie odprowadziłem jej na dworzec. Morze jak morze, zimne, i śliskie wodorosty. Piach nie daje się wytrząsnąć z butów, a

woda, pomimo śmiesznych podskoków, z ucha. Któregoś popołudnia wypłynęła sama na niestrzeżonej plaży i już myślała, że nie zdoła wrócić, prąd znosił ją coraz dalej od brzegu. Gdyby się utopiła – pomyśl, niech pomyślę – to nie ja musiałbym rozpoznać ciało.

Nie wyjdzie za mnie za mąż, oszczędzi mi rozwodu. Nie będzie rzucać we mnie popielniczkami. Zastawa w kuchni zachowa integralność, ubrania pozostaną w szafie, a walizek nikt nie będzie spuszczał ze schodów. Alkohol można pić dla smaku, niekoniecznie z rozpacz. Dwa ośrodki w mózgu, na które działa effectin, pozostają nietknięte.

I to wszystko za tysiąc złotych.

Daria odpowiedziała po dwóch tygodniach. Przeprasza, ale mail się gdzieś zawieruszył. Nie szkodzi, zapewne dostała górę odpowiedzi, więc spokojnie poczekajmy na swoją kolej (aż tamte się okażą literaturą). Czy wyjechałaby z nim na trzy dni? Tak, w rubryce: zainteresowania, obok zdania, którego doskonałość podziwiał (lubię długie rozmowy na ciekawe tematy), wpisała krótkie: podróże. Umówili się na lotnisku, z należnym wyprzedzeniem.

Lubimy atmosferę lotnisk, bo przed zbyt szybkim lotem następuje błogosławione spowolnienie, czekanie na checkin, kolejka do kontroli, w której się niespiesznie rozbieramy, obowiązkowe godzinne błądzenie pośród sklepów wolnocłowych i barów. Daria się spóźniała. Przybiegła w ostatniej chwili, dwadzieścia minut po czasie. Korki, wszędzie korki, kiedy będzie wreszcie pociąg na lotnisko? Jej obcasy stukały natrętnie, podbiegała to tu, to tam, jakby zapomniała, z kim się umówiła.

Ze mną, ze mną, mężczyzną w słusznym wieku, sto siedemdziesiąt osiem centymetrów i osiemdziesiąt kilo. Przy kontroli straciła połowę kosmetyków, zabranych pochopnie, za późno, aby je nadać na bagaż, takie same stały za bramką w perfumerii, ale sprawdzone, nie wybuchowe. Straciła nawet pastę do zębów, w za dużym opakowaniu, trudno, umyje moją, ktoś, kto miał sponsorować, przynosi same straty. Dwa razy przechodziła przez bramkę. Bransoletka. Buty. Fetyszysta kontroler zlustrował jej smukłe stopy, rozmiar na oko czterdzieści. Jego biseksualna koleżanka kazała jej stanąć w rozkroku, przejechała dłońmi po piersiach, miseczka C, wreszcie wiem, co to znaczy, po biodrach i po pośladkach, zgrabnych, a na końcu po udach, wszystko to, co ja miałem zrobić, ale niepublicznie.

W lotniskowej drogerii odrobiliśmy część strat. Małe opakowania, droższe, do przejścia przez kontrolę. Można zmienić swój zapach i zacząć nowe życie.

Przed gatem czekała nas niełatwa operacja redukcji trzech sztuk bagażu – torby, torebki, kuferka z kosmetykami – do jednej, do czego wzywał ostrzegawczy głos z głośników: tylko jedna sztuka bagażu podręcznego,

damskie torebki, laptopy, reklamówki liczą się jako jeden, razem dziesięć kilo, nie więcej. Chyba powinni ważyć z pasażerem – popatrzyłem na grubasa zajmującego dwa fotele naprzeciwko. Jakoś się udało, zrobiłem miejsce dla torebki i kosmetyczki w plecaku. Obserwowałem desperackie wysiłki innych pasażerek, aby zmieścić dwa w jednym, co udaje się tylko w reklamach szamponu. Pewnie mógłbym jeszcze coś przewieźć – pomyślałem usłudze – podróże łączą ludzi. Tylko czy wśród cudzych kosmetyków nie ukrywały się środki odurzające (skoro tak na niego działały)?

To były tanie linie, ale wykupiłem miejsca numerowane, bo czasem tłok jest taki, że trudno znaleźć dwa obok siebie, jak w tramwaju, nie chciałem ryzykować separacji już na wstępie. Przy takich cenach można by właściwie kupować bilet, nigdzie nie lecąc, dla samej satysfakcji celu podróży, zasypiać w swoim łóżku ze świadomością, że wysłało się pusty fotel do Barcelony.

Pomogłem jej zapiąć pas, sukienka podjechała nieco do góry, odsłaniając kawałek uda. Miała te same rajstopy co na zdjęciu, czarny koncentrował się z boku, a w środku rozcieńczał. Przejechałem dłonią ruchem podpatrzonym u kontrolerki, upewniając się, że niczego nie przemyca, poza bielizną, którą zlokalizujemy później.

Przy starcie wziąłem ją za rękę prosto od manikiurzystki, moje krótkie wałkowate palce zacisnęły się wokół szlachetnie długich. Studiowałem profil na tle białych chmur za oknem, sugerujących, aby się położyć. Jeszcze trochę, jeszcze nie teraz, na razie można co najwyżej odchylić fotele, kiedy zgaśnie lampka. Nos był prosty, niewielki, niegogolowski, a piegi ledwo było widać spod pudru; czoło gładkie, bez zmartwień; oko nie wiadomo jakie, bo zamknęła powiekę lekko pociągniętą sadzą. Usta kończyły się łukowatą pionową kreską, jakby wszystko, co mówiła, wziąć w nawias. Czy coś mówiła? Nie, tymczasem będzie drzemać, nie wykazując drygu do dialogów.

Przed lądowaniem obudziły ją turbulencje.

– Jezu – szepnęła – spadamy.

Nie, to tylko powietrze się zagęszcza, a katastrofy następują na końcu, nie na początku.

Przylecieliśmy do Schengen. Europa dzieli się na dwa kontynenty, Schengen i nonSchengen, osobne wejście. Znowu szliśmy pośród sklepów i barów, zderzając się z tymi, którzy odlatują. Teraz już mogliśmy rozdzielić bagaże.

– Ale nie, ja poniosę – powiedział.

Żółtym lotniskowym ekspresem dotarli do centrum w dwadzieścia minut. Hotel z widokiem na wodę, za widok dopłata. Winda z windziarską muzyką, coraz powszechniejszy gatunek. Z okna widać było Nybroviken i kawałek Strandvägen. Zaraz pójda na spacer, zakochani turyści, pod rękę. Ale najpierw prysznic, weszli razem, ciśnienie jak z hydrantu, lustro zaparowało, rozmazując odbicie. Może lepiej tego nie widzieć dokładnie.

Namydliłem jej plecy, piana zaokrągliła kształty, i tak już krągłe, skóra nie stawiała oporu, zapraszając do ślizgów. Wciągnąłem wodę nosem i poczułem się jak na basenie przed laty, niewprawny pływak. Jej dłoń niebezpiecznie przyspieszyła, zakręciłem, nie lubię tego kończyć pod prysznicem, białko natychmiast się ścina w gorącej wodzie i grudki oblepiają włosy, potem trzeba je zdrapywać. Założyliśmy płaszcze kąpielowe, jeśli nam się spodobają, do kupienia w recepcji, sugerował kartonik wiszący na wieszaku jak cena, ktoś dawał do zrozumienia: nie kraść. Pozwoliłem jej założyć bieliznę, żeby mieć co zdejmować. Czarna koronkowa robota, prosimy rozciągać, tylko wtedy koronki nabierają kształtu i przejrzystości. Jak zwykle pobiegłem myślą gdzie indziej. Męskość, zauważmy, zyskuje w roztargnieniu.

Osiemdziesiąty drugi, dopiero pierwsza wiosna, ale już mam dosyć wielogodzinnych narad, na których rozstrzygają się losy związku i kraju, papierosy, dziwne, że nie gasną, bo przecież nie ma już tlenu, okna nie wolno otwierać, dzieci na trzepaku mogłyby podsłuchać, co się tu szykuje. Brody rosną coraz gęstsze i rudzieją, zatrzymują pianę i okruchy. Muszę wyjść, duszę się, za chwilę zdekonspiruję całe zgromadzenie tylko po to, aby się przewietrzyć.

Na szczęście dostaję adres, gdzieś na Biskupinie, mam iść po pieniądze, tak, pamiętam hasło, czy do kupienia są szczeniaki, jaka rasa, sznaucer. Wsiadam dwa przystanki od celu, pójdę wałem nad Odrą, forsycje kwitną już na żółto, jawnie. Rozglądam się, czy nie idą za mną osobnicy bez brody, ale za to jak najbardziej z wąsami. Nikogo, tylko dwóch chłopaków próbuje kijem coś wyciągnąć z wody, za daleko, żeby zidentyfikować.

Skrećcam w boczną ulicę dochodzącą do rzeki, w czasie powodzi chyba jej odnogę. Pukam jakkolwiek, nie było umówionego sposobu. Otwiera mi Martyna, jak się później okaże, pseudonim Anny. Czy się czegoś napiję, herbaty? – pytanie mnie nie zaskakuje. Tak, bez cukru, bo brakuje cukru, i bez cytryny, bo skąd by cytryny. Pieniądze ukryte są w wersalce, gdyby ktoś nie wiedział. Siadamy tuż nad nimi, Anna wylewa mi wrzątek na spodnie, nie wiem, czy specjalnie, ale gdzieś trzeba zacząć. Robi mi okłady z lodu, niepotrzebnie, bo jakoś wcale nie parzy. Ziębi, i kiedy nie mogę już wytrzymać, przekładam kostki jedną po drugiej na jej nogę, układają się w jęzor. Prostuję, układają się w zator. Wiosną lód spiętrza się przed mostem Osobowickim i trzeba go wysadzać, martwe ryby spadają już kawałek od brzegu.

Herbata stygła niedopita, to, co z niej zostało, skrzypienia wersalki nie tłumiły nawet banknoty. Anna się zapomniała – może też uciekała w roztargnienie – i przejechała mi paznokciami po oparzeniu, dopiero teraz zapiekło. Przez całą wiosnę i lato byłem skarbnikiem. Zgłaszałem się po coraz mniejsze sumy, rozkładałem je samowolnie na raty, żeby przychodzić częściej, niebezpiecznie jest nosić za dużo gotówki. Jesienią ją aresztowali,

w dzienniku pokazali wersalkę nadającą się do innych filmów i równe rządki banknotów, sami dołożyli trochę dolarów, bo to lepiej wygląda. Anna K., była pracownica uniwersytetu, oskarżona o nielegalną działalność, defraudację, przestępstwa walutowe.



Czy te pieniądze miały związek z Darią? Która właśnie kończyła w chłodnej hotelowej pościeli, na porządnym materacu hästens, z samych naturalnych materiałów, z tysiącem sprężyn, za trzydzieści tysięcy koron. Chyba nie, skrupulatnie się rozliczyłem, rozliczenia są w aktach. Jednak obieg pieniądza jest nieodgadniony. Z czasem część z nas skończyła działalność społeczną i zaczęła zakładać firmy, wolna konkurencja. Lepiej to niż piąć się mozolnie w jakiejś korporacji i jeździć na weekendy integracyjne konfiskujące prywatność. Ktoś założył bazę transportową, ktoś został deweloperem. Niewykluczone, że znał ministra infrastruktury, ale co to zmienia.

Każdemu wolno. Korupcja nie jest wszechogarniająca, a przetargi nie wszystkie są ustawione. Ktoś założył portal internetowy, gdzie spotkałem Darię. Można by właściwie sprawdzić, kto jest stręczycielem,

O trzynastej wyszli z hotelu i poszli nadbrzeżem. Przy Strandvägen były zacumowane stare łajby, przed każdą tabliczka z historią. Losy statków są lepiej opisane niż ludzi, i dłuższe. Właściciele jedli albo urządzali sjęstę po jedzeniu, leżeli na pasiastych leżakach. Na pokładzie stały doniczki z kwiatami i ziołami, na sznurach suszyła się bielizna. Życie niepełnomorskie w mieście, sielanka. Zimą przeniosą się do mieszkań, bo wszystko tu zamarźnie. Przeszli przez most do Djurgården, po prawej nad brzegiem była wypożyczalnia rowerów.

– Pojeździmy? – zaproponował.

Daria zdziwiła się, w korespondencji nie było mowy o rowerach. Wyjazd służbowy, kolacja, bankiet, rozmowy biznesowe, nawet kino i teatr, hotel, noc w hotelu, ale żeby rower? Nie wie, dawno nie jeździła, czy da sobie radę? Na pewno, tego się nie zapomina, raz złapana równowaga zostaje na całe życie. Ale dla pewności mogą wziąć tandem, na dowód, że stanowią dobraną parę. On usiądzie z przodu, on kieruje.

Pojechali obok wielkiego gmachu Muzeum, Skansenu, potem skręcili znów nad samą wodę. Właściciele willi z dostępem do plaży muszą zostawić jednak pas eksterytorialny dla pieszych i rowerzystów. Przyspieszyli, teraz brali udział w wyścigu, żwir strzelał spod opon i bębnił o błotniki, Daria coś

wołała, przekrzykując wiatr, nie mógł się odwrócić, ale domyślał się, że ma rozrzucone włosy i śmiech w oczach, szkoda, że nie widzi. Zziajani zatrzymali się na samym końcu półwyspu. Oparli rower, usiedli wśród kamieni na brzegu. Podpłynęły dwa łabędzie pytająco, nic z tego, nie przewidywali biwaku, nie wzięli kanapek. Sami też już zrobili się głodni, Daria miała pełne wyżywienie w kontrakcie.

– Wrócimy i coś zjemy – zaproponował.

– Poczekaj, odpoczniemy – odpowiedziała i zsunęła się bliżej wody.

Przyszła większa fala i ochlapała ją do kolan. Nie szkodzi, wyschnie, rajstopy wysychają błyskawicznie, jeszcze zanim zdążysz powiesić. Usiadłem niżej, obok niej, chciałem sprawdzić, jakie są w dotyku jeszcze mokre.

Wracali północną stroną, wzdłuż wąskiego kanału. Płynęły nim drewniane stare motorówki, jak przed wiekiem, na przemian z nowobogackimi z plastiku, w tych było coś kuchennego, jakby zanurzyć zmywarę. Darii podobały się jedne i drugie.

– Plastikowe są łatwiejsze w utrzymaniu i niezatapialne – trzeźwo zauważyła.

Zjedli w restauracji na pomoście, obok wypożyczalni rowerów. Coś tutejszego? Tak, słodkie śledzie w musztardzie, krewetki z jajkiem i kraby, do których trudno się dobrać. Mocował się dłuższą chwilę ze skorupą, przełknął, wywiązał się z kontraktu. I jeszcze mocna kawa przed sennym popołudniem. Gorące spienione mleko osobno. Nie wiedzieć czemu wydawało mu się, że sam je lepiej dozuje.

Co właściwie ją skłoniło? – spytał już w hotelu. Są inni, młodszy, atrakcyjni, jeśli wierzyć opisom, proponujący poważniejsze sumy.

– Ech, bajkopisarze, nie wierz – skwitowała z lekceważeniem.

Nie wie, sama nie wie, co ją ujęło w mailu, niby lakonicznym, ale jakimś innym, wiarygodnym, nieobiecuującym niemożliwego. No i zdjęcie, wprawdzie sprzed pięciu lat – zdradzała data w nazwie pliku – ale pomyślała, co ryzykuję: trochę więcej siwizny w zaroście, jeszcze obszerniejsze zakola, nieco nowsze oprawki? Nie, miał te same od dwudziestu lat, siła przyzwyczajenia, druciane, w pseudorogowych

obejmach, ze sprężynką za uszami, tak że dawało się w nich grać w tenisa i pływać.

A co ją skłoniło w ogóle, niekoniecznie do niego? Chyba nie spodziewa się jakiejś gruntowniejszej spowiedzi, nie wygląda na spowiednika. Niech wierzy albo nie, ale na tym portalu łatwiej spotkać kogoś dojrzałego, ustatkowanego, ma dosyć napalonych małolatów bez kasy. Poprzedni facet wpędził ją w beznadziejne długi, wzięli pożyczkę, na nią, bo miała wiadomą zdolność, a on ani stałej pracy, ani dochodów, potem wszystko wyciągnął, po co mu dawała upoważnienie, i zniknął, kamień w wodę, może przepuścić w kasynie, ale prędzej na dziwki – tu Daria ugryzła się w język, nie będzie ich oceniać. Dlatego woli czysty układ, konkretny, od razu zdefiniowany. Oczywiście, trafiają się też monstra, którym pieniądze wydrążyły mózgi. Kupują najdroższe wino, choć w smaku wystarczyłyby im głupi merlot. Co chwilę sprawdzają godzinę na breitlingu, zegarek to pieniądź. Nie kupują książek, bo za tanie. Gardzą nimi, nie podoba im się stosunek jakości do ceny. Brak stosunku. Każda powieść kosztuje trzydzieści złotych, niewiarygodne, niezależnie od tego, ile jest warta. A arcydzieła jeszcze mniej, w wydaniach szkolnych. Może powinni sobie zamówić powieść na obstalunek, jak buty u Kielmana.

– Tutaj by im się nie podobało – ciągnęła Daria – za mało jest różnic między biednym a bogatym. Milionerzy miesza się z tłumem i jeżdżą metrem albo na rowerze. Nawet bez przerzutki.

– Zwłaszcza bez przerzutki – dorzucił – ostatnio w modzie są te na ostre koło. – Przyjemnie było w relacji pekuniarnej oddać się krytyce finansów.

Może jednak poszliby do Sturegallerian, jest czynna do wieczora, to dwa kroki? Chętnie, ale nie musi jej nic kupować, naprawdę, ma zapas ubrań na kilka sezonów do przodu. – No nie, nie da się przewidzieć, na tym polega moda – zaoponował. Bardziej interesuje ją przebudowa tych starych kwartałów po pożarze, czytała w przewodniku, zawsze chciała studiować architekturę.

Poszli Biblioteksgatan, mijając sklepy z droższymi markami, nie dla bibliofilów, ale za to zaraz na początku galerii – wydrążonej w starych mieszczańskich kamienicach po pożarze w osiemdziesiątym piątym,

cytowała Daria – utknęli w księgarni Hedengrensa, konsumpcja intelektualna. Ona w dziale albumów ze sztuką i architekturą. Ja wśród wydań kieszonkowych, rzeczywiście kosztujących dokładnie tyle samo bez względu na zawartość. Całego Sebalda kupisz za dwa piwa. W świetnym tłumaczeniu. Kupiłem dobry wybór Gustafssona, *Århundraden och minuter*, a Daria kieszonkowy album Taschena, *Sztuka tatuażu*, może zrobi sobie jakiś gotycki.

Włóczyli się wzdłuż sklepów, nie mieli ochoty wchodzić. Jeszcze jeden krawat do kolekcji (nie noszę krawatów). Jeszcze jeden ciemny sweter w serek (ulubiony mundurek).

– Może coś z bielizny? – zaproponował.

– Daj spokój – powiedziała – nawet fetyszystom już wychodzi bokiem.

Usiedli w kawiarni z widokiem na Sturebadet. Pierwsza pływalnia była tu już w 1885 roku, a potem coś o secesyjnych dekoracjach.

Zrobiło się ciemno, może jakieś kino? Sprawdzili repertuar w telefonie. W promieniu kilku minut mieli pięć do wyboru, wszystkie stare i szacowne, żadnych multipleksów.

– Też nie lubisz multipleksów? – ucieszyłem się, odkrywając jeszcze jedną rzecz, która nas łączyła. W mieście, gdzie mieszkałem do matury, mieliśmy sześć kin, trzy wyrażały tęsknotę centralnej Polski do morza: Hel, Bałtyk i Mewa. To na pewno tam oglądałem *Bunt na Bounty* i *Tragedię Posejdoną*. Dziś nie ma już żadnego. Jest jeden wstrętny multipleks, śmierdzący kukurydzą i colą. Zdecydowali się na Zitę, obok, na Birger Jarlsgatan. Kiedyś to było kino pornograficzne, świat się sublimuje. Aby dochować tradycji, położył jej przynajmniej rękę na kolanie. Zakończenie było szczęśliwe, bohaterka, której amputowano obie nogi po wypadku, wraca do życia, znajduje sobie mężczyznę.

Zrobiło się chłodniej, mimo to znowu poszli nad wodę. Usiedli na zewnątrz, ale pod baterią rozgrzewających drutów, rozżarzonych do czerwoności. Lokalne ocieplenie klimatu, doliczą do rachunku. Na zatoce błyskały światła neonów i samochodów. Jak minął dzień? Pracowicie, zasłużyli na koniak. Po kolacji? Zamiast, Daria nie jadała po siódmej w trosce o linię. Gdyby jej poszło w biodra, zmarnowałaby się tatuaż, który

sobie zrobi, straciłby strzelistość.

Czy traktował ją przedmiotowo? Nie sądzę, prawdę mówiąc, nie bardzo wierzył w przedmiotowość w takich związkach, zawsze zostawała mu pewna kiczowata nadwyżka czułości i nostalgii, nie tłumili hormonów, ale czyniły je trochę mniej zwierzęcymi, trudno powiedzieć, z pożytkiem czy ze szkodą. Teraz w każdym razie siedzą na nadbrzeżu i niczym wyraźnym nie różnią się od pozostałych par tu siedzących, małżonków, kochanków, rodzeństwa i innych przykładów walki płci.

Tymczasem odezwała się Anna. Przeprasza, że tak późno, nie było jej w mieście. Nic nie szkodzi, lepiej rozłożyć to w czasie, inaczej zrobiłby się kongres kobiet. Zaprosił ją do siebie na kolację, już od południa sprzątał, zmieniał pościel, gorączkowo, jak przed pierwszą schadzką. Zamiast zamawiać catering, postanowił coś sam ugotować. Od rozwodu unikał posiłków w domu, przeżuwanie w pojedynkę jest przygnębiające i łatwo popaść w bulimię albo alkoholizm. Przez chwilę mu groziło jedno i drugie. Ale oto nakrywał dla dwóch osób. Obrął szparagi, wyjął polędwicę, zrobił zalewę według przepisu. Butelkę sancerre schował do lodówki, a nuitsaintgeorges otworzył, niech się dotleni. Umył wannę i ułożył stertę świeżych ręczników w harmonijnych kolorach. Znalazł świece, stare, spalone do połowy, ale tutaj niezbędne – przypomniał sobie, że Anna pisała coś o świecach. Najwyżej zapali je za pięć siódma, będzie wyglądało, jakby spaliły się przed chwilą. Wyrzucił stare gazety i włączył Bo Kaspers Orkester, swoją ulubioną.

Anna zadzwoniła punktualnie.

– Ostatnie piętro – powiedział – są tylko jedne drzwi.

Kupił to mieszkanie ze względu na widok. Widział rzekę i jej odnogi, Ostrów, parki, a z góry cmentarz i niekończące się ogródki działkowe, o które toczyła się walka między miastem a działkowiczami. Kiedyś na przedmieściach, teraz przesunęły się ku centrum, drzazga w oku deweloperów. Anna stała w drzwiach, wyglądała o dziesięć lat młodziej. Przysłała koleżankę – pomyślał w pierwszej chwili, lekko spanikowany, bo nie chciał spotykać się z kimś jeszcze bardziej nieznanym (mogę być z koleżanką, opcja do zaznaczenia w profilu, rozpałała wyobraźnię co bardziej towarzyskich korespondentów).

– Anna – wyciągnęła rękę i powiedziała, aby rozwiać jego wątpliwości.

Rzeczywiście, zgadzał się kolor włosów, choć marchew jakby ściemniała. Skóra na ramieniu tymczasem zasłonięta, ale piegi wychodziły na dekolt. Bluzka przypominała tamtą na zdjęciu, tylko miała odpruty kołnierzyk. Zdjęcia nas postarzają, pomyślał, choć z zasady powinny być młodsze.

Szparagi były lekko niedogotowane, a połówkę bał się zrobić tak krwistą, jak lubił. Wina okazały się za to bez zarzutu i powoli rozwiązywały języki.

W sierpniu, Panna, ale nie wierzy w znaki. Nie, raczej do restauracji, gotowanie jednej porcji jest marnotrawstwem. Do sosu? Zielony pieprz i musztarda. Kolor nakładany, naprawdę ma kasztanowe, więc nie całkiem kłamie, z czasem ten właściwy zaczyna prześwitywać. Miała, ale wyjechał za granicę na kontrakt i pojawia się raz na pół roku, jej potrzeby nie są ujęte w kontrakcie, więc próbuje połączyć przyjemne z pożytecznym. Tak, miał rodzinną przeszłość, ale to zostawmy na inną okazję. W kopercie są pieniądze, tak jak się umawiali, tysiąc, lepiej tę krępującą dla obojga część mieć za sobą. Nie, dlaczego, ona się nie krępuje. Świeca się dopalała do końca i skwierczała, następnej nie było.

Po co pyta, chyba nie spodziewa się wyłączności (za tysiąc złotych?). Owszem, było kilku, najgorszych pomyłków udało się jej odsiać na etapie korespondencji, ale i tak raz trafiła niebezpiecznie. Facet do rany przyłożył w sypialni wyciągnął jakieś zaawansowane przyrządy, nawet nie zdążyła dokładnie zobaczyć, coś metalicznego, szpitalnego, kojarzyło się jak najgorzej, porwała w biegu ubranie, drzwi wejściowe na szczęście dało się otworzyć od środka, od tej pory zawsze lustruje zamki, ubierała się już na klatce, nie pobiegł za nią, nawet nie zawołał, już nigdy się nie odezwał.

Kiedyś znów odwrotnie, jakiś skromny urzędnik chciał koniecznie, żeby mu zrobić krzywdę, do krwi, może powinna go była wysłać do tamtego. Teraz dokładnie wypytuje o preferencje, te cztery literki: bdsm, których nie umie rozszyfrować, potrafią być groźne.

– To chyba z angielskiego – mruknął w odpowiedzi.

Ale poza tym jest spokojnie, chociaż nie ma wielkiego doświadczenia, chyba nie sądzi, że jest profesjonalistką.

– Nie, skądże – skwapliwie zaprzeczył.

Nie ma nikogo na stałe, w te stałe związki z podtekstem finansowym, jak się je elegancko nazywa, nie bardzo wierzy, zanadto przypominają małżeństwo albo alimenty. Miesięczna pensja? Dlaczego ktoś miałby płacić głównie za nieobecność, to nie kasa chorych. Czy mogłaby zapalić? – Proszę, ja nie palę, ale mi nie przeszkadza. – Zaciągnęła się, trzymając

papierosa głęboko między palcami, po męsku.

Dobrze, może teraz on by coś opowiedział. Ja? Przecież cały czas opowiadam. Do ilu kandydatek wysłał ten sam list? Trzech, bo nie spodziewał się, że wszystkie odpowiedzą. Jak to sobie dalej wyobraża? W ogóle, przecież na tym to polega, leżeć, wdychać dym i nie musieć sobie wyobrazać niczego, nie sięgać myślą dalej niż pod prysznic. Który im się należał, bo pot wysychał i skóra kleiła się do skóry. Kiedy Anna wyszła do łazienki, sięgnął do jej torby, aby mieć chociaż jedną postać z dowodem osobistym. Anna N., wiek zgadzał się co do roku, zdjęcie nieprzypominające nikogo, adres, który nic mu nie mówił, chyba w blokowisku. Szybko schował i zapomniał, niech chroni nas anonimowość.



Nie bardzo potrafił, nawet gdyby chciał opowiedzieć. Nie wiedział, jak stoczył się w to miejsce. Wracał myślą do swoich dawnych związków, często nielegalnych, ale nie przygodnych, i szukał zadatków. W szkole podstawowej z nauczycielką. Czekał na nią po lekcjach, rezygnując z piłki, i odprowadzał do domu, dwadzieścia minut wolnym krokiem we dwoje. Czasami, już na schodach, w odosobnieniu, z zapachem zatechłej piwnicy, pozwalała brać się za rękę, pokochał ten zapach. Pobił się do krwi z Bolestą, który powiedział o niej coś niestosownego. Rówieśniczki nie mogły liczyć na jego przychylność, ale się nie mściły, o dziwo. Nikt się nie mścił, poza nauczycielem prac ręcznych, z którym dzielił obiekt adoracji. Chciał go zostawić na drugi rok w tej samej klasie. Wkrętak elektrotechniczny z rączką z polistyrenu zasługiwał na niedostateczny, ale inni nauczyciele go jakoś wybroniли. Wakacje były męką, jeździła gdzieś daleko na kolonie, jemu zabronione. We wrześniu czekał na nią pod klasą. Z Em ukrywali się przed jej mężem. Wpakowała się w to małżeństwo nie wiedząc po co i nie wiedząc po co w nim tkwiła. Nie mieli dzieci, w każdej chwili mogli rozejść się bez bólu. Co chwila patrzyła na zegarek, damski, nieczytelny, obliczała kłamstwa co do minuty. Spotykali się w jego małym studenckim pokoju na poddaszu, gdzie między łóżkiem a biurkiem był tylko wąski przesmyk, w sam raz na ubrania. Rozbierała się i ubierała z szybkością modelki, na którą czeka cała kolekcja strojów. Zdarzało się też, że robili to na wpeł ubrani, w półgodzinie wyrwanej z harmonogramu.

Któregoś razu udało jej się wyrwać dwa dni, coś na miarę przewrotu juliańskiego w kalendarzu. Pojechali do pensjonatu w Srebrnej Górze i przez dwa dni nie wychodzili. Ostatniego wieczoru poszli na spacer doliną wzdłuż potoku. Na mostku stał wielki jeleni i ani myślał odchodzić. Oboje wyobrazili sobie to samo. Skończyło się tak samo nagle i bez powodu, jak się zaczęło. On coś podejrzewa. Jak miałyby nie podejrzewać, skoro zawsze wraca punktualnie co do minuty i nigdy jej nic nie wypada. Musi go zdradzać konsekwentnie, regularnie, według harmonogramu.

Olęę poznałem w bibliotece, w przerwie na wietrzenie czytelnii.

Czytelnicy wychodzą, kurz z książek opada, na piętnaście minut otwiera się okna, aby przewietrzyć wyziewy myśli i potu. Stoimy na dziedzińcu albo na schodach. Trójklapowa winorośl zarosła całą ścianę i połowę drugiej. Pałacy palą papierosy, a niepalący wdychają. Magistranci wymieniają się bibliografią. Olga, niedotleniona – niedotleniona blondynka, z czarnymi pasmami włosów – nie będzie tracić czasu, coś pisze. Pisze nieprzepisowo, zwracam jej uwagę, teraz jest przerwa, tezy mają się przewietrzyć, przestań. Nie może, musi zdążyć na zaliczenie. Zaglądam jej przez ramię, nie wiedziałem – mówię – że staropolszczyzna jest czymś niecierpiącym zwłoki. Znajomość zawarta w bibliotece powinna się rozwijać bez pośpiechu, z należną retardacją, nic z tego, już wieczorem byliśmy w moim pokoju na Biskupinie. Nie, nie zostanie na noc, przecież ma zaliczenie. Ale do północy, owszem, powtarzamy sprośne wiersze Morsztyna. Olga mieszka w akademiku na Sępolnie. Tramwaje jeżdżą co godzinę, na taksówkę nam szkoda, odprowadzam ją ścieżką przy wale, teren zalewowy. W krzakach czają się zboczeńcy i kuny. Kiedy wracam, mleczarze już rozwożą mleko, kradnę jedną butelkę i wypijam połowę, na konto tego, kto dziś zapomniał wystawić pustą, mleko trzeba pić świeże. Spotykamy się codziennie na uczelni, w bibliotece dzielimy się egzemplarzem, Olga czyta trochę szybciej ode mnie i na końcu strony ma przerwę na jakieś dziesięć linijek, czeka, aż ją przerzucę. Zdajemy wszystko w pierwszym terminie, w *Rozłogach* mamy do czynienia z figurą pradoliny.

Wyjeżdżamy na saksy, przez wakacje zarobimy na następny rok studiów, może wspólnie wynajmiemy mieszkanie. Malujemy stary dom na wsi, na ciemnoczerwono, *faluröd*, z dodatkiem minii, doskonale konserwuje drewno. Okna na biało olejną, ale najpierw wydłubujemy stary kit i wciskamy nowy, wygładzamy nożem z odciętym czubkiem. Wieczorem kąpiemy się w jeziorze i łowimy ryby. Smażymy okonie nad ogniskiem, za dużo ości, milczymy.

Trzeba przełożyć dach na drewni, stare zlasowane karpiówki kruszą się i spadają, Måns zamawia nowe. Na weekend przyjeżdżają goście, pijemy Skåne akvavit do śledzi, tańczymy na pomoście. W ubraniach wpadamy do wody, wlewa się do nosa, sutki prześwitują przez mokry podkoszulek.

Czas wracać, liczymy korony, sporo, zaczynam się pakować, ostrożnie wkładam płyty zawinięte w karton, żeby się nie złamały. Wtedy Olga mówi: – Ja nie jadę. – Nawet nie próbuję jej namawiać, zrozumiałem to podczas weekendu, lepiej późno niż wcale. Kiedy wszedłem po korkociąg do kuchni, odskoczyli od siebie jak oparzeni, chociaż stali w drzwiach otwartej lodówki, gdzie chłodziły się butelki akwawity, zakręcanej na zakrętkę. Wróciłem – w takim razie – z Marzeną, w próżni nie polecisz.

Do śniadania nadal przeglądałem portale. Profile moich trzech interlokuterek wcale nie zniknęły, przeciwnie, były opatrzone pieczętką: podbite, aktualną, zieloną. W dalszym ciągu domagały się wieczorów nad lampką wina (co za słowo: lampka), spacerów, iskry lub chemii, długich rozmów na ciekawe tematy i trochę pieniędzy. Obok nowych ogłoszeń powracały stare. Ktoś nie mógł się zdecydować na kolor włosów, na jednym portalu był blondynką, a zaraz potem rudą. Ktoś gwałtownie podbijał stawkę. To, co jeszcze niedawno chciał zrobić za pięćset, dzisiaj kosztowało już tysiąc. W tym samym czasie na giełdzie odnotowano spadki. Ale czy w tym samym? Czas ogłoszeniodawczyń, podobnie jak tenisistek, jest ograniczony, nikt nie wytrzyma tu do emerytury (skąd emerytura?), i nikt nie startuje w tylu turniejach.

Większość to przecież amatorki, które chcą się ograniczyć do jednego.

Obecność tych samych anonsów przez wiele miesięcy dowodziła, że to nie funkcjonuje. Ktoś cierpliwy od roku oferuje seks oralny, chyba mu zaschło w ustach. Od roku czeka na wypłatę? Ktoś ponawia ogłoszenie, bo nie jest desperatem i ma zamiar czekać aż do skutku na kogoś szarmanckiego. Obok setek żeńskich anonsów wiszą setki męskich i obie połówki jakoś nie chcą się złożyć do kupy. Te niedostatki powinny w czytelniku obudzić myśl innowacyjną. Po co szukać każdego ranka na bezimiennych portalach, nad stygnącą kawą, wśród kiepskich zdjęć, ubranych, rozebranych, z nieostrą twarzą albo oczami przesłoniętymi czarnym prostokątem, jak u przestępcy, skoro można wyjść na ulicę i sprawdzać *in vivo*. Wystarczy nowa aplikacja w telefonie. Niech amatorzy, amatorki spotkań włączą ją, wychodząc z domu. Uruchamiałyby się dopiero w odległości kilku metrów od takiej samej – bratniej, siostrzanej – włączanej u kogoś innego. Nareszcie można by wykorzystać narzędzie zimnej komunikacji – bluetooth czy coś podobnego – do uzyskania prawdziwej bliskości. Wyobraził sobie przyjemne wibrowanie w kieszeni wyzwolone przez amatorkę idącą z naprzeciwka. Mógłby ją minąć bez słowa, gdyby mu z jakichś względów nie odpowiadała. Względy można by zresztą wpisać do

aplikacji, płeć, wiek, preferencje, stan cywilny, gust muzyczny, kolor włosów, czy sponsoruje, czy oczekuje sponsoringu. *Real share*, tak nazwałby tę aplikację, na wzór *quick share*, którą już miał w telefonie, służącą do wysyłania obrazów. Chyba powinien napisać biznesplan i czym prędzej pobiec do konsorcjum, to warte jest miliony.

Zamiast oglądać się za kimś na ulicy, mając nadzieję, że on, ona też się obejrzy, śledzić ją w księgarni, kartkując nudne książki tylko po to, żeby stanąć obok, z obawą obserwować, jak przechodzi do działu przewodników, czyżby wyjeżdżała właśnie teraz, kiedy ją namierzył, zamiast szukać miejsca w tramwaju, w ścisku manewrować, przejeżdżać przystanek, wdawać się w pasjonującą wymianę zdań o tym, czy będzie padać, a potem widzieć, jak odchodzi i wita się z nim, na oko wcale nie bardziej atrakcyjnym, z zaczątkami łysiny, w lnianym pogniecionym garniturze w kolorze ochry, w butach o podwiniętych do góry noskach, modnie, ale ohydnie – zamiast tego wszystkiego, mieć pewność. Nawet gdyby się od razu nie zdecydował, miałby przecież jej numer.

Aż dziw, że wśród tysiąca najróżniejszych aplikacji nie było takiej. Telefony prowadzą najkrótszą drogą na miejsce, omijając korki, pozwalają płacić za parking i bilet, tłumaczą na obcy język, szukają restauracji wegetariańskich, nawet czytają brajlem, a jednocześnie pozwalają milionom abonentów prześlepiać się nawzajem. *Real share* zmieniłby nasze zwyczaje. Ubieralibyśmy się schludniej, wiedząc, że w każdej chwili idziemy na spotkanie. Dłużej mylibyśmy zęby, z wybielaniem. Nie zostawialibyśmy na później ważnych papierów, później możemy być zajęci. Ograniczyłyby się kłótnie rodzinne, małżonkowie by sobie nie pozwalali, wiedząc, że za rogiem czeka ktoś inny, lepiej nadający się na małżonka. Narzeczeni pielęgnowaliby narzeczeństwo i na jego czas odłączaliby się od usługi – już z niej skorzystali. Samobójstwa by się ograniczały do przypadków naprawdę koniecznych, bo po co podcinać sobie żyły, skoro jest wybawienie, z włączonym telefonem.

Wyobraziłem sobie, że idę przez miasto i co chwilę włącza mi się kandydatka w kieszeni. Na razie się nie zatrzymuję, nie podejmuję kontaktu, kolekcjonuję kandydatury, zobaczę, może oddzwonię. W tym samym czasie

obok mnie suną inni konkurenci. Stajemy na czerwonym świetle na skrzyżowaniu, telefony wibrują, przypomina to trochę masturbację przez kieszeń.

Pomyślałem o możliwych komplikacjach, weźmy taki piątek wieczór, kiedy parcie do spotkań staje się przemożne po całym tygodniu abstinencji. Pomyślałem o samochodach, nagle hamujących albo zmieniających kierunek pod wpływem impulsu. Nie da się przecież aplikacji zabronić w samochodach, nawet zakaz rozmów z telefonem przy uchu jest nieskuteczny. A co z osobami w pracy albo, gorzej, na służbie, sprzedawcami, strażnikami, policją? Nie wierzę, że zechcą się odłączyć w godzinach pracy, skoro wtedy mailują, czatują na potęgę – czynność łatwiejsza do skontrolowania. Strażnik miejski nie będzie pozbawiał się okazji na kilkanaście mandatów za złe parkowanie, źródło uczuć negatywnych i frustracji, przypadnie co najmniej jeden komunikat nieznannej perypatetyczki, skłonnej pójść w tango. Kto wie, czy aplikacja nie mogłaby działać nawet w samolotach, wyjąwszy może start i lądowanie, pomyśleć, wylatujemy sami, a przylatujemy we dwoje, do Amsterdamu, przykład pierwszy z brzegu na liście lotnisk.

Zanim spekulacje zaprowadzą mnie Bóg wie dokąd, skąd może nie ma powrotu, postanowiłem sprawdzić, jak wyglądałoby to w terenie. Ustaliłem kryteria, żeby nie ryzykować spotkania z tłumem. Kobieta, heteroseksualna, wiek powiedzmy do czterdziestu, kolor i długość włosów najzupełniej dowolne, zawsze można się przystrzyc i ufarbować, figura wyprostowana, piersi erogenne, stan cywilny jakikolwiek, najchętniej w separacji, w której wszyscy tkwimy, gust muzyczny, byle nie Prokofiew. Ostatnia ważna książka, może coś z Sebalda, skoro udajemy się na wędrówkę. Sponsoring? Możliwy, owszem, jak zwykle, do tysiąca. Te ostatnie kryteria były nieco na wyrost, bo chyba nie będzie ich miała wypisanych na twarzy.

Wyszedłem po południu, ubrany niezobowiązująco, w marynarkę, ale bawełnianą, buty na miękkiej po deszwie, bo będzie trochę do przejścia, uzbrojony w ciemne okulary, spod których można swobodnie obserwować, nie uciekając wzrokiem. W kieszeni spodni trzymałem iphone'a dopiero czekającego na aplikację. Było niskie nostalgiczne słońce, dobre do spotkań i zwierzeń. Poszedłem w prawo, do Rynku. Miasto spotkań, baner zasłaniający widok mieszkańcom kamienicy na rogu, potwierdzał moje domysły.

Już na pierwszych światłach zobaczyłem kandydatkę naprzeciwko w niewielkim tłumie, czekała na zielone. Minęła mnie obojętnie, telefon milczał, był skazany na milczenie, rozumiem, środek jezdnii nie jest najlepszym miejscem na randkę. Szedłem słoneczną, prawą stroną ulicy na północ, przed sobą widziałem plecy i włosy, proste i kręcone, naturalne i farbowane, na łysych i kapelusze nie zwracałem uwagi, z naprzeciwka szły spacerowiczki w okularach zasłaniających pół twarzy, pomyślałem, że w telefonie powinien się też pokazywać ich wizerunek, żeby wykluczyć pomyłki i nie narażać nikogo na molestowanie.

Ktoś przede mną upuścił chusteczkę, podniosłem i podbiegłem. – Proszę – powiedziałem, podając. Uśmiechnęła się zaskoczona, udało mi się przełamać pierwsze lody. Jednak dwukierunkowy nieprzerwany ruch na ulicy nie sprzyjał kontaktom innym niż wzrokowe, postanowiłem przystanąć i gdzieś usiąść. Wybrałem ogródek wychodzący na pół chodnika, teraz będą defilować przede mną jak na wybiegu. Obliczyłem, że po przejściu trzystu metrów mogłem wysłać przynajmniej dziesięć sygnałów. Wysłać dziesięć, a ile odebrać i otrzymać zwrotnych?

Zamówiłem podwójne espresso z mlekiem osobno, tylko wszystko proszę bardzo gorące. Dostałem coś letniego, nieprzydatnego, spodziewałem się, bo kelnerka kluczyła gdzieś po drodze z tacą, przystając i gawędząc z innym stolikiem. Właściwie odpowiadała kryteriom, ciekawe, czy by się połączyła. Bez żadnych aplikacji pewnie i tak nie może się odpędzić od natrętów, a właściciel perwers każe jej wkładać kusą spódnicę z fartuszkami i szpilki, to

powinno być karalne, w szpilkach osiem godzin. Wypiłem letnią, nie będę się awanturował. – Tak, była bardzo dobra – skłamałem. Uśmiechnęła się, odsłaniając aparat na zębach, skomplikowany układ drucików i diamentów. Zęby się jej wyprostują, ale wykrzywią nogi. Zapłaciłem, zostawiłem napiwek na ortopedę.

Już miałem odchodzić, kiedy przy sąsiednim stoliku stanęły dwie abonentki.

– Wolne? – zapytały wzrokiem.

– Wolne – skinąłem głową.

Położyły telefony na stole i zaczęły coś sprawdzać.

– No patrz – powiedziała jedna – sukinsyn nie pisze.

– Zostaw go – usłyszała w odpowiedzi. – Też się nie odzywaj, to go sprowokuje.

Podzielałem ten pogląd, niech go lepiej zostawi na rzecz obecnych, niech się lepiej rozejrzy – zdjąłem i zacząłem czyścić okulary, zyskując w dwójnasób, odsłoniłem twarz i wywołałem ruch.

Czekałem na reakcję. Nie nastąpiła.

– Ale miał napisać, skurwysyn – nadal mnie ignorowała, zajęta nieobecny.

Podniosłem rękę, niby przywołując kelnerkę, ale w istocie machałem do niej, naraziła mnie na nowe zamówienie.

– Proszę wodę.

– Tak, gazowaną – demonstracyjnie jej nie tknąłem, bąbelki uciekały bezpowrotnie, zwiększając tylko efekt cieplarniany, który jednak wcale jej się nie udzielał.

– Nawtykam mu – syknęła i zaczęła wystukiwać coś obraźliwego.

Chciałem ją powstrzymać, po co wysyłać bluzgi ku wrogim środowiskom, skoro można pogawędzić nad kawą głębiej, z kimś nastawionym koncyliacyjnie. Być może zrobiłem zbyt szczodry ruch ręką, a może to tylko kelnerka potknęła się na obcasach, filiżanka upadła na ich stolik, wcale się nie rozbiła, grube firmowe naczynia są zazwyczaj pancerne, zawartość nie chlusnęła jej na sukienkę, jak może chlusnąć kilka centylitrów, raptem parę kropel pociekło ze stołu. Mimo wszystko zaproponowałem pralnię.



– Niech pan da spokój! – warknęła wściekła.

Cóż było robić, poszedłem, może lepiej, że już na wstępie okazuje się, kto nie spełnia kryteriów.

Zajrzałem do galerii, galerianki i galernicy snuli się melancholijnie, w wielkim akwariu pływały bezkolizyjnie żółte ryby. Przed sklepem z gospodarstwem domowym wąsacz przebrany za kucharza demonstrował małą szatkownicę, otaczał go tłum gospodyń, które podziwiałały, jak marchew spada do przezroczystego naczynia w plastrach cieńszych od noża: co potem z nimi zrobi? Przyglądałem się im przez chwilę i odszedłem, nie szukam gospodyni. Przystanąłem przed obuwniczym, mógłbym kupić kelnerce płaskie czarne czółenka, gdybym znał numer. Jakaś młoda klientka spacerowała w nowych butach po sklepie, przystając przed każdym lustrem, mógłbym iść z nią na spacer, żeby je rozchodzić, nie pójde.

W kiosku kupiłem gazetę bez ogłoszeń, mężczyzna z gazetą wygląda atrakcyjniej. Piramida finansowa reklamowała się pod obiecującą nazwą, pseudonimem banku – poczujmy smak Albanii. *In vitro* nie mogło się przepchać przez parlament. *In vivo* otaczało mnie ze wszystkich stron, ale też bez życia. Napoje energetyzujące obiecywały to zmienić. W Syrii nadal wykrwawiali się sunnici.

Pojechałem schodami na piętro. Obok, na wyciągnięcie ręki, zjeżdżały z góry figurki, dwa mijające się pas ma, równoległe, niezbieżne. Włoczyłem się w roztargnieniu, porównując ceny. Drogie marki są u nas trochę tańsze niż w świecie, a tanie, odwrotnie, droższe – w ten sposób wyrównuje się różnice. Słyszałem pomruki kas i sygnały akceptacji kart zbliżeniowych, działają w odległości czterech centymetrów, do pięćdziesięciu złotych. Sam byłem skłonny płacić więcej za zbliżenie. Odruchowo sprawdziłem telefon. Nic, tylko jakiś żartowniś prosił o potwierdzenie wygranej drogim esemesem. Nie czułem się wygrany, nie potwierdzę.

Wjechałem na piętro restauracji, zrobiłem się głodny. Sushi poruszało się w niezatapialnych miseczkach po torze wodnym, pośmiertny transport ryby. Naleśniki smażyły się na okrągłym palniku, z sykiem. W pizzerii podwójną pizzę sprzedawali w cenie pojedynczej, też zachęcając do zbliżeń. Zamówiłem stek, bez rabatu.

– W sosie? – zapytał kelner.

– W sosie. – Może mi się udzieli. I dużą karafkę wina, starczyłoby na dwoje.

Wino zaczęło pracować, trzy lata dojrzewało w beczkach z dębu amerykańskiego, żeby teraz hasać w moich żyłach. Zapłaciłem, poszedłem do toalety. Moja prostata była już wielkości trzech orzechów i nadawała się do wyskrobania, cienkim przerywanym strumieniem nie mogłem trafić w muchę na pisuarze, dopiero gdy spuściłem wodę, zrozumiałem, że jest namalowana.

Figurantkę zobaczyłem za szybą w sklepie z biżuterią. Przymierzała kolczyki, nadstawiając do lustra to jedno, to drugie ucho, tak że zobaczyłem dokładnie profil lewy i prawy, oba idealne. Wydymała przy tym wargi, czy chciała coś powiedzieć? Tak czy owak bym nie usłyszał, choć głoski wyglądały na wybuchowe. Kupiła, poprosiła, żeby nie pakować, niech zostaną w uszach. Sprzedawca włożył do koperty rachunek i certyfikat. Tak, są autentyczne, jestem świadkiem.

Do następnych sklepów wchodziła po to, żeby jeszcze raz przejrzeć się w lustrze. Owszem, były na miejscu, nie wypadły, świeciły złoto. Trzymałem się kilka kroków z tyłu, choć nie można wykluczyć, że odbicie w lustrze także mnie objęło. Po kwadransie usiadła w lodziarni i zamówiła wodę. Nie wiem, czy gazowaną, zatrzymałem się po drugiej stronie fontanny i piana zasłoniła mi widok. Widziałem tylko, że pod stołem zsunęła buty i rozciągała mięśnie stóp niczym po długim biegu. Odebrała telefon. Tak, przytakiwała, owszem. Zaśmiała się perliście, jak u jubilera. Nie, nie, pokręciła głową, wykluczone. Odłożyła. Zostawiła odliczoną sumę na blacie, to musiało być pięć złotych, nie przejdzie do historii bankowości.

Wcisnęła buty, zabawnie kręcąc piętą, skierowała się ku północnemu wyjściu, po drodze zaliczając jeszcze jedno lustro. Przez chwilę bałem się, że ją zgubiłem, bo grupa rozwrzeszczanej młodzieży zatarasowała mi drogę, przepraszam, rozdzieliłem dwie splątane nierozłączki, proszę nie łączyć się w przejściu. Dogoniłem ją dopiero za światłami, musiałem, ryzykując życie, przebiec na czerwonym. Szła pod arkadami, teraz wyraźniej słychać było stukot obcasów, rozpoznałbym go wśród innych. Wstąpiła do podrzędnych

delikatesów, manewr najwyraźniej zwodniczy, bo przecież w galerii miała większe, lepszy asortyment. Stałem na przystanku, studiując rozkład siódemki. W szczycie powinna jeździć co jednaście minut.

Wyszła z niewielką siatką, element maskujący, drugim wyjściem, dwadzieścia metrów dalej, byłem na to przygotowany. Szła równym, zdecydowanym krokiem przed siebie, ani razu się nie odwróciła, nie wykryła obserwacji czy przeciwnie, była jej pewna? Zatrzymała się przy bankomacie Banku Zachodniego, stanąłem za nią, pin zaczyna się od trójki, a kończy ósemką. Nie wyjęła gotówki, studiowała wydruk, wydatki księgowane są na bieżąco, a do wpłat nikt się nie pali. Mogłem w tym momencie podjąć wątek finansowy, ale postanowiłem zaczekać. Szliśmy nadal w stronę Rynku, ona prowadziła. Ktoś mi się uklonił, nie rozpoznałem kto, nie przypominam sobie nikogo. W przejściu podziemnym na chwilę straciłem ją z oczu, oślepiony ciemnością. Tutaj jednak nie mogła zniknąć, nie było wyjścia. Owszem, na przystanek, i to dwa, w dwie strony! – olśniło mnie i wtedy zobaczyłem jej ciemną plamę na tle jasnych schodów prowadzących do Rynku. Schyliła się, wrzucając coś do puszeki żebrakowi, niepotrzebnie, chętnie bym odebrał. Teraz przeszła na lewy chodnik, już całkiem zaciemniony, zdjąłem okulary. Zatrzymała się przed kantorem, studiując kursy walut. Wstąpiła i wymieniła, nie wiem, jaki nominał, tak czy owak ze stratą, spready są tu lichwiarskie. Mógłbym przepuścić go przez moje konto i zminimalizować stratę. Tymczasem stałem jednak przed ladą z lodami i zwlekałem, kontemplując smaki, nie kupiłem trzech gałek, pistacjowej, stracciatelli i sorbetu z malin, ruszyliśmy dalej. Na Rynku skręciła w lewo, zgodnie z ruchem wskazówek, ale czas jej nie gonił. Przystawała przed każdą restauracją – wypełniały całą pierzeję – jak głodny inspektor sanepidu. Chyba nie będzie jadła, nie miałem ochoty na drugi obiad, wino wciąż czułem w nogach. Na chwilę musiałem ją wyprzedzić, stanąłem pod pomnikiem, udając, że na kogoś czekam. Nie udawałem, czekałem. Ścięła róg południowozachodni i zniknęła w pasażu, pobiegłem za nią. Tędy łatwo uciec, przedostać się na tyły i rozplynać w którejś z bocznych uliczek, znany motyw filmowy.

Rozglądałem się przez chwilę bezradnie, zbiegłem na dół, do chińskiej

restauracji. – Nie – Chińczyk pokręcił głową, nie widział tu nikogo. Dwie smutne konsumentki podniosły wzrok znad ryżu, żadna nie spełniała kryteriów. Wbiegłem po dwa stopnie na górę. A więc wyszła tylnym wyjściem w głębi, zniknęła, zostawiając po sobie refleksy dwóch kolczyków i dwie do niczego niepotrzebne cyfry pinu. Zrezygnowany usiadłem na ławce, żeliwnej ławce z parku ustawionej w środku. Późne pochyłe słońce wpadło przez szklany dach i zalało modernistyczny pasaż nostalgią, benjaminowską.

Wtedy ją zobaczyłem, mignęła między naklejonymi na szybę ogłoszeniami biura podróży, między Egiptem a Egiptem *all inclusive*. Czyli wyjeżdża, wizyta w dziale przewodników i kantorze nie była bez powodu. Wyjeżdża i nie wróci, biuro zbankrutuje i zostanie zakładniczką w hotelu. Siedziała na krześle i razem ze sprzedawcą oglądali więzienie w folderze. Ławka nie była dobrym punktem obserwacyjnym, kartki gęsto naklejone na wit rynie – zwykle kartki A4 z komputera, z czarną wielką czcionką, bez piasku i plaży – zasłaniały szczegóły, rozpiwały jej postać na krzyżu z prześwitów. Wstałem i stanąłem przy schodach, już za późno, żeby ją powstrzymać, już płaciła, pewnie tą samą kartą, sprzedawca jej usłudze podsunął terminal, gdybym stanął bliżej, mógłbym podejrzeć brakujące cyfry pinu, a gdybym znał numer karty, mógłbym ją wykupić z niewoli. Schowała do torebki bilet i rachunek, wyszła, jeszcze raz przeglądając się w lustrze z nalepionym słońcem, mnie omijając wzrokiem.

Ruszył za nią, ale bez przekonania, czuł, że obojmu ich separacja, zanim się zespolą. Teraz szła wolniej, klucząc i marudząc, jakby już wyjechała i zwiedzała pierwszy raz starówkę. Przystanęła przed skrzynką pocztową: ciekawe, jakie tu mają znaczki, może trójkątne? Przed kioskiem studiowała tytuły, te plotki jej nie dotyczą. Ktoś ją o coś zapytał, nie wie – rozłożyła rękę, na palcu błysnęło coś niepokojąco, obrączka czy pierścionek? – i co gorsza, nie zrozumiała pytania w obcym języku. Wstąpiła do drogerii, kupiła faktor dwadzieścia, współczynnik wyobcowania. Wstąpiła do urzędu miejskiego, czy będzie się naturalizować? W końcu długiego korytarza stanęła pod tablicą ogłoszeń i coś spisywała, jakiś grant unijny mógłby nam zagwarantować spójność na długie lata. Zniknęła w którymś pokoju,

postanowiłem dać jej pięć minut, na tyle mogłem jej pozwolić.

Interesantka wyszła po czterech, ale za następnym rogiem nie oparła się fryzjerowi. Dobrze, w takim razie się ogolę. Usiadłem w fotelu po przeciwnej stronie, w lustrze widziałem jej tył głowy z lekkim zawirowaniem na czubku, włosy niepewne kierunku. Kiedy ujmował je po bokach, demonstrując fryzurę, kolczyki mrugały do mnie znajomo. Golenie jest szybsze od modelowania, na policzkach wiele nie wymodelujesz, na podbródku fałdę i wyraz stanowczości, nie miałem wyjścia, musiałem się ostrzyć, na dziewięć milimetrów, chociaż nie wszędzie przekraczam tę długość.

Wyszedłem i czekałem w bramie z niezatartym zapachem stęchlizny i moczu mimo nowych kafelków, kafelki zajmują coraz większe połacie, otaczają nas sanitarnym kordonem, kafelki bez zapachu. Pojawiła się po kwadransie – tym razem nie chciał jej poganiać – w nowej fryzurze, odmieniona, ale nie na tyle, aby nie rozpoznać znajomej. Zgodnie poszliśmy dalej, co parę metrów dotykała ręką głowy, poprawiając niewidzialny kapelusz. Odpowiadałem jej podobnym gestem, gładząc się po szyi (zabijając niewidzialne komary), bo ścięte włosy dostały się za kołnierz i drapały. Połączył nas zarost, potem depilacja.

Nadal udawała turystkę w obcym mieście, olśnioną obcością. Zatrzymała się przed fontanną wyrzucającą w górę wciąż tę samą wodę, a jednak ożywczo nową. Cudze dzieci pluskały się w basenie niepomne zakazu, wydając przy tym nieartykułowane okrzyki radości, jakie wydają dzieci w dowolnym kraju, przełamując barierę językową. Zerwał się wiatr i chlapanęło mi na spodnie, zostałem ochrzczone, wstąpiłem do światowego kościoła. Pod kościołem Marii Magdaleny zadarła głowę do góry, fryzura zmieniła położenie.

Dobrze byłoby wspiąć się na wieżę, zobaczyć kraj z góry, pola z egzotycznymi uprawami, rozwidlającą się rzekę z żyznym mułem, biegnącą do zlewiska zgodnie z działem wód, sprawdzić na południu horyzont, może zarysują się na nim jakieś góry, dziewicze, przenieść wzrok bliżej, odkryć średniowieczną siatkę ulic niknącą pod torowiskiem i w tunelu, na wschodzie zabudowaną estakadami, jakby węzeł autostrady zaplątał się w

mieś cie, zbadać też okoliczne dachy i balkony, suszącą się na sznurze bieliznę, z intymnymi plamami już spranymi, chociaż nie do końca, gdzieś pewnie zdradzają jeszcze właściciela, prześcieradła wydymające się na wietrze jak ekran z wytartym środkiem, anteny satelitarne bezbłędnie wskazujące południe niczym drogę do Mekki, ocalałe przed termorenowacją gniazda jerzyków, z piskiem kołujących nad niewidzialną jeszcze wyższą wieżą – one jedne nie tracą orientacji i wiedzą, gdzie zimują – popatrzeć na główki ludzi, spod których wystają buty, eliminując ciało w okrutnym skrócie, stoją rozrzućeni na placu albo chodzą bezładnie w różne strony jak mrówki, kiedy wdepnąć w mrowisko; zajrzeć tu i ówdzie do okna, zobaczyć czyjeś plecy nad komputerem, skaczące po ekranie punkty, chińskie, nie czytelne, wypatrzeć gniazdo gołębi na ławce kominiarskiej, starej, zmurszałej i nieużywanej, bo nie palą, przecież nie ten klimat, gołębie zaanektowały wszystkie dostępne skrawki, gzymsy, parapety, występy, nawet rynny, korzystając z pory niedeszczowej, jakiś zapomniany wspornik cały zbudowany był z guana; pomachać komuś stojącemu na balkonie z papierosem, może nas zobaczy zza dymu, policzyć stare dachówki, zlasowane, szerniałe, jakby z karbonu, i prześledzić bieg piorunochronów oddających energię ziemi; jakoś przestrzec plażowniczkę, która rozłożyła się na tarasie na pasiastym leżaku, już nawet nie rak skóry, ale przecież nie opali się w tym niskim zachodzącym słońcu, a jeśli, to na żółto; wypatrzeć areszt na Świebodzkiej – gdzie siedział dziewięć miesięcy, jak w ciąży – pawilony ułożone w znak krzyża, blendy, za którymi na piętrowych kojach nie regulaminowo leżą osadzeni, przestraszyć się gotyckich wieżyczek gmachu prokuratury i sądów, gdzie prawda materialna podlega ustaleniu, przenieść wzrok w prawo i odnaleźć otoczoną reklamami wolną przestrzeń – to tu w osiemdziesiątym drugim, niearabskiej niewiosny, walczyli z milicją w największej od wojny zadymie, oparzył sobie rękę petardą, jeszcze ma bliznę – ze wstrętem odwrócić oczy od taniej piramidy nad wielopiętrowym parkingiem, postmodernizm dla faraonów, nawiązującej formą do logotypu biura podróży, jaki musiała mieć wytłoczony na bilecie i rachunku firmowym; a kiedy oko będzie miało już dosyć tych ćwiczeń akomodacji, wrzucić do lunety dwa złote – z braku piasstrów – i zdać się na soczewki,

prześledzić meandryczny bieg rzeki, niewielki biały statek z oszukanym kołem na łopaty u boku, nienapędowym, naprawdę z tyłu ma zanurzoną śrubę, właśnie zawraca przed jazem, marszcząc i mącąc wodę; trafić na Halę Stulecia, ogromny szary meczet i obok halucynacyjną iglicę minaretu dla muezzina kaskadera, przesunąć centymetr w prawo i objąć ogród zoologiczny z wybiegiem dla wielbłądów, co za pomysł, zamykać je na wybiegu, jak krowę – pasły się swobodnie na łąkach trochę wyżej – jakby krowę wstawić do muzeum; jeszcze dalej łagodnie w prawo zlokalizować lekko spłaszczony owal, tor wyścigowy, gdzie ścigają się konie niePrzewalskiego; w oko okularu wpada schodzący do lądowania samolot, trawersować za nim nad płaskimi halami centrum południowego, i bezpiecznie sprowadzić go na lotnisko, przed wielki pusty terminal, zbudowany na wyrost, skąd tanie linie wznoszą się i opadają jak jojo, musiałyby po drodze zahaczyć o moje okna, uchylone, żeby się wietrzyło, żaluzje jeszcze opuszczone od przedpołudnia, stop, spada czarna przesłona, czas lornetowania się skończył.

Opuściła głowę i zobaczyła egzotyczną zebraczkę rozłożoną pod murem kościoła, wypisana na tekturze historia jej niedoli dostępna jest w różnych językach. Tym razem jej nie dała, ileż można. Znowu weszła na Rynek, wstąpiła do empiku, gdzie parter oddano w pacht perfumerii. Na lewy przegub psiknęła coś duszącego, niedobre, nie w tropikach, ciężkie i piżmowe, na prawy już lepiej, lekki rozwodniony unisex dla niezdecydowanych. Nie będzie tu nic kupowała, ceny były raczej światowe. Pachnieć ładnie za trzysta złotych to lekka przesada, są tacy, którym nie starczyłoby już na nic, poza pachnieniem. Może kupi coś na lotnisku albo na Sycylii, podobno nie jest droga. Zaproszenie na konferencję nadeszło z okrutną punktualnością, przełożyła ostatniego Tabucchiego, kiedy właśnie umarł.

Przeszła do działu czasopism, zaczęła wertować kwartalniki i miesięczniki spóźnione o kwartał. Proza nie dawała się czytać, to raczej nie Tabucchi. Z jednej strony duszne ciasne kawałki sklecone wedle jednego wzoru: wpuścić trójkę małych do pokoju i niech stroją miny.

A z drugiej? Też nie lepiej: napisać pamiętnik dziadkowi, co służył w

legionach. A jak nie, to dziennik biednej studentki ze wsi, która musi się oddawać fundatorom stypendium. W najgorszym razie puścić delikwenta po mieście, niech się szwenda i udaje Ulissesa.

Jakiś facet zerkał na nią znad sąsiedniego regału, przeglądając magazyn nieruchomości odwrócony do góry nogami, chyba sprawdza fundamenty albo czy sadza się nie wysypuje z komina. Dziwne, już go dzisiaj widziała dwa razy, w galerii, a potem przed lodziarnią, stał i czekał, aż lody się roztopią.

Może to zresztą tylko jego sobowtór, tamten miał lekki zarost, oni wszyscy wyglądają podobnie, wzrok głodny, ale brzuch pełny, nieco przejezdzony, pasek wżynał mu się pod fałdę i na nic podciąganie spodni co chwilę, bo i tak opadną, może szelki załatwiłyby sprawę, mógłby sobie wsadzać za nie kciuki i napinać. W tym momencie odłożył nieruchomości i podszedł do kasy, kupił długopis żelowy i durex easyon z podwójną porcją żelu, chyba będzie pisał harlequina z zabezpieczeniem. Uśmiechnęła się na myśl o takiej lekturze, minęła go i wyszła na Igielną.

Musi jeszcze zdążyć do Instytutu odebrać pocztę i przekłady studentów, znowu będzie karczować zbitki „niektórzy”, „którzy” i zamieniać „stół kuchenny” na „stół w kuchni”, ile razy można powtarzać, że okolicznik jest zawsze lepszy od przydawki. Ale te mnożą się jak króliki, ostatnio ktoś jej napisał: modowy, to nawet word podkreśla. Wpadła prosto na przepełnione śmietniki, tylne ulice są tylko drogą dojazdową dla śmieciarek, zatęskniła do Neapolu, dziś środa, potem ma pływalnię, ogrzeje się pod prysznicem i w saunie.

Znowu wyszła tylnym wyjściem, tak jak przewidział, przeczekał ją przy kasie, kupując dwa drobiazgi, które zawsze mogą się przydać. Ruszył za nią bez zwłoki, przy drzwiach zatrzymał go ochroniarz, wskazując na gazetę, sczytaną, postrzępioną, wciśniętą do kieszeni, aż dziw, że ją wypatrzył, chyba mają skaner w okularach. – Proszę. – Wepchnął mu ją do ręki, jest kupiona gdzie indziej, ale aktualna, może pan sobie poczytać w wolnej chwili, wolnej od złodziei.

Jak złodziej wypadł na dwór, uderzył go kwaśny smród śmietników, zabijający zapach obu przegubów, na próżno węszył, wyżeł, rozszerzając



nozdrza, pobiegł kilka metrów w prawo, jeszcze gorzej, pobiegł w lewo, ślad się ulotnił, rozwiął, trudno, skręcił w Więzienną.

Przez chwilę było pusto, żadna aplikacja w telefonie by mu nie pomogła, nawet słomiany manekin ustawiony przed indyjskim sklepem nie chciał mieć z nim styczności, nie wykazywał wiadomego zapachu, potem nagle wpadł w środek nie wiedząc skąd wyrosłego tłumu maturzystów albo studentów, zdaje się, że dziś wszystko jedno, utuczonym na testach, mieszanina zapachów do końca zbiła go z tropu, byli ubrani odświętnie, w granatowe spódniczki i ciemne garnitury, pachnieli też podniośle, to strojenie się na egzamin to jakaś aberracja, pomyślał, jeszcze na ustny, rozumiem, szczególnie szminka, ale na pisemny, wszyscy piszą odświętnie, patetycznie, pod jeden strychulec, choć może o to chodzi, chyba tylko Mann zasiadał do pisania w krawacie.

Musiałem im ustąpić, przejść na lewą stronę, gdzie chodnik nagle się podnosił i wybrzuszał w szaniec, stawał częścią kolejnej galerii, tym razem włoskiej, kluczyłem wśród kelnerów i stolików, to jednak przesada, żeby pizzerie barykadowały chodnik, ktoś tu zapłacił, mafia, zajrzałem do środka, może znów szuka sklepu z lustrem, chciałem, żeby mnie olśnił błysk kolczyków i polor fryzury, ale zobaczyłem tylko opustoszały korytarz z wypolerowanym, odbijającym siebie marmurem. Powinienem raczej włączyć nawigację, bo gubię się w nowych wnętrzach, tylko co mi po własnych współrzędnych, jej nie namierzą. Przeciąłem skwer pod uniwersytetem, trochę dziwne miejsce, menele miesza się tu z uczonymi w empatycznej empirii, tym razem nie było nikogo, może na dziś skończyli, tylko jakiś pies spał pod krzakiem i śnił o właścicielu.

Zwolniłem, straciłem nadzieję, skręciłem na nadbrzeże. Teraz pachniało mułem i spalinami. Cztery krzyżówki bez ogłoszeń połączyły się w dwie pary. Szedłem pod prąd, tak leniwy, że ledwie się go domyślałem, nie wierzę, że z tego może być powódź. Było pusto, tylko samochody gnały jak opętane, łomocząc na torowisku. A obok, niewzruszone, brzegi zarastały łopianem, na wsi, nad rozlewiskiem. Na przystanku pod halą targową dostrzegłem grupkę ludzi, może zmieszam się z tłumem.

Zobaczyłem ją w ostatniej chwili, jak wsiadała przednimi drzwiami,

skoczyłem do tylnych, przycięły mi rękaw, guzik się oderwał i mankiet nieco otworzył, zawsze noszę seryjne marynarki do krawca, żeby przeciął mi dziurki, imitację dziurek, bo nie lubię zapiąć markowanych. Dawno nie jechałem tramwajem, nie wiem, jak wygląda kasownik, nie miałbym zresztą co skasować, rozglądałem się za automatem, przeszedłem do przodu, żeby nie stracić jej z oczu pośród głów i pleców. Kontroler zastąpił mi drogę w łączniku, tylko mnie, czy ludzie bez biletu wyglądają jakoś inaczej? Najpierw ochroniarz, a teraz znów kanary, przecież to ja miałem inwigilować, błysnął nieczytelnym identyfikatorem.

– Tak, płacę gotówką, ile? – ponaglałem go, bo zbliżał się przystanek i widziałem, że wstała i zaczęła przesuwać się ku wyjściu. Zabrał się do mozolnego wypisywania, zapytał o adres, gotówka nie wymaga danych osobowych, nawet brudne pieniądze.

Zobaczyłem kątem oka, że wysiadła, wcisnąłem mu banknot, reszty nie trzeba.

– Ale – otworzył usta, żeby zaprotestować, wyskoczyłem znów w ostatniej chwili, nie sądziłem, że będę sponsorował też komunikację. Cofnęła się w stronę parku nad fosą, znowu woda, kaczki, nie do odróżnienia, ktoś tylko wyciął łopiany. Żwir chrzęścił pod nogami, starałem się stawiać stopę dokładnie w tym samym momencie co ona, żeby chrzęst się zestroił, musiałem skrócić krok, potknąłem się na krawężniku, skąd tu krawężnik. Minęliśmy jakiś pomnik, nawet nie wiem czyj, Kopernika czy amora na pegazie, zwykle nie zapuszczam się w te strony, mają złą sławę. Szła, nie oglądając się za siebie i skracając sobie drogę na ukos. Drogę dokąd? Przeszliśmy już pół miasta, może czas się przedstawić.

Zniknęła w potężnym gmachu zakładów kąpielowych przechrzczonych na centrum spa, odnowy biologicznej. Stałem niezdecydowany, nie chciałem się odnawiać, protestował we mnie konserwatysta, który woli rzeczy po staremu i nie zaśnie, jeśli ktoś mu na półce przestawił dwie książki.

– Dobrze – zgodził się jednak po dłuższej chwili, skoro tyle już zainwestował, wejdzie do tej wody. W kasie kupił ręcznik i drogie kąpielówki, nawet, a zwłaszcza goli musimy nosić markę.

Basen był pompatycznie odrestaurowany, nie ustępował w niczym

Sturebadet. Rozgrzał się pod prysznicem, z ulgą, wreszcie ustąpiło uparte swędzenie na karku, wahał się, czy pod prysznic nie wstawić też koszuli. Zobaczył ją od razu, pływała zgrabną żabką na środkowym pasie, w śliskim wyczynowym kostiumie i granatowym czepku, do twarzy, jasny kosmyk wysunął się z tyłu i sterował. Począł, aż dopłynię do końca, zawróci, i wtedy wskoczył, zimna woda natychmiast go objęła w całości, bez wydziwiania, razem z fałdą na brzuchu, genitaliami, prostatą, łysiną i owłosieniem, jednakowo szczelnie, też popłynął klasycznie, z każdym uderzeniem nóg skracał dystans, płynęła naprzeciw na sąsiednim pasie, nie rozpozna go, nie ma obawy – szkoda – bo w wodzie twarze się zacierają i gdyby nie nazwiska na czepku, nie wiedzielibyśmy, kto wygrał.

Chciał jej pierwszy raz spojrzeć w oczy z bliska, ale miała szczelne pływackie okulary na gumce, do tego przyciemniane, kiedy wynurzyła się tuż przed nim, zobaczył na prawym ramieniu bliznę po szczepieniu, dlaczego podała prawe, jest mańkudem czy nie chciała pisać sprawdzianu, poczuł uderzenie hormonów i przyspieszył, jakby doping zadziałał. Wspólna kąpiel – przypomniał sobie preferencje zakreślane w ogłoszeniach, higiena, potem rozkosz, rozkosz i znów higiena.

Przepląnął kilka długości i miał dosyć, zdążyła go wyprzedzić i widział ją od tyłu, jeszcze bardziej nieprzyzwoicie, na karku jasny kosmyk, rozwidlenie nóg z ciemnym pasmem kostiumu i stopy z karminowymi paznokciami, zlokalizował je wcześniej, teraz migały mu tylko przy nawrotach, płetwy okonia. Przypomniał sobie, jak pływalni w R., na Sadkowie, ratownik straszył ich, że jeśli nasikają do wody, to zaraz pojawi się na powierzchni wielka czerwona plama, która ich zdemaskuje, basen trzeba będzie opróżnić, co kosztuje krocie. Dziś długodystansowcy bez żenady przyznają się, że sikają do wody.

Na Sadków jeździł parę razy w tygodniu, upajał go zapach chloru. Zaraz za pływalnią był szlaban: wstęp wzbroniony, teren wojskowy. Jednak autobus, san, jedyńka, jechał dalej i bez żadnej kontroli można było przebyć zakazaną zonę. Kiedyś nie wytrzymał z ciekawości i się zdecydował. Przejechał do następnego szlabanu, nie zatrzymując się, jak przez getto. Wysiadł na końcowym i długo czekał na następnym, podglądając ziemię

wydzieloną. To było jak pierwsza zagraniczna podróż. Znudzony brakiem ataków wartownik, z bronią jednak gotową do strzału, lustrował go sceptycznie spod daszka, miał spuszczonego pasek, założony pod brodę, trzeba by to jeszcze sprawdzić, czy naprawdę zakładali pasek pod brodę, bo pamięć lubi figłować. Dalej było lotnisko, gdzie dzisiaj odbywają się podniebne pikniki i spadają miגי.

Ich nauczyciel wuefu dorabiał na pływalni. Był tak gruby – nazywał się Grubczyzna – że kiedy wskakiwał do wody, przelewała się przez krawędź i rozlewała szeroko, aż pod wielkie okna. Potem wystawał nad powierzchnię jak bezludna wyspa. Tylko że rzadko się zanurzał. Rzucił im piłkę – wodną, ale nasiąkała – i zamykał się w swoim gabinecie. Kiedyś przekradli się do damskiej części i schowali za przepierzeniem. Dziewczyny ze starszych klas mydliły się starannie pod prysznicem i myły sobie nawzajem plecy. Para cenzurowała widok, rozmiękczała linie.

Płynął za nią cierpliwie, zgubił rytm, już jej nie widział, kiedy się wynurzała, on był pod powierzchnią, a kiedy on się wynurzał, ona nurkowała, żabka kryta dwubiegunowo. Nagle poczuł skurcz w łydce, ściągał go w dół jak kamień, bolesny jak kamica, tylko tego brakuje, żeby się zaczął topić, a ona go ratowała. Wino jeszcze nie wyparowało do końca, więc już widział notatkę: pijany utonął w basenie, i żadnych nekrologów państwowych. Jakoś dobrnął do krawędzi, wygramolił się na brzeg, rozciągnął mięsień i pokuśtykał do ławki.

Pływała nadal, nie zmieniając stylu – klasyka jest wytrzymała – ani nie zwalnając. Wkrótce przepłynie Kanał Sueski, wzdłuż, nie w poprzek. Nie zauważyła wcale jego nieobecności, choć woda musiała się obniżyć o parę dobrych wiader, gdyby go przeliczyć na wiadra. Teraz dostrzegł także innych pływaków, nie byli sami, w wodzie roi się od organizmów, żywych mimo chloru. Na czymś krzaczastym torsie, od którego w desperackim crawlu koniecznie chciały się oderwać ramiona, zobaczył fluorescencyjne etui na telefon, a więc aplikacje mogły działać także pod wodą, podobno humbaki potrafią się porozumieć z odległości tysięcy mil morskich, i na większej głębi.

Spotkali się w wodzie, skąd wychodzi życie – jakież obiecujący początek

powieści jeziornej, wspólna kąpiel, bąbelki i higiena. Przypomniał sobie, jak często zdjęcia dodawane do ogłoszeń przedstawiały łazienkę. Najpierw flesz komórki w oślepionym lustrze, w otoczeniu kosmetyków i szamponów. Potem jakiś rozmyty rumiany kształt w kabinie prysznicowej, w obłoku zdrowej pary, niepleśniotwórczej, silikon na dolnej krawędzi szyby trochę się wykruszył i przydałby się nowy, w namydlonych sterczących piersiach trzymał się za to dobrze i nie wymagał korekt. Na końcu zdjęcie w wannie, kolana wystawały z piany jak falochrony, a sutki wyznaczały tor wodny, na kafelku-mydelnicze stał kieliszek szampana z triumfalną truskawką zatknietą na krawędzi, efekt kolorystyczny w białym otoczeniu, z prawej w kadr dostał się niechcący dolnopłuk natynkowy. A gdzie był higienista? fotograf? kąpielowy?

Zrobiło mu się zimno, dostał gęsiej skórki, zsiniał, zaczął szczekać zębami, przygryzając plombę w górnej szóstce, wyszczerbił ją niedawno na pestce od oliwki, kąpielówki nieprzyjemnie skleiły się z pośladkami, a przyrodzenie skurczyło do rozmiarów fasolki, *haricot vert*, z zimna fioletowej. Najwyższa pora, żeby pójść do sauny, niekoedukacyjnej, niestety. Wstał, zgrabnie się poślizgnął na mokrych kafelkach, w ostatniej chwili łapiąc równowagę, brzuch aerodynamicznie zafalował, i wyszedł, zostawiając ją pod opieką pływaków i ratowników. Usiadł na najwyższej ławce i po paru minutach poczuł ciepły pot, smak soli. Niżej jakichś dwóch pryszczatych młodzieńców okładało się ręcznikiem, leniwie, niepobudliwie, nie z ogłoszenia. Poczł nagłą senność, dziwne, bo sypiał w zimnym pokoju, przy otwartym oknie i zakręconych kaloryferach. Narkoleptyk, zasypiał już w różnych miejscach, na wykładach i przyjęciach, w operze, kołysały go arie, regularnie w taksówkach, w trakcie rozmów telefonicznych, kiedyś za kierownicą, obudziło go ostrzegawcze wycie karbowanej linii, gdy zjeżdżał z autostrady, wielokrotnie w łazience, w wannie i na klozecie, ale nigdy w saunie. Przez tyle lat spania zaoszczędził spory zapas proszków nasennych, część lekko przeterminowana – czemu ich nie wyrzuci? – ale i tak starczyłoby dla całej dzielnicy.

Po dziesięciu minutach miał dosyć, egzema rozprzestrzeniła się po całym ciele jak pożar prerii, jeszcze zaśnie w pożarze. Wrócił na basen. Zniknęła,

pewnie grzeje się w drugiej saunie albo stoi już pod prysznicem. Sam wykąpał się w letnim, wytarł wielokrotnie, ubrał, dokładnie oczyściwszy kołnierzyk, niech skonam, te drobne włoski są nieusuwalne, drapią przy każdym ruchu, czyżby znów egzema. Mokry ręcznik i kąpielówki włożyłem do plastikowej torby z czarną falistą linią, emblematem wody, wetknąłem ją pod pachę, niezbyt elegancko, ale lepiej, niżby miała dyndać w wyciągniętej ręce, z mokrą głową i szumem w lewym uchu wyszedłem przed wielki gmach, już zmierzchało, zobaczyłem księżyc nabity gdzieś na antenę. Od parku odgradzał mnie absurdalny mur z żelaznymi prętami, za którym mógłby być Wersal, a tu chodziło raptem o parę rachitycznych trawników między ulicą a fosą, nie wiem, jak go przedtem sforsowałem, to ona prowadziła, musi znać jakieś szlaki, znalazłem słup w ciemnym miejscu, nieco cofnięty, z widokiem na rozświetlone wejście, oparłem się, czekałem.

Jakiś żul przydreptał nieproszony i spytał, czy bym mu nie dołożył na browar, dołożyłem, żeby nie zasłaniał widoku, jeśli dobrze zainwestuje, zostanie browarnikiem. Czekałem może kwadrans, postanowiłem wrócić i sprawdzić, czy się nie utopiła, zasnęła po prysznicem, wyparowała w saunie. Zderzyłem się z nimi w drzwiach, ale wcale nie zwrócili na mnie uwagi, nie bardziej niż na portiera lub klamkę, z głośnym śmiechem zbiegli po schodach, trzymała go za łokieć, typ południowej urody, choć raczej nie Egipcjanin. Poszli teatralnie objęci w stronę centrum, pokazał jej palcem księżyc, teraz zupełnie żółty, zauważyłem go wcześniej, patrz wyżej, co za spostrzegawczość.

Słyszałem ich głośne śmiechy, jakby cudzoziemskie, nie widziałem w tym nic wesołego. Wlokłem się kilkanaście metrów z tyłu, najchętniej straciłbym ich z oczu, ale ulica świeciła pustkami, w świetle wzmiankowanego już dwa razy księżyca. Na chwilę stanęli, rozłączyli się, odsunęli o parę kroków, on pokazywał rozłożonymi rękami jakiś wymiar, potem zmniejszył go o połowę i szybko obrócił do pionu, zmieści się i w pionie, i nie przewróci, ona przyglądała się temu rozbawiona, przechylając głowę w moją stronę.

Po tych przymiarkach znów ruszyli, zachowywałem dystans, kawałek podbiegli, lekko, lekkomyślnie, ona jak podłotek, objął ją oburącz na wysokości ramion, podniósł i zakręcił kilka razy dokoła, ugięła nogi, żeby

nie zawadzić obcasem o nierówny chodnik, stawiają wersalskie mury wzdłuż dziurawych chodników, mimo to jeden but zsunął się ze stopy i poleciał samopas parę metrów dalej, pokuśtykała, żeby go podnieść, nieco skołowana, na nic cała kąpiel, czeka ją przynajmniej mycie jednej nogi, prawej, śledziłem ich pantomimę z uwagą suflera, może mi się jeszcze przydać.

Dochodziliśmy już do opery, w ludne okolice, teraz szli poprawniej, mieli więcej obserwatorów, chyba nie wybiorą się na przedstawienie, skoro sami je odgrywają, nikt z nas nie był ubrany na wieczór, czułem, że worek z ręcznikami i kąpielówkami trochę przecieka, na boku zrobiła mi się wielka mokra plama, jakbym mimo wieczornego chłodu się spocił, w lekkiej bawełnianej marynarce z dodatkowym wywietrznikiem w mankiecie.

Stanęli przed narożną wystawą concept store'u i pokazywali sobie konceptualne dzinsy, torby, drogie jak do transportu waluty, buty z mnóstwem zapieć wokół łydki, tak że na pewno się nie zsuną przy piruetach. Poszli kawałek wzdłuż płotu wzniesionego w dwóch trzecich za unijne pieniądze, budowało się tam coś wiekopomnego o zagadkowym kształcie, miejmy nadzieję, że nie parking, i zniknęli w nowo otwartej trattorii, ukrytej dla przechodniów z głównej ulicy, bez nich bym jej nie znalazł. W samą porę, zglodniałem, pływanie i sauna zrobiły swoje.

Mógłbym usiąść przy ich stoliku, wcale by mnie nie zauważyli albo wzięli za przysiadającego kelnera, ale wybrałem miejsce nieco oddalone, osłonięte filarem. Na początek zamówili vitello tonnato, ja jednak wołę carpaccio z polędwicy wołowej i kieliszek bardolino, byle nie za ciepłe, zamiast butelki barolo, na dziś już dość wydatków. Jadłem z nowym apetytem, nie ma jak kolacja w dobrym towarzystwie, kieliszek okazał się za mały, musiałem zamówić drugi, powinien mieć sto pięćdziesiąt mililitrów, butelka ma pięć kieliszków, łatwo obliczyć. Dyskretnie sięgnąłem po wykałaczkę, fatalnie mentolową, po co robią wykałaczki z impregnatem do drewna, potrafi zabić równowagę smaków, polędwica była dobra, ale nie do końca obrana z powięzi, czułem to między zębami.

Jakaś samotna trzydziestka siedziała na wysokim stołku przy barze i sączyła mdły wermut, zawzięcie szukając aplikacji w telefonie, miał ekran

wielkości dłoni, oświetlał jej pół twarzy na tle połyskliwych butelek, niestety, swój wyłączyłem, dzisiaj jestem zajęty, sorry.

Na koniec zamówili espresso, i tak nie będą spać tej nocy. Dobrze, czemu nie, przyjąłem zaproszenie, w gorącej filiżance, spienione mleko obok. Zapłacił kartą, wpisując pracowicie napiwek w rubryce: extra, bez sensu, przecież od tego naliczą im podatek; zapłaciłem gotówką, zostawiłem extra żywe dwadzieścia złotych, wystarczy za nas troje. Wyszliśmy krótko przed dziesiątą, wolałbym taksówkę, jeśli się pospieszyć, zdążylibyśmy przed nocną taryfą, pod operą stała ich kawalkada, ale skierowali się na przystanek, w porządku, może być tramwaj, tym razem kupię bilet w automacie, chyba że skasują za mnie, w końcu zostawiłem za nich napiwek. Jacyś kibole świętowali przegraną, śpiewając tren pocieszenia, trzymali przed sobą puszki niby urny z popiołem.

Sprawdzili rozkład jazdy, o tej porze nie jeżdżą często, zdążymy do następnego przystanku, chodźmy, dobrze jest przejść się po kolacji, spacer na trawienie. W pedecie dekoratorzy z nocnej zmiany urządzali wystawę, rozrzucali jeszcze całkiem dobre zielone liście, które będą żółknąć i wymuszać nowy sezon, a na wysokich kolumnach zbudowanych ze starych, nieaktualnych książek, widziałem to po klasie papieru, na wszelki wypadek grzbiety miały zwrócone do wewnątrz, żeby nie było widać tytułu, niepożądany *vintage* edytorski, sadowili manekiny w wełnach i polarach, jakie będą obowiązywać jesienią.

Zatrzymaliśmy się pod arkadami, tym razem po zachodniej stronie, już tu byliśmy kilka godzin temu, ciekawe, gdzie podziały się jej zakupy, zdążyła się ich pozbyć w czasie mojej krótkiej nieobecności. Studiowałem wlepki i bohomy na murze, zem d łości – przeczytałem strzęp zachęcającego afisza przyklejony obok na arkadzie. Nawet nie czekaliśmy długo, nadjechała siódemka, już dziś dwukrotnie sprawdzana, z napisem: do zajezdni, to chyba dobry kierunek, wsiadamy. Siadła mu na kolanach, choć były wolne miejsca, na skrzyżowaniu mocniej zarzuciło i omal nie spadła, trzymałem się asekuracyjnie z tyłu obok kasownika, tym razem skasowałem, uzyskując jako potwierdzenie przyjazne mruknięcie i nadruk na bilecie, który może służyć za dowód, dzień i godzina.



Oni, zajęci sobą, nie skasowali niczego, może mają kartę miejską do jazdy na kolanach drugiego, okazało się, że tylko jeden przystanek, wysiedliśmy na wysepce, dwa kroki ode mnie, podeszliśmy do skrzyżowania, tym razem nie musiałem przebiegać na czerwonym, bo migało żółte, wieczorem ruch słabnie, mężowie pojechali już do żon i kochanek, matki wróciły do dzieci, pływacy spłynęli do domu, wyschli, imprezowicze przemieszczają się tramwajem, którym można przewozić promile. Przeszliśmy na lewy chodnik, wspięli na estakadę wzniesioną z już wyszczerbionego betonu. Tutaj stoi ogromny galeriowiec, jakby schron wyrósł nad ziemię.

Zniknęli w trzeciej klatce, brzęczyk przy drzwiach jeszcze śpiewał, mógłbym podbiec i otworzyć, zamiast tego cofnąłem się ku jezdni i stanąłem z zadartą głową. Potknąłem się na krawężniku i w tym momencie ciepła woda wypłynęła mi z ucha, od razu słyszałem lepiej. Galerie świeciły poziomo skąpym rozproszonym światłem energooszczędnych żarówek. Zobaczyłem ruch na trzecim piętrze, od windy czwarte drzwi na prawo, otworzyły się, na chwilę błysnęło inne światło z przedpokoju, zamknęły się, usłyszałem cichy trzask, wieczorem, jeśli dobrze nastawić ucha, nawet w mieście, w centrum, można usłyszeć intymne dźwięki, zapadające klamki, czyjś głos, podniesiony, pojedyncze przekleństwo, sygnał kuchenki mikrofalowej, szczeknięcie psa, szczeknięcie zamka patentowego.

Wróciłem do siebie, rozwiesiłem ręcznik i kąpielówki, zapachniało chlorem. Umyłem zęby, elektryczna szczoteczka trzema warknięciami zakomunikowała mi, że dosyć, i pozbyłem się wreszcie resztki carpaccio. Podniosłem żaluzje w sypialni, miałem widok na galeriowiec i galerię, gdzie zacząłem obchód, koniec sąsiaduje z początkiem. Zrobiłem sobie termofor z wrzątku, czasami marznę w stopy. Jak zwykle, nie miałem kłopotów z zaśnięciem, stilnox leżał nietknięty w szufladzie, nasycił się sennością, xanax czekał spokojnie na burzliwy rozwój wydarzeń.

Właściwie po co czytam cudze ogłoszenia, zdaję się na półprawdy i kolorystykę, żeby tylko szamponów. Niby wybieram, ale z narzuconego mi, powtarzalnego repertuaru. Narazam się na niezasłużone połajanki – jeśli ściemniasz i nie dbasz o higienę, to nie pisz. Wzruszam się historiami o zaległościach z czynszem i niepełno sprawnym dziecku, któremu brakuje na leki. Mamie ofertami pisanyymi z błędem: *fool service*. Kolekcjonuję zdjęcia bielizny i kostiumów kąpielowych, w marnej rozdzielczości, takie same są na opakowaniach z pierwszej lepszej pasmanterii, komplet rozmiarów i kolorów, przystępniejsze ceny. Studiuję wnioski o pożyczkę, której zwrot jest gwarantowany oralnie i własnoręcznym podpisem, w równych tygodniowych ratach.

Po co przygotowuję się do długich rozmów na wszystkie tematy, których nie odbędę? Dumam nad cudzymi preferencjami, zaznaczanymi hurtowo, tak że się wzajem wykluczają, u tej samej ogłoszeniodawczyni – uległość: tak, dominacja: tak, grupowo i w pojedynkę. Po co czekam, aż mi się załadują pliki, na których potem nic nie widać, jakieś wanny, palmy, kawałek opalanej skóry w dermatologicznym zbliżeniu, czyjeś okulary zasłaniające pół czyjejkolwiek twarzy, czarne jak dla ślepeca? Po co, ślepiec, wpatruje się, by wśród pikseli dostrzec jakąś zmarszczkę, bliznę, wybrzuszenie, skazę na ekranie, piętno, znamię, dysplazję, niechby nawet wirus, ale komunikat jest wciąż taki sam: wirusów nie wykryto.

Dlaczego mam być *friend with benefits* – czyj benefis? – nie wiązać się, nie angażować, nie wnikać w czyjąś prywatność (*vagina est publica?*), nie proponować śmiesznych kwot w okolicach średniej, wiedzieć, czego chcę, konkretnie, bez owijania w bawełnę, raczej we włókna sztuczne z domieszką lycry, a jednocześnie zdawać się na przygodność? Kiedy mogę sam dać ogłoszenie. Mógłbym nawet otworzyć cały portal, stać mnie, otworzyć wrota percepcji. Nie, na portal by go nie starczyło, osobowość bogata, ale bez przesady, postanowił zamieścić dwa ogłoszenia, w ten sposób wyeliminuje hurtowe odpowiedzi typu wyciąć i wkleić. Oba prawdziwe, choć nie objawiające całej prawdy.

W pierwszym był mężczyzną w średnim wieku, szpakowatym, przynajmniej w tych miejscach, gdzie jeszcze miał włosy, waga w normie, osiemdziesiąt kilo wypadło gdzieś w środku podziałki, z tolerancją paru kresek, bo dawno się nie ważył, zawód wolny; jakakolwiek wzmianka zahaczająca o sektor finansowy powoduje wysyp podań o pożyczkę i biznesplanów polujących na biznes; usposobienie przyjazne, że do rany przyłóż – tu się upodobnił do ruchliwych rybek, które żarły odciski i naskórek w publicznych seansach, widok ludzi z nogami zanurzonymi w akwariach należał od niedawna do przestrzeni miejskiej; upodobania przeciętne, bez perwersji, przemilczmy, co przemilczał; dość zajęty, ale z serią wolnych wieczorów, niewykluczających czasem przedpołudnia, raczej unikający bankietów i balów dobroczynnych, domator z własnym lokum, jednak nie odludek, czego dowodzi obecność na tym portalu wśród takiego tłumu; dość reprezentacyjny, cokolwiek to znaczy, bo każdy coś reprezentuje, nawet introwertyk, ale jeśli chodzi o marki butów i samochodów, to w porządku, lubił angielskich szewców, niemieckie silniki z doładowaniem i francuskie opony, choć stare brytyjskie rovery też by go kręciły, gdyby się tak nie psuły.

Zdjęcie, bo ani rusz bez zdjęcia, przedstawiało kogoś nawet podobnego, zwłaszcza połówka twarzy tonąca w mroku, kilkudniowy zarost, nos ostry, na razie nie wiadomo, do czego, czoło nieco zmarszczone, znakiem myśli i wieku, oko śmiało wpatrzone w obiektyw, lekki astygmatyzm i krótkowzroczność, trzy dioptrie, siatkówka niewidoczna, lecz niezbitnie potwierdzająca tożsamość; w tle naga jasna ściana, żadnych palm, piramid, wanien, brodzików, dolnopłuków i tym podobnych.

W drugim ogłoszeniu postawił na mobilność. Obieżyświat, często musi też wyjeżdżać w interesach, nie mylić z panem w delegacji, na kursokonferencji, ma dość zimnych hoteli, anonimowych, nawet jeśli na ekranie telewizora miga jego nazwisko, *welcome mister ski*, a obok repertuar płatnych kanałów, czasem potrzebowałby towarzyski podróży, bo współpasażerki żegnają się z nim, nieraz uprowadzane przez szoferów i taksówkarzy czekających za bramką z firmowym kartonikiem, a pokojówki – co za słowo: pokojówka, czy nikt się nie buntuje – po wybrykach funduszu

walutowego patrzą na niego wilkiem.

Znalazł jakieś zdjęcie na lotnisku, tym razem w ciemnych okularach, bo za chwilę wzleci, a tam jest zawsze słońce, w dłoni trzyma kartę pokładową, a przy nodze bagaż podręczny – pięćdziesiąt pięć na czterdzieści na dwadzieścia centymetrów, według tego można też obliczyć rozmiar buta – nieprzekraczający dziesięciu kilo, a z pasażerem dziewięćdziesięciu, niestety nie schudł od poprzedniego ogłoszenia, żadnych płynów i narzędzi tnących, nad nim wielka tablica z napisem: odloty, gdyby wejść na tę stronę, ukażą się setki pasażerek w pozycjach stacjonarnych, to są tanie linie.

W innym tle pozostawało kłopotliwe pytanie, kto zrobił fotografię, może ochrona lotniska, może sam przewoźnik, aby pokazać wzorowego, wymiarowego pasażera czekającego na boarding, a może to była tylko reklama limuzyny o szerokich oponach, stojącej nieco dalej, nie wiedzieć dlaczego ustawionej w hali odlotów pasażerskich, trzyma się ziemi jak stonoga. A może emitentem nie jest wcale ten na pierwszym planie, *en face*, ale jakby nieco z boku, ze wzrokiem wlepionym w nie wiadomo co, za okularami, tylko ten złapany w ruchu, z profilu, biegnący za wózkiem, nogawka odsłania łydkę nieco wyłysiałą, wytartą od spodni, obie ręce naciskają dźwignię zwalniającą hamulec, dwie walizki spiętrzone jedna na drugiej, a więc chyba nadbagaż, obietnica dłuższej podróży, międzykontynentalnej, jeśli tylko zdąży przed zamknięciem odprawy.

Do poniedziałku przysły pięćdziesiąt trzy odpowiedzi, z czego czterdzieści na oba adresy, nic dziwnego, bo przecież każda domatorka musi kiedyś zatęsknić do podróży, a podróżniczka za domem, cztery od homoseksualistów z pytaniem o orientację, jakby jej nie określił, dwie od nieletnich lubiących starszych, chyba musiałyby im płacić pieniędzmi z czasów inflacji, z taką różnicą wieku, jedna od nieletniej transwestytki o fizjonomii Japonki (w jenach sprzed wymiany?) – proporcje statystycznie poprawne. Połowa nie zawierała fotografii: ze względu na dyskrecję. Czy na spotkania będą też przychodzić zawoalowane? Połowa nadesłanych zdjęć nadawała się do wyrzucenia; albo przedstawiały szczegóły anatomiczne w przesadnym zbliżeniu, jakby fotografowały się przez mikroskop, albo znów oddalone figurki, z plamką zamiast twarzy.

Część odpowiedzi proponowała nielegalną działalność bankową, przyjęcie jego depozytów w celu obciążenia ich ryzykiem, do ziemi. Kilka zawierało projekty fundacji pożytku publicznego, domagały się więcej niż jeden procent, i to nie podatków, raczej skłonne były mu zostawić jeden procent. Tradycyjnie były też religijne wezwania do opamiętania, modlą się już za niego, niech się raczej zajmą własnymi ministrantami.

Ktoś proponował mu założenie partii politycznej, która nas wyzwoli z pruderii, wcale przy tym nie zwiększając deficytu budżetowego. Ktoś chciał mu opchnąć kolekcję roleksów wysadzanych brylantami odpornymi na upływ czasu. Ktoś wreszcie dyskretnie, poza ubezpieczeniem proponował mu przedłużenie członka o pięć centymetrów, i do tego skrzynkę viagry, żeby stanął. Była jedna oferta pracy w agencji escort, po co ma płacić za coś, na czym może zarobić. Nie zabrakło propozycji zbiorowych: jesteśmy dwie, bardzo aktywne wobec siebie. Skoro tak, to po co im jeszcze jakiś flegmatyk na trzeciego, tylko by zawadzał.

Postanowił nie odpowiadać od razu – odpowiadać komu? – niech wszystko ostygnie, okrzepnie, opadnie mimo viagry, kiedyś korespondencja wędrowała, nabierała mocy, może jakiś serwis, który by spowalniał, byłby dobrym pomysłem biznesowym, ratunek dla raptusów, *slow food*, by się nie zadławić, coś jak dylizans dla elektronów. Czy może o to chodzi w chmurach danych, chmury są powolne i majestatyczne?

Jednak już w środę nie wytrzymał i zabrał się do ostrej selekcji, kto wie, czy nie z myślą o piątku, dniu randkowym. Teraz będzie odpowiadał pojedynczo, bo respons mógłby przytłoczyć. Katarzyna, lat trzydzieści dziewięć, a więc po czterdziestce, tego się już nauczył, domatorka, co potwierdzało załączone zdjęcie, osiemset kilobajtów wnętrza, fotele, półki na książki, z nieczytelnymi grzbietami, niski stolik, na nim filiżanka z parującą herbatą, niezieloną, bo tej nie zalewa się wrzątkiem, poinsecja z Ikei, czerwona przed świętami; krótka spódnica opinająca biodra, gościnnie rozległe, noga założona na nogę na dywanie we wzorki, wysoki obcas ze stalowym implantem, uwaga na parkiet; parkiet lśniący, świeżo wypastowany, uśmiech rozbrajający, szczerzy, niedentystyczny.

Umówili się w piątek o siódmą pod fontanną, w znanym miejscu spotkań.

Niestety, nie przyszła, komórka milczała, zajęta innymi aplikacjami, za piątym okrążeniem nagrał wiadomość z wyrzutem, trochę wiatru i plusk wody w dowód. Jeszcze trochę pochodził, patrząc, czyby nie zespolic się z kimś innym osieroconym, ale nie było nikogo nadliczbowego. Zajrzał do paru pubów, gdzie jednak nawet ojcowie założyciele byli młodszy od niego, i wrócił, nie zarwie nocy.

M – nie będzie rozwijał imienia, ale chyba kobieta – przyszła krótki, rzeczowy list, z wyraźnie zaznaczonymi preferencjami, nie toleruje papierosów, nieświeżego oddechu, owłosienia w miejscach intymnych, zdjęcie przedstawiało hipsterkę metroseksualną w męskim garniturze i spodniach odsłaniających kostkę, czarne lśniące włosy, zaczesane tak gładko, że nie docieczesz, krótkie czy długie, trzeba przejechać ręką, buty wyraźnie męskie, klasyczne szkioty z modną jasną podeszwą (idiotyczna moda, niby jak pastować?) założone na gołe nogi, paznokcie u rąk pomalowane, długie palce pianistki, rozcapierzone drapieżnie. Odpowiedziała, że nieaktualne, jednak za długo zwlekał, w tym czasie otrzymała sto propozycji, na szczęście nie zdążył się ogolić.

Joanna pojawiła się punktualnie we włoskiej trattorii, postanowił jeszcze raz wykorzystać to miejsce. Niestety, okazała się osobą nie ze zdjęcia, nie wiem, jak trzeba by ją ująć, żeby choć trochę je przypominała, nie z przodu i nie z profilu, może z bardzo daleka albo pod wodą. Jest bardzo ostrożna i nigdy nie wysyła swojego, ktoś to może potem wrzucić do sieci i kompromitacja gotowa, więc woli się w ogóle nie fotografować, ma zresztą męża informatyka z dostępem do programu rozpoznawania twarzy, chwilowo bezrobotnego, dlatego chciała podreperować budżet domowy. Zjedli makaron, opróżnili butelkę chianti w romantycznej słonce, było bardzo miło, naprawdę z czystym sumieniem można polecić tę trattorię, pesto i parmezan na każde skinienie.

Jolanta – porządek alfabetyczny tylko na pozór – wolała jednak przyjść do niego. Dobrze, miał to już przećwiczone: ręczniki, świeża pościel, wcześniej już się zaopatrzył w zapas zapachowych świeczek, kolacja wegetariańska, bo zapomniał spytać o mięsożerność, ale w lodówce zapas szynki parmeńskiej, w razie czego można dołożyć, pasuje. Nakrył do stołu, papierowe serwetki z

mięsiściego papieru, jak płótno, zgrabnie ułożył w trójkąt, dwa nakrycia, talerze, sztucce, przetaił kieliszki do wina, które dojrzewało w winiarskiej lodówce za szybą, zapłacił za nią majątek, i przez chwilę zastanawiał się, czy nie zdekantować, ale bez przesady, skromna kolacja dwa dwojga, niewymagająca, liberalna, raczej bordeaux niż burgund. Od szóstej chodził po domu w lekkiej, raczej przyjemnej gorączce i poprawiał szczegóły. W łazience na dole umył całkiem czysty bidet, na górze wyjął nowe szczoteczki, najpierw jedną, końcówkę do swojej elektrycznej, potem dołożył drugą, bo nigdy nie wiadomo. Po czym zamienił ją na zwykłą manualną, to jednak marnotrawstwo używać tamtych drogich jako jednorazówek. Odkurzył dywan i otworzył okno, żeby przewietrzyć, skąd bierze się w odkurzaczu woń psiej sierści, jeśli psa nie ma? Sam lubił ten zapach, przypominał mu dzieciństwo i trzy kolejne psy w ogrodzie (Bal, Dar i Erg, krótkie imiona, żeby można było je łatwo przywołać). Ale co, jeśli trafi na alergiczkę? Respondentki nie pisały o chorobach, jasne, on też nie zdawał sprawy ze stanu swojej prostaty. Zmienił wodę kwiatkom kupionym na tę okazję i przyciął im ukośnie łodygi, kwiaciarka zapewniała, że tak postoją dłużej, może nawet do następnego spotkania. Na nocnym stoliku położył błękitną paczkę durex easyon, a wcześniej zdjął z niej celofan, wbrew obietnicom niełatwy do ściągnięcia w krytycznym momencie. Poszukał odpowiedniej płyty, *Gnossiennes* będzie dobre, muzyka dla dwojga. Zmienił szmatkę na zlewie, ta znów pachniała czymś słodkim, nie wiedzieć czemu, bo już od dawna nie słodził, lekarz mu zabronił. Zawiązał i wyniósł śmieci, raptem kilka, świeże, zawierające głównie historię przygotowań, w plastikowym worku z pływalni, wreszcie się go pozbędzie.

Wyrzucił stare gazety, kilka miesięczników i jeden kwartalnik – proza była nie do czytania – na makulaturę.

Po namyśle wyjął ten ostatni, makulatura nie powinna być aktualna przez kwartał. Otworzył komputer i sprawdził obie skrzynki, nadal przychodziły odpowiedzi, ale na razie postanowił nie czytać, chwilowo monogamiczny, obłożył je karencją. Podglądał tylko zdjęcia, ma już cały album. O siódmej włączył muzykę, bardzo cicho, żeby nie zakłócała dialogu. Który się rozwinie.

Kwadrans po siódmej wyłączył i zaczął nerwowo chodzić po mieszkaniu, poszedł do sypialni na górze, poprawił poduszki, które i tak leżały dobrze, easyon schował do szuflady w stoliku, obok innych materiałów pomocniczych, trzeci raz umył ręce, zszedł, wyłączył piekarnik. O wpół do ósmej zdmuchnął świeczki i zaczął sprzątać ze stołu – czy tak się mówi tylko po jedzeniu? – nawet nie chciało mu się dzwonić, połączenia są dwukierunkowe, co najmniej.

Dziesięć minut później usłyszał dzwonek domofonu i rzucił się do słuchawki. To był jakiś roznosiciel ulotek, dziękuje, nie skorzysta z rabatu, do tej pory raczej przyzwyczał się przepłacać. Za piętnaście ósma następny, już chciał przekląć późnych dręczących doręczycieli, ale usłyszał: – Jolanta, przepraszam za spóźnienie. – Jeszcze rozkładał nakrycia na stole, już nie tak starannie, kiedy rozległo się ciche pukanie, ledwie przenikało przez pancerne drzwi antywłamaniowe.

Otworzył nie bez obaw, ale z ulgą zobaczył Jolantę ze zdjęcia. Miała na sobie elegancki żakiet z trzema łatwymi guzikami, do przebrnięcia, czarną krótką spódnicę, czarne pończochy albo rajstopy, obie wersje mu odpowiadały. Włosy miała rozpuszczone, makijaż stonowany, ale trudno coś więcej powiedzieć, bo na schodach właśnie zgasło światło, taki *timing*.

– Proszę, wejdz, już myślałem, że nie przyjdiesz – powiedział zgodnie z prawdą i zrobił zachęcający krok do tyłu, a ręką coś jak nieudany *backhand*, w siatkę.

– Przepraszam za spóźnienie – powtórzyła – ale... Ale mam niespodziankę – jakby niespodzianki nie powinny pojawiać się o czasie, przecież są punktualne z definicji. – Pozwól, że przedstawię ci Żanetę, moją przyjaciółkę. Zza węgła na schodach wyszła niespodzianka Żaneta, akurat zapaliło się światło, *timing*.

Nie miał jej do czego porównywać, bo przecież nie dostał zdjęcia, ale na pierwszy rzut oka wszystko się zgadzało, było na swoim miejscu, włosy kasztanowe, opadające poniżej ramion, dwoje oczu obwiedzionych czymś fosforyzującym, magnetycznych, może radioaktywnych, nos słabo zaznaczony, na lekko prześwietlnym zdjęciu ostałyby się z niego chyba tylko dziurki, dwa otwory w nicości, szyja łabędzia z obrozą z aksamitki,



ramiona równe, litera T bez szeryfów, piersi zapewne w idealnym rozmiarze, choć mocno napięta na tej wysokości bluzka sugeruje *oversize*, efekt zapewne obliczony co do milimetra, na prawej ręce kolekcja bransolet, coś brzdękających, kiedy ją podaje na powitanie, dłoń pięciopalczysta, miękka, ale nie sflaczała, tipsy dobrze naklejone, bez przesunięć, biodra krągłe, wzorec dziewięćdziesięciu, nogi niebotycznie długie, nawet jeśli odjąć dwanaście centymetrów pod piętą, prawa, lekko ugięta w kolanie pod doskonałym kątem, przekreśla lewą, iks, który zaraz się rozwiąże.

– Tak, proszę, wejdźcie, jest mi bardzo miło – jest mu bardzo miło.

Chyba nie uszło jego uwagi zaznaczone w preferencjach: mogą być z koleżanką? Nie, skądże, wprawdzie nakrył dla dwojga, ale zaraz znajdzie jeszcze jedno nakrycie, jedzenia też nie zabraknie, bez obaw, ani wina, jest nieporcjowane. Nie, broń Boże, niech nie zdejmują butów, najlepiej już do końca. Jeśli chcą najpierw zwiedzić mieszkanie, to proszę bardzo, choć nie ma w nim nic muzealnego, raczej izba pamięci starego kawalera, lapidarium zgreda.

Sypialnia jest na górze, a zanim tam dotrą, łazienka na dole, na górze zresztą też, jak kto i kiedy woli. Zlustrowały wszystko, uważnym okiem pośrednika nieruchomości, uśmiechnęły się: bardzo ładny lokal, kupujemy. Nawet wiedział, ile by zażądać, sprawdzał to niedawno w katalogu, jego apartamentowiec miał tam ogłoszenie na całą stronę, przez pijanego grafika zaprojektowaną do góry nogami, bo będzie większy target i rozrzut (stajemy na głowie, żeby ci dogodzić), niestety, ceny nieruchomości nie szły w górę tak, jak się tego spodziewał.

Piekarnik wydał ostrzegawcze pip i wszyscy pobiegliśmy do kuchni. Nic się nie przypaliło, zrobiła się apetyczna złotobrazowa skorupa, usiedliśmy do stołu. Wymieszałem sałatę nad zlewem, bo zawsze coś wypada z miski i plami obrus już na początku. Zmieniam klasyczne proporcje jeden:trzy na korzyść soku z cytryny, żeby było zdrowiej.

– To wszystko sam czy catering? – zapytała Żet. – Wygląda podejrzanie profesjonalnie, muszę to sfotografować do mojej książki kucharskiej.

Wyjęła z torebki telefon i przyłożyła do oka, niech zmysły się zestrają. Sfotografowała stół, kuchnię, wywietrznik, zlew i zanim zdążyli

zaprotestować, także ich, kucharza z asystentką. – Sam, lubię gotować, jeśli mam dla kogo, nawet pomidory są z tarasu, posadziłem je do góry nogami, podobno tak wolą, nie trzeba ich podpieierać i nie można przelać.

– Widziałam – odpowiedziała – i jaka oszczędność miejsca.

– Chociaż na tarasie go nie brakuje – dorzuciła Jot, w ten sposób każda z postaci się wypowiedziała – można by urządzić lądowisko dla helikopterów.

– Lądowisko jest na dachu – sprostowałem.

Wszyscy jedli z apetytem, jak po długim poście. Pochwaliły też ze znanstwem wino: długie zakończenie. Żet podniosła kieliszek pod światło i porównała kolor z paznokciami. Warto by wznieść za coś toast.

– Skål! – powiedziałem – cincin, za spotkanie.

– Za spotkanie, tkanie – powtórzyły chórem.

– Nigdy nie byłem w takiej sytuacji – skłamałem. – To znaczy, owszem, bywało, że jadałem kolację nawet w większym gronie, ale potem, jak się to rozwinie?

– Nic się nie przejmuj, wyluzuj – przerwały mi na wyprzedki – my się wszystkim zajmiemy.

Dołożyliśmy sobie drugą porcję, trochę mniejszą, bo jednak było obliczone na dwoje, oberżyny nie są tak sycące, nawet z ciężkim serem. Ich szminka była nieścieralna i lśniła, chociaż wielokrotnie używały serwetek, całując je szybkim ruchem, jak penitenci stułę, tylko bez nachylania głowy w ukłonie. Na krawędzi kieliszka też nie było śladów, a ponieważ trzymały go za nóżkę z kobiecą elegancją, nie zostawiały też zapewne odcisków palców. Mój jest nimi zawsze zapaćkany niczym puchar przechodni. Nie powiedziałaby, że rozmowa się nie kleiła, poruszyli całą masę tematów. Jakie buty będą modne tej jesieni, dla mężczyzn zamszowe, za kostkę, z lekkim zwężeniem z przodu. Dokąd warto pojechać po sezonie, najtaniej do Maghrebu, ale tam by się nie wybierał, jeszcze się kotłuje. Wciąż niedoceniona jest Anatolia, choć z drugiej strony może już być zimno i dolatują rakiety znad Aleppo. Z Grecją warto poczekać, aż wróci do drachmy i o połowę stanieje. Dlaczego coraz starsze dzieci nie mogą znaleźć sensu, nie ma go w klubach, nie ma go w powieściach, a na uczelniach są bolońskie punkty, trzydzieści za jeden semestr, w sam raz, akurat wystarczy

do sosu. A jakość wędlin to już szkoda gadać.

Sami skończyli danie jarskie, przenieśli się na kanapy. Może jakiś digestif, zaproponował gospodarz. Wyjął nowe kieliszki, koniak i likiery. Poszedł do kuchni po kostki lodu, dozownik obiecująco zagrzecgotał. Kiedy wrócił, Jolanta P. rozsypywała biały proszek na blacie i zbierała go kartą debetową w zgrabne proste kreski, co Żaneta P., zbieżność inicjałów całkiem przypadkowa, uwieczniała na fotografii na dowód.

– Jest coś lepszego na trawienie – oznajmiła i pierwsza uklękła przy niskim stole, lekko siadając na piętach, zobaczył, że czerwone podeszwy ma zupełnie nowe, jakby podróbki Louboutina założyła dopiero w windzie, autentyku Thysella.

Nachyliła się nad szklanym blatem, który przez chwilę odbił jej grymas, zatkała jedną dziurkę palcem, a przez drugą, rozszerzoną, wciągnęła swoją kreskę, łapiąc głęboki oddech, jak wysoko w górach.

– Teraz ty – powiedziała do niego i ustąpiła miejsca przy stole.

– Dziękuję – podziękował.

Nie skorzysta. On nie zażywa, woli lód i likier, zresztą i bez proszku jest napalony.

– Nie wiesz, co tracisz – powiedziała Jot i uklękła do swojego podniesienia, podeszwy były zdarte, bez koloru.

Trzecim rzędkiem się podzieliły, może nie przedawkują. Już po chwili gdzieś odpłynęły, przestały go zauważać, nie istniał, całe szczęście, że został uwieczniony na zdjęciach. Chichotały, świat jest taki śmieszny, doprawdy, boki zrywać. Żet, aby przy okazji nie naderwać zapięcia, rozsunęła krótki zamek w spódnicy. Zaczepiła przy tym o rajstopy, chyba łaskotało, bo wybuchła nową salwą śmiechu, zaraźliwą, nie ma nic zabawniejszego niż oczka, które idą. Zaczęły mocować się z zapięciem i materiałem, mógłby im pomóc, miał w tym pewną wprawę. Zanim jednak zdążył, znalazły się na ziemi, potoczyły na środek dywanu, dobrze, że odkurzył.

Z zapalem zaczęły ściągać z siebie krępujące ubrania, a on, garderobiany, starannie je układał. Potem dokończyły egzekucji, rozerwały rajstopy, rozległ się nieprzyjemny dźwięk, który pamiętał z kuchni, w której gosposia rozmnażała szmaty, rwąc w ten sposób płótno. Zrobiło się poważniej,

umilkły chichoty, usta miały teraz zajęte czym innym. Wycofał się na fotel, nie będzie się wtrącał. Minimalistyczna bielizna im nie przeszkadzała, wystarczy przesunąć na udo, przesunęły. Dziwne, pomyślał, że nie zdjęły butów, czyżby się jeszcze dokądś wybierały, ryzykując przeziębienie i grypę?

Jakby czytały w jego myślach, zaczęły przemarsz na kolanach do schodów. Pokonanie kilkudziesięciu stopni na górę zajęło im kwadrans, pomysłowo korzystały z różnicy poziomów, schody, dlaczego nie ma tej rubryki w preferencjach, co za niedopatrzenie. Na zakręcie był niewielki spocznik, tam się wyminęły, teraz Żet prowadziła, w podartych rajstopach.

Zdarły narzutę i upadły na łóżko w poprzek, jest wystarczająco duże, buty gdzieś zgubiły na schodach. Też miałyby ochotę się położyć, może za wcześnie na spanie, i za dużo ludzi, ale sjesta po kolacji ma dobry wpływ na krążenie, a ono, czuł to wyraźnie, szalało jak oscylator. Ledwie wypatrzył sobie wolne miejsce gdzieś na prawym skraju, rozciągnęły się po przekątnej i zajęły całość. Zrzuciły kołdrę, w którą łatwo się zaplątać, i bez niej jest gorąco. Podniósł ją i położył na pomocniku stojącym w nogach łóżka.

Czy kiedyś wreszcie skończą? – pomyślał, on miałyby dosyć jeszcze na kanapie, może powinien wdychać biały proszek na trawienie. Tak, powoli znieruchomiały, widział dwa zastygłe ciała na białej pościeli, splątane tak ściśle, że nie zostawiały miejsca na trzecie. Szybko się rozebrał, wciągnął czystą pizamę i położył, chcąc nie chcąc, na waleta.

Jolanta zadzwoniła po tygodniu. Musimy się spotkać, pilnie, w bardzo ważnej sprawie. Tak, wiem, zostawiła spinkę do włosów, znalazłem ją po trzech dniach, trzech nocach, w poduszce, chciała mi się wbić w oko.

– Nie żartuj – gdzie się podział jej radosny nastrój? – to są sprawy życiowe.

– Życiowe? – moje życie nie zna spraw niecierpiących zwłoki.

Wypiłem drugą kawę w szlafroku, przeczytałem „Tygodnik” bez telegramów, za oknem mgła taka gęsta, że ruch się zatrzymał i samoloty od rana nie lądują, pieniądze leżą na kontach i w funduszach, powoli procentują, liście żółkną stopniowo, skamieniały gołębie, nawet router się zapchał i cedzi informacje jak jąkała rzeczniczka. Jeżeli coś się pali, to wieczna lampka. Zapowiada się pustynny weekend, długie trwanie.

– Dobrze, będę w Ratuszowej o czternastej,

Przyszła poważna, w szarym korporacyjnym kostiumie, nie wiedziałem, że nosi okulary. Mąż Żanety – coś nowego, zdążyła wyjść za mąż? – znalazł nasze zdjęcia i filmy. Filmy? Tak, telefon czy aparat stał cały czas na kredensie w salonie i podglądał, kręcił wszystko bez wyjątku. Jak częstują się kokainą, ze mną w roli głównej. Głównej? Przecież ja nie wdychałem. Nieważne, w moim domu i na moim stole, chyba nie zaprzeczę, między zapiekanką z oberżyną, była pyszna, dziękują, a koniakiem albo likierem, przed podłogą, schodami i sypialnią, trzema miejscami wydarzeń z pełną dokumentacją, niestety. Pan P. żąda za nią stu tysięcy, jeśli chcemy uniknąć kłopotów. Złotych, złotych, nie euro.

Sto tysięcy? To więcej niż za tekę zdjęć Cartier-Bressona, oryginalne odbitki. Nie wiedziałem, że Żet tak się ceni.

– Może od fotografa ważniejszy jest motyw – trzeźwo zauważyła Jolanta.

Zbyt trzeźwo jak na zdenerwowaną. Mamy pięć dni do namysłu, do środy. To jest poważna suma, która, prawdę mówiąc, ją przeraża – prawdę mówiąc, nie widziałem u niej przerażenia – ale może warta wyasygnowania, jeśli ma być ceną za spokój. Wyasygnowania, cóż za eleganckie słowo, z niechęcią sięgające do kieszeni.

Czuje się współwinną, przyznaje, i chętnie się dołoży, ale najpierw musi uzbierać, tymczasem zamiast oszczędności ma długi, do środy nie wysupła nawet opłaty za przekaz. Nie rozumiem, dlaczego mam płacić za czyjeś zdjęcia, na Facebooku są ich cztery miliardy, można sobie ściągnąć. Już oglądałem ten film, nie bez zainteresowania, przyznaję, ale żebym miał go kupić do kolekcji, jak jakieś arcydzieło? Nie przepadam też chyba za tym aktorem, kiedy siedzi na kanapie, widać mu łysinę, wciąż zdobywającą nowe terytoria, a kiedy stoi, brzuch wylewa mu się za pasek, spodnie opadają, a koszula rozstępuje, odsłaniając miejsca dla odmiany owłosione, w gestach też widać amatorszczyznę, wolałbym...

Tu szukałem w myślach jakiegoś nazwiska, lepiej nadającego się na casting, kiedy producentka i dystrybutorka nie wytrzymała i wybuchnęła: czy zdaję sobie sprawę na co ich narażam? Ją wyrzucą z pracy, a moje interesy ucierpią w sposób trudny do oszacowania. Niejedno bankructwo zaczynało się od mniejszych uchybień, ostatnio pewien holding upadł, bo sprzątaczką znalazła w pisuarze grudkę marihuany, obsikaną. Przeszukają mój komputer, czy na pewno nie ma tam kompromitujących plików, *vide* moje wizyty na wiadomych portalach, kto zaręczy, że interlokutorki nie były nieletnie, język i preferencje to nie jest żaden dowód, nastawałem na ich niewinność i cnotę. Za udostępnianie środków odurzających grozi pięć lat więzienia, sto tysięcy za pięć lat to wcale nie jest dużo, ile wypadnie na dzień, mniej niż za dobry hotel, przecwela mnie już w pierwszym tygodniu, a potem będzie gorzej. Pewien senator zapłacił trzysta w takiej sytuacji...

– Zaszczytne porównanie, dziękuję – przerwałem te wywody – nie jestem dojnym senatorem, żałuję, udostępniłem szklany blat dwa metry na półtora, o grubości ośmiu milimetrów, co mi za to grozi, banicja i infamia? Kiedy wróciłem do domu, miałem już zdjęcia w skrzynce, i maila z tą samą propozycją: ważną do środy, potem cena wzrośnie. Bez numeru konta, pieniądze mam przekazać bezpośrednio, w starych banknotach. Otworzyłem pliki, żeby przyjrzeć się sobie, aktorowi z taką gażą za jeden wieczór zdjęciowy.

W pierwszym, niby w dobrym trailerze, były drzwi wejściowe, solidne skrzydło bez wizytówki, jak z reklamy marketu budowlanego. Potem

kolacja, nalewa wino do kieliszków, na stole parują bakłażany, zatknął ściereczkę za spodnie, znak, że panuje nad kuchnią. Przechodzimy do salonu, w tym samym studiu. Biały proszek rozsypany na blacie, przydałaby się jeszcze analiza. Czyjś nos rozpląszczony na szkłe, niewiele widać, tu lepsze byłoby ujęcie od dołu, przez szybę. Potem cała trójka na kanapie w przyjaznej komitywie, kompletnie ubrana, żakiety, marynarka, on z kieliszkiem w dłoni, one najwyraźniej czymś rozbawione, usta szeroko otwarte, widać plomby w uzębieniu potwierdzającym tożsamość. Na końcu on trzyma w ręku biustonosz: zupełnie stracił formę, zwisa jak chorągiew, bez rozmiaru piersi, nie mówiąc o kształcie, zapięcie rozpracowane; w tle kłębią się jakieś ciała, nierozpoznawalne.

I to miałyby kosztować sto tysięcy? Parę gramów proszku – może to tylko suplement diety, dostępny bez recepty? – i prawidłowa anatomia nienależąca do senatora, prezydenta ani księżnej Yorku. Najwyraźniej paparazzo się pomylił. Równie dobrze mógłby żądać okupu od modelek reklamujących bieliznę albo specyfiki na katar. Zadzwoiłem do adwokata.

– To typowa sprawa – uspokoił mnie (nic tak nie uspokaja jak typowość) – teraz będą esemesy, podbijanie stawki, groźby karalne, może fotomontaż. Proszę wszystko archiwizować, a za dwa tygodnie trzeba będzie się pofatygować do prokuratury.

Nie ucieszyła mnie ta perspektywa.

Pamiętałem dawną prokuraturę, rumianego Kubińskiego i suchego Kaucza, zawsze przygotowanych i zadowolonych (w odróżnieniu od Amskiej, która wolała chyba słuchać dziesioniarzy i gwałcicieli). Miałem być wdzięczny, bo równie dobrze mogli odesłać mnie do pionu wojskowego, mieli materiały. Jednak zostawili w wojewódzkiej, cywilnej, więc liczą na współpracę. Pamiętam grube skoroszyty z aktami śledztwa, tam też dokumentacja fotograficzna stanowiła dowód. Zamiast białego proszku czarna farba drukarska, ryzy papieru zamiast kolacji na stole i zdjęcie wejścia do domu przy Czereśniowej, gdzie to wszystko zabezpieczyli, drzwi wejściowe stare i marnej jakości, rozsychały się od dołu i paczyły, trzeba było przyciskać kolanem i lekko unieść, żeby zapadka w zamku chciała zaskoczyć. A zimą przemarzały na wylot.

Za nimi był niewielki hall wyłożony niemieckimi kafelkami – *trompe l’oeil* z białych i czarnych rombów – wspólny dla parteru i góry. Tam na niego czekali, gdy wrócił wieczorem piątego października, wpuszczeni przez sąsiadów (przepraszają, nie mogli nie otworzyć). Trzech osiłków po cywilnemu. – Służba bezpieczeństwa! – krzyknęli i rzucili go na posadzkę, policzył, że brakuje rombów, dwóch czarnych i trzech białych. Wykręcili mu rękę i skuli z tyłu, metal wbił się w skórę. Z kieszeni wyjęli klucze i otworzyli. Wepchnęli go do mieszkania, potknął się na progu, przekraczał go bez przeszkód od dzieciństwa, a teraz nagle wyrósł pod nogami, z rękami z tyłu nie miał jak się podeprzeć i złapać równowagi, więc wyrznął głową w lustro. Za słabo, esbek z prawej poprawił i walnął mocniej, pękło na pół i rozcięło mu łuk brwiowy, poczuł w ustach słodycz.

Wepchnęli go do łazienki, uklęknął nad wanną, kiedy któryś kopnął go od tyłu pod kolano, kurek od zimnej wody był oryginalny, z napisem: kalt, ale ten od ciepłej trzeba było niedawno wymienić, udało się znaleźć podobny na Niskich Łąkach, bez napisu, z czerwonym kółkiem. Zdjęli prysznic, ciężką solidną słuchawkę z dużym sitkiem, które nawet nie zarastało kamieniem, i walili go po głowie na odlew, co parę uderzeń włączając zimną wodę, żeby nie zemdlał albo dla higieny. Za którymś razem bijący



zapomniał wyłączyć i niechący oblał drugiego.

– Kurwa, ochujałeś, zakręcaj! – wrzasnął oblany.

Złapał prysznic i sięgnął po ręcznik (z powtarzającym się wzorem łódki, pamiętam go po trzydziestu latach, pamiętam kwaśny zapach, który uparcie wracał już nazajutrz po praniu). Wtedy nagle przestali.

Różowa woda zebrała się przy odpływie w małe podłużne jeziorko o niskich ciemnych brzegach: emalia była starta i prześwitywał metal. Znowu trzeba by przepchać, pomyślał z niechęcią.

Przed wyjazdem chciał się przebrać, ubranie miał mokre, z brunatnymi plamami.

– Wyschnie – powiedzieli – i nie będzie ci potrzebne, chuju, będziesz miał wikt i opierunek na koszt państwa.

Czarna wołga podjechała na chodnik pod samą furtkę wyciętą w żywopłocie, tak że wsiadał do niej jak przez tunel. W ostatniej chwili czyjaś ręka nacisnęła mu głowę, żeby się nie uderzył.

Kiedy po dwóch dniach wręczali mu w prokuraturze sankcję na trzy miesiące, miał spuchniętą wargę i strup nad prawym okiem, na które ledwo widział. – Złożyć doniesienie o pobiciu? Przez funkcjonariuszy? Niech nie żartuje, funkcjonariusze nie biją, a zresztą, zdąży się zagoić do sprawy.

Nie, zdecydowanie, lepiej byłoby uniknąć wizyt w prokuraturze, musi jeszcze porozmawiać z adwokatem.

Zgodnie z zapowiedzią przyszedł dwa następne esemesy i pusty mail z filmem, na którym nie było nic ciekawego. Przechodzę przed obiektywem między barkiem a sofą, nalewam, potrząsam szklanką z lodem, nie słysząc grzechotania. Przyszedł też list w grubszej kopercie, z białym proszkiem w plastikowej saszetce i kartką: wliczone w cenę. Wyrzuciłem je do śmieci, nie sprawdzając: węglik czy kokaina, a może proszek do pieczenia, wszystko jedno, jednakowo niepotrzebne.

W środę zadzwoniła Jolanta: straciła pracę, nie wiadomo dlaczego, ma na widoku inną, jako asystentka w porządnej firmie, to dla niej wielka szansa, początek kariery, czy chcę jej złamać życie, nie płacąc, mamy prolongatę do piątku. W piątek przyszedł esemes: sto dwadzieścia tysięcy, i cena będzie rosła z każdym dniem o dziesięć. Wyliczenie godne Madoffa, zadzwoniłem do adwokata. Jeśli chcę uniknąć prokuratury – nie rozumie, dlaczego by darować oszustom i szantażystom – to radziłby mi prywatną agencję śledczą, oni sobie z tym poradzą, jest jedna na Krupniczej, którą mógłby polecić. Na Krupniczej, trochę za blisko kompleksu penitencjarnego, nazwa: Securitas, też nie budziła najlepszych skojarzeń – teraz nazywają się po łacinie? – ale co było robić, poszedłem.

Przyjął mnie sześćdziesięcioletni funkcjonariusz, który mógł być wtedy na Czereśniowej. Nie sądziłem, że będą mnie ochraniać. Jedna służba rozbiła się na setki agencji, wcale niekoniecznie bezpieczeństwa i anty korupcyjnych. Ta armia ludzi musiała coś z sobą zrobić, nie wszyscy się nadają do bankowości. Teraz tropią niewiernych mężów, ukrywających majątek i kochanki, albo pomysłowe szantażystki.

- To musi kosztować trzy tysiące plus koszty – ostrzegł.
- Ale z gwarancją, że przestaną mnie niepokoić. I płatne z góry.
- Proszę bardzo – wobec stu tysięcy to drobiazg.

Miałem wrócić za tydzień, po koszty i szczegóły. Potem zacząłem się zastanawiać, czy moja reputacja warta jest choćby tych pieniędzy.

Nie byłem członkiem żadnej wspólnoty, nawet mieszkaniowej, miałem indywidualny tytuł własności. Nie ryzykowałem sławy, interesów, twarzy. Nie miałem przed kim świecić oczami i składać obłudnych deklaracji. Czasem studiowałem cudze oficjalne wypowiedzi, byłbym w stanie takie same sformułować, exposé, dementi i bullę albo program odnowy. Tylko wobec kogo miałbym je wypowiedzieć, poprawnie wymawiając i akcentując, musiałbym się chyba nażreć kokainy. Czy powinienem zatrudnić specjalistę od piaru, aby chętniej przeglądać się w lustrze? A może zrobić sondaż na sobie samym: sto procent mnie odrzuca.

Może jednak przepłaciłem. Esemesy by się pewnie same skończyły, ciekawe, swoją drogą, na jakiej sumie. Materiał fotograficzny też by się wyczerpał, dostałem chyba ostateczną wersję reżysera. Właściwie, co mi groziło? Agresja ze strony męża? Nocne najścia? Coraz bardziej abstrakcyjne sumy? Kilka zdjęć rozrzuconych po Facebooku wśród milionów innych? Nadal zasypiałem bez przeszkód i nie dręczyły mnie koszmary, przeciwnie, zawierałem we śnie nowe znajomości, coraz bardziej pikantne, tak że budziłem się z erekcją i musiałem sikać do wanny, bo nie trafiłbym do klozetu. Wstawałem już cztery razy na noc.

Zadzwoiła jeszcze Żet, bardzo przeprasza, sprawczyni zamieszania, nie mogła przewidzieć, że to się tak rozwinie, chciała mnie przestrzec przed mężem, z którym się rozwodzi. To wstrętny typ, nie wie, jak mogła z nim wytrzymać. I niebezpieczny, porwał na niej ubranie, oblał zupą, a potem rozbił wazę, cała kuchnia jest w szczawiu. Nie wiadomo, do czego jest zdolny się posunąć, nikt nie może zagwarantować. Poza tym ma kolegów, z którymi znika i pije. To nie są podwórkowe grupki chuliganów, to jest cały kartel – wymówiła to jak obce słówko, które właśnie z trudem opanowała. Kartel, powtórzyła celem utrwalenia. Tutaj trzeba się obawiać o życie. – Współczuję – powiedziałem współczująco, także w obcym języku, i się rozłączyłem.

Przez tydzień nic się nie działo, znów zacząłem sprawdzać pocztę pod portalowym adresem. Teraz propozycji było mniej, moja kandydatura

straciła świeżość. Co dzień pojawiają się nowi oferenci z nowym szerokim gestem. To nic, poczułem się nawet odnowiony, okazuje się, że dla pięćdziesięcioletniego mężczyzny kilka tygodni w tę albo w tę może być rozstrzygające, jak dla nowalijki. Niestety, w każdej korespondencie domyślałem się szantażystki.

Domatorki o pełnych kształtach, w kapciach na obcasie, z pomponem, które znalazły się w przykrym dołku finansowym, zastawiały na mnie pułapkę, kopały pode mną większy dół, jak na zwierzynę, skąd nigdy się nie wydostanę. Podróżniczki w bikini, natarte olejkami, na brzegu basenu, wrzuciłyby mnie na głęboką wodę i nie pozwoliły wypłynąć, a skurcz w łydce zrobiłby swoje. Młode samotne matki pozbawione zasiłku wpędziłyby mnie w alimenty, tak że bym się nie wypłacił do końca życia, a niewinny bobas o cielęcych oczach jeszcze długo przed końcem zamknąłby mnie w hospicjum i hodował mi odleżyny. Nieszczęśliwe mężatki zaniedbywane przez męża to mnie wytoczyłyby sprawę rozwodową – ustało między nami pożycie, zanim się rozpoczęło – z żądaniem sutych dożywotnich apanaży. Konkretnie kochanki zatopiłyby mi nogi w betonie, już nie zrobię kroku.

Może rzeczywiście powinien się zająć młodzieżą, niezepsutą i nierozwydrzoną, otoczyć opieką jakąś maturzystkę i pomóc jej w fizyce, miał już w tym doświadczenie. Fizyka maturalna chyba nie posunęła się aż tak do przodu, żeby nie zdążył nadrobić. Czasem przeglądał zadania drukowane w gazetach i niektóre rozwiązywał, jak zdolny uczeń. Wtedy czuł, że cała przyszłość przed nim, życie i kariera. Kto wie, gdyby ubrał się w mundurek i miał w kieszeni wzory, może dałby radę tym trudniejszym, poziom rozszerzony.

Po tygodniu wróciłem na Krupniczą. Detektyw – tak to ujmowała wizytówka, jawna i w biały dzień, na papierze kredowym – przywitał mnie od progu.

– Dobrze, że pan przychodzi!

Wszystko jasne, wyjaśnione, prześwietlone, ciemne sprawy jarzą się jak łuna, koszty, z pełną specyfikacją, nie wynoszą nawet pięćset złotych.

To jest znany w środowisku duet (w środowisku? czyżbym już gdzieś należał, nic o tym nie wiedząc?). Nie ma żadnego mężczyzny, w każdym

razie męża, obie P. żyją w związku partnerskim, bez rejestracji. Obie są karane za drobne przestępstwa, oszustwa, wyłudzenia, poświadczenie nieprawdy (to ostatnie – czy nie jest cnotą?). Mają wyroki w zawieszeniu, więc nietrudno było przemówić im do rozumu, wystarczyły bilingi i adres IP komputera. Obie mają bogatą przeszłość, prowadziły agencję towarzyską (nic dziwnego, że czują awersję do mężczyzn), ale konkurencja na tym rynku jest bezlitosna, grupa Draba, jeśli mi to coś mówi (nie mówiło, ale przemawiało do wyobraźni), zniszczyła im lokal, pobiła klientów i dziewczyny. Sprawa była głośna, bo stołowali się tam też policjanci z Komendy Staromiejskiej, mieli po drodze do pracy. Nie mogli tolerować takiej samowolki i posypały się aresztowania.

Co do narkotyków, to trudno powiedzieć, szkoda, że nie zachowałem próbki. W mieście toczy się w każdym razie narkotykowa wojna, jak nie przymierzając w Kolumbii, na pewno nie umknęła mi w tym tygodniu jatka na Gaju (umknęła, tydzień minął mi pokojowo, na kasowaniu maili i spaniu). Może to jakiś odprysk, na przyszłość lepiej unikać. Nie chciałby być niedyskretny, ale nowe znajomości czasem lepiej prześwietlać, zanim się je zawrze, znam adres.

– A właśnie, czy my się skądś nie znamy? – na koniec zapytał.

– Możliwe – bąknąłem na odchodnym. Przyjemność po jego stronie.

Znowu poczułem się osierocony. Straciłem swoją wartość. Do tej pory rosłem o dziesięć tysięcy dziennie, a teraz w jednej chwili zbankrutowałem, jak Budimex. Nikogo już nie wzruszają moje filmy, można je odesłać do archiwum, niczym nieme kino. Nikomu nie złamię życia ani nie skleję. Szedłem nad fosą, byle dalej od ponurych gmachów z klinkierowej cegły, mijając obojętną publiczność, nie moją, przed którą się nie skompromituję. Niechby nawet umorzono postępowanie z powodu znikomości czynów, ale żeby go w ogóle nie wszczynać? Przecież podobieństwo do osób było zamierzone i powinno podlegać rozpoznaniu. Dodatkowo udokumentowane na zdjęciach i filmie. Nie będzie kryminalnej opowieści, która zapewniłaby zyski i sławę, tylko kunktatorskie skróty, zupełnie nienadające się na ekran, jakby w projektorze też zamontować żarówki energo oszczędne: niedoświecone cienie.

Włókłem się żwirową ścieżką na marginesie parku, pod nogi nawiewało coraz więcej liści, suchych i dziurawych, kruszących się pod butem, czarna plamistość klonu. Jakaś licealistka w dreadach podała mi ulotkę, przy zakupie jednego drugi gratis, zdążyłem przeczytać, zanim wyrzuciłem, cokolwiek by to było, i tak nie tknę drugiego. Wstąpiłem do tej samej trattorii, podwiążę się pod spaghetti.

– I butelkę montepulciano, lekko schłodzoną – pokazałem kelnerowi palcem na karcie, żeby się nie pomylił. Niech zacznie się fermentacja, niech trwa. Niech się trawi.

W R. umarła ciotka. Zapomniałem, że mam ciotkę, do tego śmiertelną. Z trudem skompletowałem czarne ubranie, lniana marynarka nie wyglądała żałobnie, i umyłem głowę szamponem przeciw łupieżowi, może coś pomoże. Chociaż i tak potem okazuje się, że najwięcej się sypie z brody, nawyk pocierania. Wiadomość przyszła w ostatniej chwili, postanowiłem wziąć samochód. Spakowany, z małym wieńcem, od którego musiałem oderwać szarfy z głupim tekstem (nie ostatnie i nie pożegnanie) i kiczowate lilie, zjechałem do garażu.

Dopiero kiedy wsiadłem, zorientowałem się, że siedzę niżej, mój numer rejestracyjny wypisany na ścianie przesunął się o dziesięć centymetrów do góry. Dziwne, wysiadłem i zobaczyłem flak w przednim lewym kole. Cholera, muszę zmienić. Cofnąłem się o pół kroku, w tylnym było podobnie. Obszedłem samochód, z prawej też opierał się na obręczach. Wszystkie cztery opony były rozplątane nożem na szerokość dłoni, ktoś zadał sobie sporo trudu, chyba jest mężczyzna. I jednak się o mnie troszczył, nie zostawił bankruta samemu sobie.

Musiałem wrócić na górę, żeby się przebrać. Zjechałem do piwnicy po zimowe, może trochę za wcześnie, październik, ale wkrótce zaczną się przymrozki. Trzymam je na felgach, skandynawski zwyczaj, lubię dwa razy do roku podnieść samochód, odkręcić i dokręcić, wtedy nad nim panuję. Zobaczyłem, że tylne tarcze są lekko zardzewiałe, za mało jeżdżę i zbyt ostrożnie hamuję. Zaniósłem letnie koła do piwnicy, przy świetle sprawdziłem bieżnik, znowu szwedzkim sposobem: jeśli czoło króla na jednokoronówce nie chowa się w nim w całości, znaczy, że nadają się do wymiany. Zawsze wożę jednokoronówkę z kluczami, wcale się nie dewaluuje. Schowało się ledwie ledwie, już długo bym nie pojeździł.

Spocony i utyłany wróciłem pod prysznic, nie sądziłem, że to zajmie godzinę. Tym razem zapomniałem o szamponie, niech to szlag, wiedziałem, co mnie czeka: znowu biały proszek. Musiałem jeszcze wstąpić na stację, zatankować i sprawdzić ciśnienie. Przez całą mokrą wiosnę, upalne lato i kawałek takiej sobie jesieni nie ubyło im ani ćwierć bara, też chciałbym się

tak nadać. Była dziewiąta, gdy wyjeżdżałem na północny wschód, przez Psie Pole, jeśli nie utknę w korku, powinienem zdążyć. Silnik pracował bez wysiłku, niemal bezgłośnie, klima tyzacja ledwie szumiała, lubię audi, bo są dyskretne i niewypasione, model za pół miliona niewiele na oko różni się od tych tańszych.

Był piękny, raczej letni dzień, słońce i dwadzieścia stopni, jesień się rehabilitowała na urągowisko zimówkom, czułem, jak roztopiają się na asfalcie, lepiej nie hamować. Wyłączyłem nawigację, nie będzie mnie pouczać, że prosto, znam drogę, i włączyłem radio. Wcale nie nadawało muzyki żałobnej, ciotka nie była tyranem, którego oplakują w nekrologach ministrowie. Przełączyłem na dwójkę, zabrzmiało poważniej, chociaż też żadne *requiem*. Teraz mogłem o niej myśleć bez przeszkód i refrenów. Była najstarsza z rodzeństwa i żyła najdłużej (rodzice podarowali mi łaskę wczesnej śmierci, uprzedzając Alzheimera i innych lekarzy; wcześniej odumarli go rodzice – początek naturalistycznej noweli). Nie znałem jej tak, jak bym chciał, ale czułem bliskość, w miarę oddalania się od rodziny. W dzieciństwie zabierała mnie na wakacje, pamiętam je dokładnie, dzień po dniu, godzina po godzinie, długie wakacje, które się nie kończą.



W Juracie dom stał blisko torów przecinających półwysep. Miałem zabronione się do nich zbliżać, to był jeden z niewielu zakazów, bo ciotka pozwalała na więcej niż rodzice, surowi katastrofiści, świadomi, że świat składa się z ograniczeń. Łamałem go oczywiście, tak jak wszystkie inne. Znałem rozkład jazdy, raptem kilka pociągów plus czasem jakiś towarowy ze sprzętem dla wojska. Zakradałem się, żeby kłaść monety na szynie. Z pięciozłotówki wychodził zgrabny sztylet, przydatny do zabaw z chłopakami. Przeznaczyłem całe oszczędności na broń, jak Karol XII.

Pewnego razu Darek, syn gospodarzy, spędzaliśmy razem całe dni i jeszcze kawałek nocy, założył się ze mną, że nie przejdę przez platformę towarowego, który często stawał obok nas pod semaforem. Wskoczyłem na ostatni wagon, wiózł drewno i był otwarty na przestrzał. Właśnie wtedy skład szarpnął i ruszył. Zamiast od razu wyskoczyć, zanim nabierze szybkości, zawałem się, chwyciłem poręczy i zostałem na stopniu, patrząc bezradnie, jak sosny migają w coraz większym pędzie.

Na szczęście stanął dwa kilometry dalej. Wtedy wyskoczyłem i pognałem do domu, krzaki przy torach smagały mnie po twarzy, piasek wsypywał się do sandałów. Zdyszany przybiegłem kwadrans po kolacji.

– Gdzieś ty się podziewał? – spokojnie zapytała ciotka. – Umyj ręce, mamy naleśniki.

Nie wiedziała, że byłem już w drodze do zakazanej zony, gdzie żandarmeria by aresztowała w zarodku szpiega. Po kolacji podała mi plastry.

– Zaklej, masz rozcięty policzek.

Jechałem w równym, dobrym tempie, między wsiami przyspieszając do setki, żeby nadrobić straty. Wyprzedzali mnie tylko szaleńcy, których wkrótce znajdą na drzewie. Niestety, gdzieś za Sycowem zaczęły się roboty i korek, puszczali ruch wahadłowo. Jakiś tir musiał wjechać na czerwonym i próbował zepchnąć kolumnę osobowych do tyłu, prawem silniejszego. W końcu otworzyli mu remontowany pas i coś się ruszyło, ale w tempie dziesięciu na godzinę. Kilku wyrostków przebiegało tam i z powrotem między samochodami, widać mieli za daleko do torów.

Z Darkiem chodziliśmy, zależnie od humoru, albo nad morze, albo nad zatokę, gdzie można było wypożyczać kajaki. Któregoś pogodnego przedpołudnia wypłynęliśmy jak zwykle, nie przeczuwając nic złego, jak najdalej, do boi wyznaczających pas dozwolony. Tam dryfowaliśmy beczynnie, odłożywszy wiosła. Słońce paliło, niebieska farba łuszczyła się na dziobie, taki upał, że nawet nie chciało się rozmawiać.

– Coś mówiłeś?

– Nie, chyba masz omamy.

I nagle wszystko zgasło, przyszła wielka chmura, uderzył szkwał i ulewa, fala nami zatrzęsła, z trudem utrzymaliśmy równowagę, gubiąc jedno wiosło. Chwyciłem drugie i pracowałem nim z całej siły, śmiesznej wobec wiatru. Spychał nas z łatwością coraz dalej od brzegu, do kajaka chlustała woda, nie nadążaliśmy z jej wylewaniem gołymi rękami, zaraz zaczniemy tonąć. Od brzegu dostrzegł nas ratownik i ruszył motorówką na pomoc. Z trudem doholowaliśmy kajak do przystani, miał pełne zanurzenie. Ledwie zdążyliśmy na obiad.

– Aleście zmokli – powiedziała ciotka, rzucając topielcom ręcznik. Pod koniec wakacji Darek pokazał mi swój skarb, kilkanaście naboji znalezionych w lesie przy granicy poligonu, nie wiadomo, wojennych czy pokojowych. Wieczorem rozpaliliśmy ognisko na wydmach daleko od domu, w wielkim naturalnym dole. Wrzuciliśmy je wszystkie naraz i schowaliśmy się za górą piasku przed kanonadą. Po kwadransie jeden wystrzelił, stłumionym niegłośnym pyknięciem jak mokry kapiszon. Odczekaliśmy jeszcze pół godziny, aż wszystko się wypali, i szybko zasypaliśmy ognisko piaskiem, wojna się nie udała. Kiedy wdrapaliśmy się znów na górę, rozległ się jeszcze jeden przytłumiony strzał, kapitulacja albo egzekucja.

– Jak wystygną, wyjmę je i rozbiorę – zapowiedział piroman.

Wzięłem ją za Opoczmem, podróżniczkę nie z ogłoszenia. Szła po prostu wzdłuż szosy, z lewą ręką uniesioną do poziomu, a kciukiem do pionu, ocierając się o samochody, na grubość lakieru. Zatrzymałem się kilkadziesiąt metrów przed nią, zjechałem na pobocze i włączyłem migacz. We wstecznym lusterku widziałem, jak próbuje podbiec i zaraz potyka się na koturnach. Otworzyła drzwi pasażerki i schyliła głowę, rozpuszczone włosy zasłoniły pół twarzy.

– Można?

– Proszę, przecież po to stanąłem.

Z tyłu ktoś zazdrosny trąbił na wiwat, choć bez trudu mógł mnie ominąć.

Cała była na czarno, czarne koturny, rajstopy, spódnica, skórzana kurtka, pod kurtką czarny, ani trochę niesprany podkoszulek, czarne obwódki wokół oczu i czarna szminka, tylko kolczyki na wardze, w nosie i na lewej brwi były srebrne – może z czasem szernieją. I kolce na obroży, ochrona przed wampirem. Tym razem nie dotarłem do bielizny, domyślałem się koloru. Mógłbym ją wziąć na pogrzeb, jest odpowiednio ubrana, gdyby tylko zacerować wielką dziurę na kolanie, przez którą prześwitywała blad różowa plama z czerwoną krostą. – Nie w szkole? – zapytałem, żeby coś powiedzieć. – Właśnie mnie wyrzucili – oznajmiła z triumfem – no to jadę sobie do miasta. – Dłuższą chwilę mocowała się z pasem, im energiczniej ciągnęła, tym szybciej się blokował. Oderwałem prawą rękę od kierownicy i pomogłem jej zapiąć, przez sekundę poczułem pod nadgarstkiem coś miękkiego, teraz była dodatkowo przepasana czarną szarfą i bezpieczna.

Jak to: wyrzucili ją? Może opowie? No normalnie, przyszła dyrektorka, jęzga, i powiedziała, że ma się pakować. Ale za co, tak bez powodu? A tam, zawsze się coś znajdzie, trudniej byłoby znaleźć powód, żeby zostać w szkole. I co będzie robiła w R., bo to jest to miasto? A, pochodzi sobie, bo dawno nie była. I pójdzie do Macdonalda na hamburgery, jest promocja, te małe sprzedają teraz po dwa złote, opcha się na tydzień. Czy wypada komuś w takim stroju, może lepiej by poszła ze mną na stypę. A jak wróci? – zacząłem się martwić, że zaśnie gdzieś pod dworcem objedzona

hamburgerami i wystawiona na meneli bez sponsoringu.

– Spokojnie – odpowiedziała, wcale nie skracając, przeciwnie, przeciągając sylaby – dziewczyna sama zawsze złapie stopa, gorzej, jak z chłopakiem.

Zbliżaliśmy się do celu, od zachodnich przedmieść, byłem już spóźniony i nie mogłem jechać przez centrum, wysadziłem ją gdzieś na przystanku autobusowym, dokąd sam bym nie trafił, ale ona sobie poradzi. Czy możliwe, żeby nie wróciła do szkoły? – zapytałem na koniec. E tam, wróci, wcale się przecież nie spakowała, zostawiła torbę z książkami i koleżanki. Choć sama nie wie po co. Krążyłem przy cmentarzu, nie mogąc znaleźć parkingu, już się zaczął ruch przed Wszystkimi Świętymi, z należnym wyprzedzeniem, jednak więcej jest żywych. W końcu zaparkowałem dobry kawałek od bramy i puściłem się pędem, w tempie, które nie przystoi pogrzebom, czy to jakaś tradycja, że do ciotki musi zawsze przy biegać spóźniony i zziąjany?

Zziąjany dotarł do cmentarnej kaplicy w połowie ceremonii i powoli przesunął się do przodu. Niewielka przestrzeń była szczelnie wypełniona ludźmi, których nie znał, staruszkami i sąsiadkami, w pierwszych rzędach siedziała – najwyraźniej także jego – rodzina. Odwzajemniał dyskretnie ukłony i spojrzenia spode łba. Trzymał splecione ręce, naśladując modlitwę, czegoś w nich brakowało, naturalnie, wieńca, zostawionego na tylnym siedzeniu. Ksiądz modulował głos w zaśpiewie, jakby ekumenicznym, ze wschodnim akcentem. Módlmy się, módlmy, bo nie znamy dnia ani godziny – podnosił obie ręce, na przegubie lewej odsłaniał wielki srebrny chronometr z dokładnym sekundnikiem.

Służebnica ciotka leżała w dębowej trumnie przygnięcionej ogromnym wieńcem, jego niedowieziony mały zmieściłby się jak łożysko w środku. To był tylko pokropek, krótki, sumaryczny, zmarła miała na pieńku z parafią i proboszczem, trzeba było sprowadzać znajomego księdza z daleka.

Kiedy pochód zaczął się formować, okazało się, że musi nieść ten wielki wieniec, igły jodły, nie, świerka, bo kłuły boleśnie w brodę, zapachniały upojnie, nie pogrzebem, lasem w górach, życiem.

Drugi raz ciotka zabrała go w góry na ferie zimowe, z Mirką, dalszą kuzynką, starszą o dwa lata. Od Hucisk musieli iść na piechotę, dźwigał plecak i narty, padał gęsty śnieg i przyklejał się do potu na czole, nowa kraciasta koszula, którą chciał się pochwalić przed kuzynką, okazała się włosiennicą. Kiedy dotarli do schroniska, był lepki i mokry, jednocześnie rozgrzany i przemarznięty, nogi w lodowych osłonach drżały własnym życiem, jakby już nie należały do niego. Ciotka zamówiła trzy herbaty z sokiem w wielkich porcelitowych kubkach z granatową opaską, do dziś pamięta szczerbę na krawędzi, czuje ją pod językiem.

Jeździli na wyciągu wyrwirączce na hali, do zaczepów przywiązany był kawał starej dętki, która miała łagodzić szarpnięcie, niczego nie łagodziła i po całym dniu ręce mocniej ich bolały niż nogi. Mirka była bardziej zaawansowana, opanowała już chrystianię i jadąc przed nim, pokazywała, jak przenieść ruch z ramion, poprzez biodra, aż do łydek. Wpatrywał się w jej zgrabny tył, opięty elastikami, i regularnie padał. Wreszcie złapał skręt w lewo, prawy urywał się wciąż w połowie, na szczęście stok był tak ułożony, że gdy zaczynał na skraju, mógł jako tako zjechać do wyciągu lewoskrętnie.

Wieczorem grali w pingponga, w zimnej kamiennej sali na dole, i wtedy brał rewanz. Jak Chińczyk ścinał jej niezdarne piłki, łatwy łup, szybujący za wolno, za wysoko.

Któregoś dnia zepsuł się silnik w wyciągu i nie bardzo wiedzieli, co robić.

– Idźcie na Grzesia – doradziła ciotka – dla mnie to za wysoko.

Zatrzymali się przy pustym szałasie na ostatniej hali, żeby zjeść kanapki. Kawalek żółtka został jej na wardze.

– Nie, trochę wyżej. – Roztarłem go palcem. Zrobiła się ciepła wiosna i rozpięli kurtki.

– Możemy się opalać.

– Czekaj, gryziesz za mocno – powiedziała, podnosząc się na łokciu i wciskając mi śnieg za kołnierz, aż parzył. Zbiegali bez tchu, na złamanie karku, aż znów się przewrócili. Jej mokre włosy, przyklejone do policzka. Odgarnęła je za ucho, dorosłym gestem aktorki. Jej pot pachniał inaczej,

łupinami orzecha, octem balsamicznym, zapachem pożądania sprzed antyperspirantów, już nikt inny nie spocił się przy nim w ten sposób.

Złapał się na tym, że wspominając ciotkę, myśli tylko o sobie, o swojej przyjemności, rozciągniętej na lata. Ale czy nie o to jej chodziło, kiedy zabierała go na wakacje, żeby mógł odetchnąć na chwilę od domu, cholerycznych rodziców, i coś przeżyć na własną rękę? Ciotka żyła dla przyjemności innych. W liceum, gdzie uczyła matematyki, uczniowie ją uwielbiali. Największych osłów potrafiła doprowadzić do matury, a najzdolniejsi wygrywali olimpiady w cuglach. W konkurencyjnej szkole uczył sadysta, tyran, gdzieś tak od całek doprowadzał uczniów do samobójstw. Odratowanych przejmowała ciotka i po kilku miesiącach śmiali się tamtemu w kułak. – W normalnym kraju – mówiła – dostałby *berufsverbot*, a potem poszedł siedzieć. Zupełnie desolidaryzowała się z gronem pedagogicznym.

– Nieudacznicy i rewanżyści – sarkąła. – Napędzają sobie korepetycje, zupełny rozstrój szkoły.

Wielokrotnie chcieli ją wyrzucić. Nasyłali politruków z kuratorium.

– Matematyka nie jest socjalistyczna – odpowiadała. – Ani wywrotowa.

Dyrektor jakoś jej bronił: nikt nie ma lepszych wyników.

Miała dobrą starość. Od dawna już nie pracowała, ale wciąż podsyłano jej uczniów, którym nie potrafiła odmówić. Brała przypadki beznadziejne i młodocianych geniuszy. Teraz wszyscy szli za nią, licząc kroki do grobu. Stanęli w wąskiej alejce, rozproszyli się wśród mogił, ustawionych za gęsto, wciskanych w każdy przesmyk, jakby po życiu w mrówkowcu nadal trzeba było ciąć metraż. Wózek z trumną nie miał jak wykręcić, trzeba było ją zdjąć i ostatnią prostą przenieść na ramionach. Najbliżsi ustawili się najbliżej, w półkolistym rzędzie, Mirka znalazła się obok i ścisnęła go za rękę, krótki męski uścisk. Poczul miły dreszcz, nie na miejscu, rozpoznał w niej narciarkę, teraz o parę lat młodszą od niego, te same oczy, żywe piwo, tyle że ły tym razem nie nabiegły od pędu i mrozu (nie nosili gogli). Dalej stał jej mąż i dwie bliźniaczki, podobne do matki i do siebie jak trzy krople wody.

Z trudem rekonstruował dalszą rodzinę, jabłoń genealogiczną, od której

jabłka poleciały na kilometr, przypominał sobie imiona, Danka, Magda, Roman, brzmiały jak podpisy w ogłoszeniach, nic mu nie mówiły, nie łączyły się w koligacje i wspomnienia. Ksiądz powtórzył swoje kwestie, pokropił i rzucił piasek na wieko, zachrząścił nieprzyjemnie, nikt nie przemawiał nad grobem, nie rozwiązywał równań, ciotka pozostanie na wieki niewiadomą. Na najniższej gałęzi przysiadł rudzik, rudziki są niskopienne. Dusza, kiedy ulatuje, musi się wcielać w ptaki, to naturalne. Na pogrzebie ojca stukał dzięcioł, samica dzięcioła bez czerwonej czapki. U matki na jarzębinie przysiadła jemioluszka, z odpowiednio posepnym wyrazem. Teraz rudzik, ruchliwy i towarzyski, w ogrodzie wszędogbylski.

– Nie ma stypy – powiedziała Mirka – nikt nie chciał urządzić. – Ale może wpadłbyś na obiad?

– Nie, dziękuję, muszę jeszcze iść do rodziców, a potem zaraz wracać – wymówiłem się drogą i korkami.

– Szkoda, poznałbyś rodzinę. – Rozstaliśmy się w głównej alei. – Spotkajmy się może wcześniej – rzuciła na odchodnym – niż na następnym pogrzebie.

– Ale mnie już nie ma kto umrzeć – powiedziałem, kiedy już nie słyszała, sobie ku przestrodze.

U rodziców nic się zmieniło, stara śmierć, stara bieda. Wyrzuciłem znicze, zapaliłem znicze.

W murze niedaleko zrobiono nową bramę i parking, cmentarz otwierał się na północny zachód, i tam je kupiłem. Nie dotrwają do Wszystkich Świętych, nie szkodzi, wtedy przyjdą nieznanymi pacjenci, którzy przeżyli lekarzy, i zapalą.

Wróciłem do samochodu. Za wycieraczką tkwiła kartka. Mandat? Przecież zaparkowałem jak należy, ryzykując spóźnienie, po mandat mógłbym stanąć znacznie bliżej wejścia. To była ulotka kamieniarza, dziesięć procent rabatu do końca roku na granit. Chyba wolę lastryko, stare i omszałe, pękające zimą od lodu w szczelinach, zamiast nowych polerowanych powierzchni, groby powinny się starzeć razem z umarłymi, a nie lśnić nowością, jakby tamci mieli umierać od nowa co sezon.

Musiałem jakoś pozbyć się wieńca, nie chciałem wracać, ciotka miała ich



za dużo, teraz pewnie buszuje tam rudzik, uprzedzając hieny. Przy murze leżała sterta spękanych płyt chodnikowych, wymienionych i czekających na zmiłowanie. Wdrapałem się na nią, tak że miałem widok na starszą część cmentarza, z kapliczkami i pomnikami. Najbliżej sterczał przekrzywiony krzyż, cały z rdzy, nie wiedzieć jak się trzymał. Rzuciłem i trafiłem, jak w dzieciństwie w serso. Nowy wieniec zawisł nad starym grobem. Nie wiem, kogo tak udekorowałem, rozliczą się z ciotką.

Wycofałem i pojechałem z powrotem. Na Borkach zobaczyłem drogowskaz: centrum, i w ostatniej chwili skręciłem. Mnie też się należy spacer po zatartych śladach. Bez trudu zaparkowałem w pobliżu liceum, gdzie strawiłem cztery puste lata. Idąc, ominąłem je szerokim łukiem i uświadomiłem sobie, że szerokim łukiem powinienem tu omijać prawie wszystko, szerokim łukiem szkołę i kościoły, szpital, w którym pracował i umierał ojciec, z równym zapałem, bibliotekę, skąd wykradałem książki i do dziś nie zwróciłem, zimne pustawe kina (raczej miejsca po kinach), wagarowałem w nich na seansach przedpołudniowych, dworzec, gdzie czekałem na nocny pociąg, którym A. wcale nie przyjechała, szerokim łukiem korty, gdzie przegrywałem sromotnie, uparcie psując z backhandu, a zimą lodowisko, rozbiłem głowę i przez miesiąc byłem na wpół sparaliżowany, komendę, tu pobili mnie po raz pierwszy i wpoili bezsilność, pewną zatęchłą kamienicę na Malczewskiego, gdzie ze złości i rozpacz, zapłaciłem za coś, czego nie mogłem uzyskać od M., szerokim łukiem kilka innych domów, do których dziś bym nie zajrzał ze wstydu, nawet swoją ulicę, kiedyś pełną ogrodów, cóż jest lepszego niż dom z ogrodem w centrum, teraz wybetonowaną na przestrzał, kłębówisko parkingów i szkaradnych garaży, z jedną samotną gruszą sterczącą za śmietnikiem, szerokim łukiem, szerokim łukiem: miasto bez cięciwy.

Coś mnie jednak pchało do przodu, perwersyjna ciekawość śmierci, cmentarz się rozgałęział, z daleka zobaczyłem szczyt sali gimnastycznej, gdzie wrzuciłem nie wiedzieć po co trzysta koszy, niczego nie wygrałem, cały w kulfoniastym graffiti, więc jednak ktoś tu żyje. Chcąc nie chcąc, puściłem się codzienną drogą do i ze szkoły, siedłem kawałek plantami, przynajmniej tu drzew nie ścięli. Skręciłem obok przedszkola, dziwnie

opustoszało, dzieci, które się w nim bawiły, miały już swoje. Późnym popołudniem nie spotykałem nikogo, jakby ogłoszono tu stan klęski i zabroniono opuszczać domy.

Na bocznych ulicach były tylko lumpeksy i lombardy, i jeszcze coś nowego: małe kolorowe spelunki z automatami do gry, gdzie można przegrać zasilek, to miasto nie wstąpiło nigdy do Unii. Szedłem po swoich śladach, jednak nieścieralnych, zostawionych przez obcasy z Radoskóru. Minąłem stadion Broni, ważne miejsce, niestrzelony karny może komuś zrujnować życie, a obroniony przechodzi do annałów. Niewiele z niego zostało, za to obrósł nowymi budynkami dla działaczy, z hotelem, gdyby po nadgodzinach mieli zostać na noc.

Ominąłem szpital łukiem nigdy nie dość szerokim i zbliżałem się do centrum. Mimo wszystko wyglądało trochę lepiej, banki zajęły miejsca lombardów, sieciówki zastąpiły lumpeksy. Wszędzie ustawiono niewysokie kuliste lampy z przyjemnym żółtym światłem, właśnie się zapalały, za wcześnie. Główny deptak był wybrukowany kostką, niezachęcającą do szpilek. Kościół garnizonowy zaanektował cały plac Konstytucji, otoczył go wysokim żelaznym parkanem, w nawiązaniu do preambuły. Sprzed Urzędu Miejskiego, Corazzi z czterokolumnowym portykiem, zniknął basen, a pojawiła się szeroka aleja łącząca się bez przeszkód z parkiem, dziwnie prześwitującym aż po katedrę, czyżby i tu przetrzebiono drzewa? Do ślepego szczytu kamienicy z prawej przylgnęła zgrabnie galeria handlowa, długa i wąska, dla szczupłych klaustrofobów.

Dalej postanowiłem się nie zapuszczać, teren zbyt skażony. Zawróciłem na pięcie i poczułem się głodny, od rana nic nie jadłem. Na skwerze pod kasztanem, obok kortów Startu, dawno zarosłych zielskiem, zobaczyłem nową restaurację. Co to kiedyś było, fabryczka czy drukarnia? Studiowałem kartę przy kontuarze, sprawdzając, czego nie wypiję. Kelnerka, barmanka, może właścicielka obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem, miała zęby równe jak implanty, filuterne dołki w policzkach i oczy nakrapiane wesołością, to więcej niż uprzejmość, zamarłem na chwilę.

– Nie poznajesz? – zapytała. – Nie wierzę, nie poznajesz?

– Tak – skłamałem bez przekonania, zupełnie nie poznając.

– I ty tutaj – ciągnęła niezrażona – kto by się spodziewał!

– Byłem na pogrzebie – skorzystałem z okazji, żeby zmienić temat na bardziej oswojony – ciotka umarła.

– A tak, oczywiście, słyszałam, nie skojarzyłam, ile lat, współczuję.

Rozmawialiśmy tak jeszcze kwadrans, wspominając stare dzieje, co kto porabia i kto się z kim ożenił.

– Nie uwierzysz – powtarzała co chwilę. Wierzyłem, wierzę w przeszłość. Potem zjadłem placki i sernik, dania wcielające tradycję, wypilem dwa podwójne espresso na drogę i serdecznie się pożegnałem, nadal nie wiedząc z kim.

– To wpadaj, kiedy będziesz – dwa razy mnie uścisnęła i nie pozwoliła zapłacić.

– Tak, kiedy będę, wpadnę.

Po ciemku wróciłem do samochodu, gdy już wsiadłem, zobaczyłem nową kartkę za wycieraczką. Mandat? A może to kamieniarz podbija miasto, zataczając coraz szersze kręgi od cmentarza. Wychyliłem się i wyjąłem. To Villa Paradise, położona w wygodnym miejscu przy E7, z dyskretnym strzeżonym parkingiem, proponowała mi towarzystwo modelek w niekrepujących pokojach z łazienkami, prawdziwy klub dżentelmena. Ulotkę przecinała na pół rura niehydrauliczna, owinięta łokciem i kolankiem. Niestety, nie dzisiaj, dojazd nie po drodze, choć przydałby się pokój z łazienką.

Dżentelmen wcisnął przycisk start i ruszył. Tym razem włączył nawigację, aby polecenia – prosto, prosto przed siebie – nie dawały mu zasnąć. Niewiele pomagało, światła z naprzeciwka oślepiły niemiłosiernie i lepiej już było chyba zamykać oczy. Włączył muzykę na cały regulator i opuścił szybę – teraz znów łzawiły od wiatru. Czujnik zmęczenia pikał i proponował mu przerwę, nie wiedząc, że przed chwilą wypił kubek espresso w gościnie u starej nieznamym. Po godzinie walki z sennością wypatrzył przydrożny motel, obwieszony flagami z całej Europy. Dwadzieścia euro za pokój, zapraszał go cennik.

Nie miał euro.

– W takim razie sto złotych – powiedział recepcjonista i hojnie zaokrąglił.

Niezły kurs, może dałoby się tu wymienić jakąś większą sumę? Rzucił się na łóżko, gościnnie zatrzeszczało. Teraz dla odmiany nie mógł zasnąć, takiemu trudno dogodzić. Brakowało mu pizamy, a pościel, wytłaczana w jakieś prążki, wzorki, odciskała na skórze tatuaż bezsenności. Za oknem huczały ciężarówki, tak że musiał wierzgać na chybottliwym łóżku, w ostatniej chwili uskakując przed zderzeniem. Książk coś mówił o ciotce, a ona tylko śmiała się na pogrzebie. W liceum pisał klasówkę z chemii i choć wszystko umiał, nie był w stanie tego udowodnić, bo długopis zalewał kartkę czarną lepłą mazią.

Obudził się, zziębnięty, bez kołdry o siódmiej i wskoczył pod wrzący prysznic. Przez kilka minut nie czuł temperatury, potem krązenie wraca. Dżentelmen jakoś wraca do siebie. Zjadłem croissanta z grudką twardej czekolady wewnątrz, która nie rozpływała się w ustach, i popiłem letnią lurą ze wspomnieniem kawy. Pojechałem dalej. Wziąłem ją przed Sulejowem, stała na przystanku i machała. Była odwrotnością tamtej, spieszyła się do szkoły. Jasna, w jasnych rajstopach, które świeciły. Jeśli miała makijaż, to rozjaśniający. Platynowe włosy spadały na bluzkę albinoski, domyślcie się koloru.

– I jak w szkole – spytałem, żeby przerwać milczenie. Dobrze, tylko mają sprawdzian z chemii. O, to chyba trudne. I miejmy nadzieję, że długopis pisze, a nie zalewa smołą.

Nie, w porządku, lubi ściśle przedmioty, chciałyby studiować na politechnice w Warszawie. Chociaż boi się, że trafi do Łodzi, bo tam ma rodzinę i za darmo pokój. Nieszczęścia też nie będzie, a jeśliby dostała stypendium, to mogłaby się przenieść. Mówiła z takim zapałem o studiach, że fundusz stypendialny już mi się rozwijał w kieszeni.

– Jakie fajne auto – zmieniła temat na jeszcze bardziej techniczny – ciche i wygodne.

Nie sądziła, że się zatrzyma. Ależ tak, opony zimowe stają nawet jesienią, wystarczy jedno machnięcie, jedno skinienie ręki.

– To tutaj – wysiadła na skrzyżowaniu.

Uśmiechnęła się, zęby w srebrnym aparacie nie miały czego rozjaśniać. Dziękuję, chyba zdąży. Powodzenia, będę trzymał kciuki za chemię. Nie

zdeprawowałem dwóch licealistek, czy to zasługa ciotki? W każdym razie niech mi będzie policzone za okoliczność łagodzącą, między czarną a białą.

Koło południa wróciłem na stare śmiecie. Nikt nie czekał, kot nie miauknął, pies się nie rzucił na mnie z radości, drapiąc pazurami o kafle, żona nie spojrzała z wyrzutem za nieobecność nocą. Przedmioty jednak trwały, cierpliwe, niezachwiane. W ostrym słońcu października unosiły się pasma kurzu, nie zasłoniłem okien przed wyjazdem. Niedopita herbata opalizowała w filiżance, wypilem, lubię zimną, poczułem smak garbników. Brudne ubranie leżało na podłodze w łazience i fałdy układały się dokładnie tak, jak je zostawiłem. Piana na mydle zakrzepła, ale jednak była. Piżama czekała rozrzucona na niezasłanym łóżku, nie zdradziła mnie z innym somnambulikiem. Na stoliku nocnym rozłożona książka leżała grzbietem do góry, nie przeczytała się sama. Obok stała szklanka z wodą, która nie zamarzła ani nie wyparowała. Otworzyłem skrzynkę w komputerze, aby sprawdzić, z kim nie połączą mnie więzy z podtekstem finansowym. Nie spotkamy się w cichej knajpce nad kieliszkiem porto, znak rozpoznawczy: okulary i czerwony szalik. Nie pojedziemy w góry na weekend, wyciąg krzesełkowy nie od czuje naszego ciężaru. Nie ogłuchniemy na koncercie, stojąc za blisko głośników, nie będą nam potrzebne korki do uszu, jak miło cię nie słyszeć. Ani się spostrzeżemy, jak się zrobi ciemno, chłód będzie szedł od ziemi, przymrozek przygruntowy, a trawa zachrząści nieprzyjemnie pod butem jak szkliwo.

Nie będziemy ustalać stawki za spotkanie, nie jesteście my profesjonalistami z cennikiem na godziny, całe życie przed nami, nieprzewidywalne, czerpiące, ile zdąży, z funduszu spójności. Nie będziemy wobec siebie mało stkowi, jak ty nie wyniesiesz śmieci, to na ja nie pozmywam. Niewysłowiona pozostanie nasza tęsknota do nas, nie zmieści się w stu sześćdziesięciu znakach.

Wśród powtarzających się propozycji, gwarantujących przygodność i brak zaangażowania – mamy własne uporządkowane życie i nie dybiemy na twoje – dla nich tydzień czekania przekraczał termin zawity, znalazłem jedną, która odbiegała. Od licealistki niezdeprawowanej, czekającej na mecenasa. Chwilę się wahałem, dla przyzwoitości. Ale miałem już

doświadczenie, kilkadziesiąt kilometrów przejechanych z dwiema bez wypadku. Może ocalę ją przed pedofilem świeckim albo księdzem tęskniącym do potomstwa? Może ją uwolnię. Od spoconych prymitywnych dorobkiewiczów ze słomą w butach Lloyda i żmiją w kieszeni. Śliniących się prokurentów z przerostem prostaty. Od brutalnych cinkciarzy wypełnionych piwem. Mężów uciekających przed żonami. Parcianych psychologów fundujących terapie. Od wykładowców w czterech akademiach na cztery etaty, ze wzrokiem płasającym po adeptkach. Korporacjonistów integracyjnych oblizujących się leasingiem. Narcystycznych artystów szukających muzy. Wyborców pewnych partii i aktywistów wszystkich. Od hormonalnych rówieśników tryskających energią i nasieniem nie wiadomo czego. Może ocalę ją przed światem.

Długo się zastanawiałem nad wyborem miejsca na spotkanie. Kawiarnie wydawały mi się zbyt gwarne, pełne *voyeurów*. Restauracje niestrawne, licealistki nie jedzą. Zaprosić ją od razu do siebie było myślą straceńczą. Przez chwilę majaczyło mi kino, bardzo oryginalne, mógłbym podglądać jej profil i podziwiać kolano, może dostalibyśmy dwie zniżki, dla młodzieży i emerytów. Z instalacjami spa miałem już niedobre doświadczenia, gwarantowały wtopę. W parku o tej porze straszą łyse drzewa i gałęzie jak obraz chorób wieńcowych, a zwały suchych liści przywołują różnicę wieku. Ogród botaniczny? Tam są rośliny całoroczne, na każdy sezon, w szklarni można schować się przed lodowatym wiatrem, a obok w Muzeum Przyrodniczym udawać muzealnika przyrody. Nie wiedziałem, co włożyć, litości, nie każcie mu się stroić. Byłe nie ubierać się młodzieżowo, na szczęście z tego wyrosłem, marynarka, jedna, druga, trzecia za bardzo mnie postarzała, włożyłem w końcu jakiś niegroźny sweter w naturalnym kolorze, w serek, odpowiedni dla mężczyzny w każdym wieku, i luźną kurtkę *demisaison* odmładzającą o pół roku.

Marta nie miała takich dylematów, przyszła w spranych dżinsach, za cienkim prochowcu przewiązany w pasie, z zadaniem ukrywania jej figury, i dwóch pomiętych chustkach owiniętych wokół szyi, smukłej, gdyby je odwinąć. Miała silną dłoń i bezbarwne spiłowane paznokcie. Dorównywała mi wzrostem. Poczulem na policzku zimny czubek jej nosa i zapach, jaki pamiętałem z dzieciństwa.

Kupiłem dwa bilety, cały i szkolny, i poszliśmy alejką. Nawet ładnie, nigdy tu nie była. Nie chodzili ze szkołą? Nie, biolog jest nienormalny, robią tylko skalę mikro, od komórki w dół, a nikt nie potrafi odróżnić wiązu od klonu. Inne przedmioty? Różnie, ale na ogół siano. Używała dziwnych określeń. Może angielski, tu się wszyscy uczą, bo wszyscy chcą wyjechać. A ona? Nie, na razie wyjechali rodzice i stąd się tu wzięła.

Mama jest w Birmingham, a tata pracuje w rzeźni. Nie, gdzieś pod Londynem, rozwiedli się wkrótce po wyjeździe. Z babcią, ale to raczej ona potrzebuje opieki, początki alzheimera. Trzeba jej wkładać do kieszeni

komórkę i kartkę z numerem i adresem, bo potrafi wyjść i zapomnieć, jeśli nie weźmie leków. Ostatnio pojechała do domu na Sępólno, gdzie nie mieszka już od pół wieku. Nie chodzi o pieniądze, wcale, rodzice przysyłają zawiązki. Niełatwo powiedzieć o co, o bliskość, o troskę, to wszystko brzmi łązawo, melodramatycznie. Koledzy? Niech zapomni, krótkodystansowcy, rwą laski na wagony, albo znów jacyś pokręceni, o złamanym narządach – miała chyba na myśli serca? – truliby się przy pierwszym niepowodzeniu, jeden naźarł się gałązek cisu – *Taxus baccata*, rósł po drugiej stronie sadzawki – ledwie go odratowali. Nie chce mieć nikogo na sumieniu.

Boi się, że się stoczy, alkohol, narkotyki. Raz upiła się do nieprzytomności, obudziła cała w rzygowinach z jakimś półgłówkiem leżącym w nogach łóżka. Raz w klubie ktoś jej wcisnął tabletkę, połknęła, odleciała. Obudziła się w obcym mieszkaniu z niekoleżanką i trzema mięśniakami, woli nie myśleć, co tam robiła. Zamiast papierosów popala sobie trawę i to jej dobrze robi, tylko boi się dymu, czy nie mogliby produkować plastrów, takich jak dla palaczy, z marihuaną zamiast nikotyny?

Chodziliśmy wokół sadzawki, marznąc, kaczkę nas obgdakały, nie odważyliśmy się jeszcze wziąć pod rękę, żeby oszczędzić ciepło, jej nos był coraz bardziej czerwony, kropla kataru pojawiała się i znikwała.

– Może schowajmy się do szklarni?

Niestety, przezroczysej. W twarz uderzyła fala wilgotnego gorąca, teraz z nosa jej pociekło ciurkiem, wyjąłem z kieszeni chustkę i podałem. Wytarła nos i oczy, czy to nie alergia, wokół rosły okazy alergenów od razu podpisane, z tabliczkami. Nie wiedziała, co zrobić z chustką, zatrzymać czy oddać brudną. Wyjąłem jej z ręki i schowałem do kurtki, pierwsza wymiana płynów, na razie przez tekstylia.

Chyba należy się jej gorąca herbata i może tabletkę aspiryny. Kawiarnia w ogrodzie była już zamknięta, po sezonie, złożone stoliki stały spięte łańcuchem pod ścianą. W tej okolicy są chyba tylko kebaby, nie dla alergików, w przegrzanych śmierdzących budkach, plastikowe lepkie krzesła i solniczki, w których ryż się ugotował.

– Pojedźmy do mnie – zaproponowałem – mam herbatę, wrzątek i



aspirynę.

– Dobrze – uśmiechnęła się, uśmiech przebiegał jak migawka, od ust przez policzki, do oczu. Ale ona wolałaby zieloną, tej nie zalewa się wrzątkiem.

Zostawiłem samochód w przecznicy obok, dla rozgrzewki przebiegliśmy krótki dystans, bileterka posłała za nami zgorszone spojrzenie, przywykła do egzemplarzy tkwiących latami w miejscu.

– Niestety, jest tylko czarna – zawołałem z kuchni.

– Może być czarna, nie szkodzi – powiedziała Marta, zajęta studiowaniem biblioteki. Stała pod regałem i przekręcała głowę, raz w lewo, raz w prawo, bo grzbiety są pisane raz z dołu, raz z góry, dla skołowanych sinusoidalnych czytelniczek.

A zatem miałem zostać kuratorem, wychowawcą licea istki, może powinienem dbać o jej lektury i przejrzeć bibliotekę. Herbatę podałem na tym samym stole, który niedawno służył kokainie. Piła małymi łykami, obejmując kubek obiema dłońmi, aby się rozgrzać, przekazałem jej porcję dzuli, do obliczeń w szkole. Nagle zrobiłem się głodny, skonsumujmy ten związek. Może coś lekkiego, szybkiego, znowu jakiś makaron? Przeszliśmy do kuchni.

Miałem świeże tagliatelle, wystarczy zalać wrzątkiem, nie trudniej niż herbatę. Wrzuciłem garść bazylii i kawałek masła.

– Gotujesz – stwierdziła albo zapytała.

Trudno to nazwać gotowaniem, nawet nie zawrzało. Podałem jej małą tarkę z trójkątem parmezanu. Ucierając, skaleczyła się do krwi, proszę bez porównań. Sięgnąłem po plaster z apteczki.

– Chyba niepotrzebny – wyprostowała palec – przecież już nie leci.

Miała długie palce, za długie na tarkę. Starannie zawijała nitki na talerzu i szybko podnosiła do ust, jakby bała się coś zgubić. Końcówki musiała wciągać i wtedy usta układały jej się w dziecięcy dzióbek.

Będzie musiała wracać. Tak, mogliby wyjechać na weekend, jeśli znajdzie opiekunkę dla babki. Odwieźć ją? Nie, jest tramwaj, to przecież niedaleko. Zdjąłem z wieszaka prochowiec nie na tę porę roku. Chyba jednak powinna coś jeszcze włożyć pod spód. Wyciągnąłem z szafy

bawełniany blezer, trochę nie pod kolor. Włożyła bez protestów i ceregieli. Wyciągnęła ręce, rękawy jej zwiślały dobry kawałek – kaftan bezpieczeństwa. Podwinąłem je parę razy, a potem przytrzymałem za przeguby i pocałowałem ją w czoło, jak bohater powieści. Dziękuję, to na razie, napisze albo zadzwoni.

Wieczorem otworzyłem komputer, opróżniłem skrzynki, nie czytając, i skasowałem ogłoszenia. Miałem z tym trochę kłopotów, bo portal, który nas wpuszcza w swe progi, szeroko otwarty, wypuszcza kuchennymi drzwiami, z najwyższą niechęcią, piętrząc wymagania i przeszkody. Nazajutrz przysłała esemesa: dzięki za makaron, tu ok, czyli do soboty.

W sobotę zadzwoniła do drzwi o dziesiątej, ubrana wciąż na inną porę roku i raczej na niziny. Dokąd chce zajść w tych trampkach? Nic lepszego nie miała, przynajmniej są płaskie. Śniadanie jadła, ale nie pogardzi kawą. W jej wieku nie piłem kawy.

Wstąpiliśmy na Bielany kupić jakieś ubranie. Porządne wibramy – za moich czasów nie mówiło się: trekkingowe – olejowaną kurtkę barboura z kapturem i myśliwskie kalosze do kolan, gdyby miało padać. Przy kasie spotkaliśmy jej sąsiadów. Marta nie zmieszała się i nie zaczerwieniła.

– To mój... – przez chwilę szukała dla mnie odpowiedniej funkcji – ... trener – skończyła.– Jedziemy na weekend w góry – usprawiedliwiła zakupy.

Chyba na koszt ekspedycji, bo trzymałem jeszcze w ręku rachunki i kartę. Wymieniliśmy ukłony i uściski dłoni, przez grzeczność nie zapytali, co mamy trenować.

– Może ustalmy jakąś bardziej wiarygodną wersję – zaproponowałem, gdy zniknęli.

– No coś ty – parsknęła – kogo to obchodzi?

Przy południowym wyjeździe jak zwykle stali autostopowicze, pewnie bym kogoś zabrał, ale nie teraz, sorry. Chałupę w Górach Bialskich, już kawał poza asfaltem, kupiłem przed paru laty. Obejrzałem kilkadziesiąt domów w Kotlinie, plus jeszcze kilka w Czechach, i już zrezygnowałem. Albo jakieś ruiny w głębokich mrocznych parowach, dokąd nie dochodzi słońce i sygnał, albo znów odnowione monstra stojące jednym węglem na szosie. Nad Nysą ktoś chciał mi sprzedać dom zalewany po komin. – Tu nie było powodzi – zapewniał. Kiedy otworzył drzwi wejściowe, zapachniało bagnem.

Już straciłem nadzieję, żeby się pocieszyć, pojechałem do Czarnej Góry na narty. Tam od właścicielki pensjonatu dowiedziałem się o tej chałupie. Na skraju polany, z widokiem na Czernicę, ostatni dom, do którego dochodzi elektryczność, kolekcjonując po drodze przepięcia, tak że po ledwie słyszalnych grzmotach gdzieś daleko spala się od razu instalacja. Odłączam ją, nawet kiedy grzmi gdzieś w Czechach, chociaż podobno nie ma połączenia. Zapłaciłem całą sumę od ręki bez żadnych targów, właściciel patrzył nieufnie, czyżby zażądał za mało? Potem dokupiłem dziesięć hektarów łąki i lasu. Jestem otoczony własnym rombem po paręset metrów w każdą stronę jak buforem.

Remont pochłonął drugie tyle. Trzeba było wymienić dach, więźbę, stropy, podłogi, zostały same kontury. Pod nowym dachem zagnieździły się popielice, na szczęście nie kuny. Musiałem zrobić studnię głębinową, choć poniżej rwie strumień, ale w górach woda jest zagadką, raz zalewa wszystkich, raz jej wcale nie ma. Od południa zbudowałem wielki taras, na którym sypiam latem, z planetarium nad głową.

Przy potoku wykopałem niewielki staw przepływowy, chyba nielegalnie, bo nie wolno spiętrzać. Ale nie odwiódłby mnie nawet prokurator, za chwilę nad taflą wody oddam tydzień więzienia. Żaby są szczęśliwe, chwalą mnie kumkaniem, a zabłąkane pstrągi też znajdują drogę na wolność. W wysokich trawach zalęgły się derkacze i to na nie biorę dopłaty, derkacze nas utrzymują. Słysząc je za głośno, nocą potrafią drzeć się *crex, crex* tysiące razy, w dzień milkną i się nie pokazują. Raz tylko przedelfilowały przed tarasem, dwa brązowoszare kuraki w pozycji wyprężonej.

Mineliśmy Stronie, zjechaliśmy w dolinę.

– Jak tu pięknie – powiedziała Marta, która przespała drogę – pomyśleć, że tak blisko, a nigdy tu nie byłam.

Ostatni kawałek jest stromy, a trzeba jechać wolno, bo kamienie walą o podwozie. Zimą muszę zostawiać auto w dole i wspinać się na raketach, nie pomoże napęd na cztery, wielki prześwit ani łańcuchy. Trzeba by mieć skuter śnieżny, tylko po co płoszyć zwierzynę, na szczęście zmotoryzowani tu nie docierają.

Śnieg w tym roku spadł jeszcze w październiku i utrzymał się przez kilka

dni, zanim stopniał, nawet w północnych jarach już nie było śladu. Teraz, w końcu listopada mieliśmy dziesięć stopni, słońce jak w lipcu, choć o piętro niżej, chowało się za Kopą już o czwartej, zegarek nie potrzebny. Wysiedliśmy, przez ostatnie pół kilometra gonił nas pies sąsiada, biegał jak oszalały wokół samochodu, przysiadał, piszczał, w końcu skoczył na Martę, przewrócił ją i zaczął lizać po twarzy, musiałem go przytrzymać. Poza tym jednym, kilometr w dół za lasem, nie ma innych sąsiadów, błogosławione pustkowie; co parę dni przepala mi w kominku i wietrzy, żeby przepędzić wilgoć.

Przenieśliśmy zakupy i torbę z jedzeniem do kuchni, włączyłem prąd, był, nic się nie spaliło ani nie zerwało. Wstawiłem wodę na herbatę, mamy zapas zielonej. Rozpaliłem w kominku, bo przecież mam kasetę, z rozprowadzeniem ciepła do wszystkich pomieszczeń, wystarcza aż nadto. Marta włożyła kurtkę i siadła na tarasie, pies położył jej łeb na kolanach. Wyniosłem herbatę, uwaga, gorąca, pies podbił mi rękę, teraz domagając się głaskania ode mnie, oblał się wrzątkiem, pisnął i odskoczył. Zająłem jego miejsce na stopniu.

Było cicho, tylko gdzieś daleko rozdarła się sójka, ostrzegając chyba nie nas ani nie przed nami. Nowa kurtka Marty pachniała olejem i zabijała zapach właścicielki.

– Nie możemy tu zostać na zimę? – zapytała nagle, oparła mi głowę na ramieniu.

Chętnie, jest zapas drewna, herbaty, wody nie zabraknie, nawet gdy nas odłączą od prądu, wystarczy zejść do strumienia.

– Gdzie my właściwie jesteśmy – rozejrzała się wokół – czy tu można się zgubić?

– Niekoniecznie, chyba żeby kręcić się w kółko. Ale tak poza tym – uwolniłem prawe ramię i pokazywałem kierunki: – Morawa, Bolesławów, Młynowiec, Goszów, Gierałtów – Stary, Nowy, Bielice, Vrbno, Jaworzyna, Seninka, te ostatnie już w Czechach – zatoczyłem koło.

– A ta biała budowla u góry, prześwituje między drzewami?

– To tylko niebo, też się na to nabrałem, grań w tym miejscu opada i otwiera się prześwit na drugą stronę.

– Nie wierzę, pójdziemy sprawdzić?

– Tak, tylko się przebiorę.

Otworzyłem szafę, wyjąłem flanelową koszulę i butelkę calvadosa schowaną w skarpecie. Złodzieje tu nie zagląдают, bo im nie po drodze, ale ubywało i podejrzenie padło na sąsiada; postawiłem mu jarzębiak w zamian, może nie poczuje aż takiej różnicy. Podałem Marcie kieliszek:

– Wypij, to cię rozgrzeje.

– No proszę, rozpijamy młodzież – uśmiechnęła się sceptycznie i wychyliła. – Dobrze – oblizwała wargi, czekałem na ten ruch językiem.

Sięgnąłem po górskie buty i siadłem na schodach. W prawym spała ruda orzesznica, zwinięta w kłębek i przykryta puszystym ogonem. Wcale nie zamierzała się budzić. Wyjąłem ją ostrożnie i przeniosłem do adidasów, niech śpi, do wiosny ich nie włożę.

– Musimy najpierw zajść do sąsiada, bo inaczej pies się od nas nie odczepi.

Łupał drewno za domem w samej koszuli, stos białych klocków zasłaniał go już do połowy. Trzeba było wejść na podwórko, bo nie słyszał wołania.

– A dobry, dobry – przerwał, odkładając siekierę. – Była wycinka buka, to wziełem sześć kubików – od razu wytłumaczył, żebyśmy go nie podejrzewali o szaber.

Może i ja powinienem zamówić na zapas, jeśli mamy tu spędzać zimy, drewno potrzebuje dwóch lat, aby wyschnąć.

– To jest Marta, kuzynka – przedstawiłem Martę, która dygnęła po wielkomijsku.

– I jak się tu panience podoba? – Panience się po dobało.

– Przyprawdziliśmy psa, bo za nami pobiegł.

– A tak, weznie go na łańcuch.

Marta się przeraziła:

– Może trzeba było zabrać go ze sobą?

Uspokoilem ją. Nic mu nie będzie, uwolni się, jak znikniemy. Poszliśmy duktami, sójki nas śledziły, darły się co chwilę, fałszywy alarm; stukały dzięcioły, przybijając obwieszczenie, uciekały samy i wiewiórki, gotyckie, całe czarne.

Wróciliśmy po trzech godzinach, głodni i zmęczeni. Pies czekał już na tarasie.

– Nie zamknąłeś – powiedziała Marta, naciskając klamkę.

– Nigdy nie zamykam, przed kim, przed zwierzyną? Dołożyłem do kominka, który wypalił się w jednej trzeciej, grube polana utrzymują żar przez kilkanaście godzin.

– Co zrobimy z psem?

– Nic, pójdzie, gdy się ściemni. Ściemnić miało się lada chwila.

– Coś zjemy?

Tak, koniecznie, na wsi życie ogniskuje się wokół jedzenia. Kiedy zjesz, ogrzejesz się, osuszysz, masz dzień zaliczony. Bez telefonów, internetu, maili i transakcji, szalbierstwa aktywności. Czytać można, byle nie gazety, tutaj nie przystoi, chyba żeby wziąć je na podpałkę. Zaczęliśmy układać obiad, proste, zdrowe rzeczy. Żur ze słoika, z kawałkiem kielbasy, razowiec na zakwasie, sałata z przewagą rukoli i roszponki, zwykłe alentejo za piętnaście złotych z Biedronki, najzupełniej zdatne do picia. Na deser twarde gruszki, zmiękczone calvadosem, i dojrzały neufchâtel, tak już śmierdział, że musieliśmy wystawić go za okno.

– Włóż lepiej do puszki – poradziłem Marcie – bo inaczej porwą go złodziejki sójki.

Marta siadła nad matematyką, ma sprawdzian w poniedziałek. Ja wróciłem do tłumaczeń wierszy Erika Einara, których żadne wydawnictwo nie chce nawet za darmo, żądają tylko coraz głupszych kryminałów. Marzę o tym, że któryś przetłumaczy tak mściwie, żeby okazało się, iż kto inny zabił.

– Pościelę ci na sofie przed kominkiem, a sobie w sypialni, tam jest chłodniej – powiedziałem, rozwieszając pościel przy ogniu, żeby się ogrzała.

– Nie śpimy razem? – zdziwiła się niewinnie, tylko żar od paleniska dodawał jej wstydu.

Może jeszcze nie teraz, nie od razu, ostatnio mam kłopoty z zasypianiem i chodzę cztery razy na noc do łazienki. Gorącej wody jest dosyć, wystarczy na kąpiel, ale gdyby jakimś cudem zabrakło – jeszcze nie wiedziałem, ile czasu spędza pod prysznicem – trzeba przełączyć na piecyk elektryczny, tą czerwoną wajchą pod podgrzewaczem. Obudziłem się w środku nocy z

pękającym podbrzuszem, jakbym zaraz miał urodzić. Byłem skąpany w pocie, mister mokrego podkoszulka. Przeszedłem do łazienki, nie spadła ani kropla, całkiem przestałem sikać, już od ilu godzin? Za chwilę mi rozerwie pęcherz i umrę jak Tycho Brahe. Przebierając nogami, stanąłem nad śpiącą Martą, nieźle się zaczyna, nie wiadomo, co gorsze, prostata czy alzheimer. Odrzuciła kódrę, było jej za ciepło. Przekręciła się na bok, odsłaniając udo. Właśnie teraz, stary paralityku, właśnie teraz, kiedy mógłbyś wypełnić puste miejsca w zagłębieniach jej ciała, łuk lędźwi i zgięcie kolan, teraz pojedziesz na ostry dyżur.

Pogłaskałem ją po ramieniu. Tylko mruknęła, znów się przekręciła. Ścisnąłem ją za ramię.

- Co się stało, babcia? – siadła nieprzytomna.
- Muszę jechać do szpitala, rozsadza mi pęcherz, nie mogę się wysikać.
- Teraz, zaraz? Poczekaj, pojedę z tobą.

Rzeczywiście, tak będzie najrozsądniej, gdybym musiał zostać, jak się stąd wydostanie? Ubrała się szybko we wczorajsze ubranie, rozrzucone na fotelu, bluzę zakładając tył na przód. Odłączyłem prąd i tym razem zamknąłem drzwi na klucz, nie wiadomo, co dalej.

Pies leżał zwinięty w kłębek na wycieraczcze, wcale się nie zastosował do moich zapowiedzi. Nie mogłem ustać w miejscu, nie mogłem chodzić, a tym bardziej siedzieć, najchętniej bym pofrunął.

- A mogłabyś prowadzić? – zapytałem przy samochodzie.
- No pewnie, tylko nie mam prawa jazdy.
- Nie szkodzi, kto by miał to sprawdzać o tej porze. A wino?
- Wyparowało – a skoro nie ma prawa, to przynajmniej jej nie zabiorą.

Wsiedliśmy, rozłożyłem swoje siedzenie i położyłem się na plecach. Marta sprawdzała biegi. Ruszyła za ostro, kamienie zagruchotały o podwozie. Pies rzucił się za nami, ujadając, może teraz wróci do siebie.

- Wolniej – poprosiłem, przy każdym podskoku eksplodowałem.
- Szybciej – popędzałem, gdy wjechaliśmy na asfalt, pocilem się jak w saunie, ale spróbujcie wypocić dwa litry moczu.

Lekarz, wściekły i zaspany, wcale się nie spieszył. Robił USG i tylko coś przeliczał,



– Założę panu cewnik – powiedział. – Córka niech poczeka na korytarzu.

Zabrał się do tego jak kowal. Bez znieczulenia wpakował mi rurkę, najpierw zawiąłem z bólu, a potem z ulgą poczułem, jak ciśnienie schodzi. Do plastikowego worka – rzucił go jak szmatę na podłogę – spłynęło półtora litra.

– Musi pan operować prostatę, jak najszybciej. Cewnik można nosić miesiąc. Ale radziłbym się pospieszyć. Na odchodnym rzucił mi plastikowy haczyk:

– Niech pan sobie powiesi.

Gdzie miałem sobie powiesić, chyba trzymać w zębach? Worek, opróżniony, znowu się napełniał mieszaniną moczu i krwistej plazmy.

– To normalne – uspokoiła mnie pielęgniarka, widząc przerażenie – uszkodziły się błony.

Ma tak krwawić jeszcze przez parę dni, potem powinno przestać. I niech sobie przywiąże worek do łydki albo uda. Zostawiła mnie z workiem krwi i moczu w rękach i poszła. Weszła Marta, nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Nieźle cię urządzili.

Rzeczywiście, facet sikający do worka przez rurkę to ucieszny widok.

Męczyzna pozbawiony wolności sikania jest upokorzony.

Stawał pod drzewem i się odlewał, to dawało mu przewagę nad nią.

Na wsi nigdy nie sikałem w toalecie, wychodziłem na dwór. Oznaczałem granice, ulepszałem kompost. W zimie robiłem w śniegu dziury na pół metra, przebijałem lód na kałużach. Teraz stałem w obskurnym gabinecie za dziewiętnastowiecznym parawanem i dzierżyłem w ręku swoje wydzieliny. Poszedłem z nimi, z rurką wychodzącą z rozporoka, do samochodu. Jak położę worek na podłodze, będę mógł prowadzić.

Wróciliśmy, jeszcze nie świtało. W kominku pełno było żaru, nawet nie dokładałem. Może uda się jeszcze przespać parę godzin. Położyłem się na boku, rzuciłem opróżniony worek pod łóżko. Rano doceniłem jego dobrodziejstwo, pierwszy raz od miesiący pęcherz mnie nie budził. Przywiązałem sobie zbiornik do łydki. Teraz wystarczyło stanąć na trawniku i otworzyć kranik pod nogawką od spodni, jaka wygoda, nie trzeba ich nawet ściągać. Dwa litry pojemności, to lepsze niż własny pęcherz. Który

stał się tylko stacją przepływową, nigdy się nie napełniał.

Przez pół niedzieli rąbałem drewno, żeby sobie dodać odjętej męskości, a Marta układała w sztaple. Nie tak, poprawiałem ją, muszą się schodzić do środka, inaczej, gdy drewno przeschnie i się skurczy, wszystko się zawali.

Wróciliśmy wieczorem, włączyłem internet i zacząłem czytać. Turp, przecewkowa resekcja gruczołu krokowego, nic strasznego, godzinna operacja, po trzech dniach jest się w domu.

– Nie przejmuj się – Marta podtrzymywała mnie na duchu, duch nie musi sikać – mój dziadek miał to samo. Świetnie, awansowałem na dziadka, który na dokładkę nie żyje.

Wśród powikłań impotencja pojawia się najrzadziej, ale nie można jej całkiem wykluczyć. Miałbym nie reagować na Martę? Trudne do pomyślenia. Wyciąga bosc nogi na kanapie, żadnych uczuć, jak ortopeda? Czesze się przed lustrem, włosy elektryzują się pod grzebieniem – dotykam ich zimną ręką perukarza albo fryzjera? Kładzie się, podciągając kolana, w pozycji embrionalnej, przykrywam ją, żeby nie zmarzła, a w krwiobiegu temperatura nie drgnie mi choćby u pół kreski, nawet u Fahrenheita. Wcale nie reaguję na jej koleżanki, czujki rozstawione po mieście, mój telefon nie brzęczy, aplikacja jest martwa. Nie, w istocie jest jeszcze gorzej: reaguję prawidłowo, bodźce docierają do mózgu i wbijają się w stos pacierzowy, tylko krwiobieg już nic nie może mimo zaawansowanej farmakologii. Zadzwoiłem do prywatnej kliniki, zrobią to od ręki za pięć tysięcy. We wtorek było po wszystkim, bez żadnych komplikacji.

Pisanie o pielęgniarkach powinno być karalne, ale sytuacji piszącego już nic nie pogorszy, niech pisze: zatrudniono boginki, aby ci, których komplikacje dotyczą, zachowali ich obraz. W piątek mnie wypisano. Przez parę tygodni mogę sikać na boki (sikałem po czterech ścianach), zanim wszystko się unormuje. Przez sześć muszę się powstrzymać od życia intymnego. Trudno, w takim razie oddamy się innym czynnościom, przedłużymy się karencją. Wróciłem do domu taksówką, to lepiej niż karetką.

Marta posprzątała, zmieniła pościel, wyszorowała łazienkę, żebym miał co oblewać, zapełniła lodówkę i ustawiła tulipany w wazonie na stole kokainowym, czy miałem ten wazon? – Zapomniałem spytać, jak

matematyka. Dobrze chyba dobrze, rozwiązała sześć na osiem.

– Pojedziemy znów na wieś? – oczy jej się zaświeciły. Nie ma przeciwwskazań, tulipany będą więdły pod naszą nieobecność, czy nie to lubimy najbardziej: w jednym miejscu zastawić pułapkę na upływ czasu, a pojechać w drugie?

Tymczasem leżeliśmy na kanapie, tasując kanały. Otworzyłem flaszkę, której Bieńczyk by się nie powstydział. Mogłem wreszcie pić, ile wlezie, nie martwiąc się o odpływ. Co będę robił na święta, to już niedługo? Nie wiem, nie możemy ich spędzić razem, w górach, może na nartach? Nie, chyba musi pojechać do mamy do Birmingham, babcię wzięłaby ciotka. Ale mogłaby wrócić na sylwestra. Sylwester? Nie lepiej, żeby spędziła go z kolegami? Tak, zostałyby do północy na jakiejś imprezie, a potem przyszła tutaj. Jeżeli ja będę? Będę, gdzie mam być, nie tańczę i nie puszczam rakiet psom do wiwatu. Tylko czy będą jeszcze bilety na samolot, zapomniała zarezerwować, na święta nawet tanie linie są drogie. Otworzyliśmy internet, proszę, planowałem z Martą życie, mieliśmy wspólny kalendarz. Znaleźliśmy jeszcze miejsce z Krakowa, drogie jak w British Airways, na Nowy Rok chcą się odkuć. Z bagażem? Tak, musi zawieźć masę rzeczy, w tym koncentrat barszczu. Kupiłem, wpisałem jej nazwisko i zazaczyłem, że zapoznała się z warunkami. A czy coś stamtąd dla mnie? Nie, chyba nie, dziękuję. Albo tak, cytrynowy curd i ser cheshire, zjemy na śniadanie noworoczne.

Pierwszy raz od lat – od ilu, od ilu? – będę musiał wymyślić prezent pod choinkę, a potem może jeszcze ustawić nad nim drzewko. Co można kupić maturzystce, wszechstronnie uzdolnionej, chyba kompendium wszystkiego. Zacząłem dyskretny wywiad. Jakaś elektronika? Nie trafiło na amatora, posługuje się archaiczną nokią ważącą pół kilo i działającą nawet kilka godzin w trybie czuwania. Muzyki słucha ze starego już ipoda, w którym i tak się mieszczą wszystkie dźwięki świata. W tym roku hitem mają być słuchawki, oddziela od zgiełku i hałasu, oferując sublimację łomotu. Wyobraziłem ją sobie w nowych wielkich słuchawkach, podryguje, porusza ustami, ale nie można jej nic po wiedzieć.

Nie, chyba wolę mieć dostęp do jej uszu, nawet gdy milczymy, poza tym

za co by zakładała włosy, spadałyby na twarz, zasłaniały, straciłbym jej profil. Książki, jasne, mógłbym jej podarować moje zebrane przekłady, byłaby spora paczka, tak pewnie zrobię, niech tłumacz się uwidacznia. Coś z ubrania? Raczej bym się nie odważył, ubiera się w sposób nieprzewidywalny, na przekór modzie i prognozie. Chyba że strój na narty, no i narty, zdaje się, że nie ma. Jak nie w Alpy, to przynajmniej do Międzygórze i na Czarną Górę. I biegówki, żeby dotrzymała mi kroku na białskich duktach.

Może dobrą lornetkę, najchętniej Swarovskiego, bo ta, którą trzymam na wsi, jest za słaba, za ciemna, nie zapewnia nam należytych widoków.

– A co byś chciał pod choinkę? – przerwała mi w tym miejscu.

Nie wiem, czy uważa, że mi czegoś brakuje? Uśmiechnęła się sceptycznie i zaczęła liczyć na palcach, prostując jeden po drugim, szybko doszła do dziesięciu, brakowało jej ręki, nawet nie zauważyłem, że ma nowe paznokcie w kolorze burgunda, nie odróżniały się od kieliszka. Aż tyle? To są tylko możliwości, niedostatków jest więcej, prezenty im nie pomogą.

Tak traktować rekonwalescenta? – Sięgnąłem po wino. Jeśli chce być obdarowany, trzeba go rozpracować. Przydałby się nowy pasek do spodni, bo ten jest popękany jak końska uzda, najchętniej krótszy, tak żebym musiał do niego schudnąć. Przecież schudłem, od operacji straciłem parę kilo, nie licząc tego, co mi usunęli, dwadzieścia procent gruczołu. Te oprawki nadają się na złom, są krzywe i mam w nich zezę. Możliwe, ale trafiła na kogoś, dla kogo zmiana okularów jest trzęsieniem ziemi. Zresztą noszę też soczewki, chyba nowoczesne? Ubrania trzeba by choć w połowie odnowić, istnieją inne formy poza swetrem w serek. Bielizna jest w porządku, a że starczą piżamę zastępują bokserki i podkoszulek, to nawet lepiej.

Woda po goleniu może być, choć są zapachy młodsze i mniej machoidalne. Ale ja się nie golę (od czasu wymuszonej wizyty u fryzjera). No to toaletowa, wszystko jedno, a brodę mógłbym trochę częściej skracać, i radykalniej. Meble zostają, jak najbardziej, tylko trzeba by dorzucić trochę pledów i poduch, żeby się głębiej zapadać. Do samochodu się nie wtrąca, opony doczekały się wreszcie swojego sezonu, miejmy nadzieję, że zmieniłem płyn do spryskiwaczy. Nie zmieniałem od zeszłej zimy. W

lodowce już zrobiła porządek, mógłbym trochę ograniczyć krwiste mięsa na korzyść ryb i warzyw, czy mierzyłem sobie ostatnio cholesterol?

Tak, i jest poniżej, jeśli chce mi zaproponować jakiś suplement diety, to dziękuję, nie przełknę, gdyby zjeść je wszystkie rzekomo niezbędne, to człowiek by skonał. Czy w tej wielkiej łazience nie powinno się ustawić przyrządu do biegania, czy zażywam dość ruchu?

Nigdy, wolę prawdziwe odległości odmierzone w terenie, nawet kiedy pada i wieje, mam kurtkę i kalosze. Nie rozumiem wynalazku siłowni, jałowych kilogramów, czy nie lepiej porąbać drewno, które czemuś służy?

Marta przerwała i się zamyśliła. Najwyraźniej musiała wertować świąteczne katalogi pełne prezentów, które odmienią nasze życie od Nowego Roku, i teraz mnie przymierzała do ofert. Aż dostrzegła ich marność i niewymiarowość. Podciągnęła kolana pod brodę, taksując mnie wzrokiem:

– To niech wszystko zostanie po staremu, tak będzie najlepiej.

Po staremu, dla niej od miesiąca.

Nazajutrz znów pojechaliśmy w góry, szerokim łukiem omijając szpital. Spadł już śnieg, ale dało się podjechać na łańcuchach. Wyciągnąłem z garażu husqvarnę, odśnieżyłem trawnik i kawałek drogi. Niżej nie schodzę, bo boję się kamieni, zwłaszcza na początku zimy, kiedy jeszcze nie przymarzły do podłoża. Znalazłem zapas słonecznika z zeszłego roku – połowę zjadły myszy, niech im będzie na zdrowie – i wyniosłem karmnik, zwykle plastikowe wiadro z podstawką wystającą tylko na centymetr-dwa, w ten sposób nie paskudzą do środka, nie roznoszą chorób. Siedliśmy z Martą w kuchni, sprawdzając, kto przyleci. Dzwonce i czyżyki czekały już na drzewach, wiedzą, że od pierwszego śniegu im się należy. Do mazurków przyplątały się dwa jery, w pomarańczowych kamizelkach, jak drogowcy. A potem przyleciały grubodzioby, ciekawe, z czyjego pogrzebu. Może Marianny Orańskiej, sądząc po bogactwie. Mają pięćset newtonów w dziobach, uwaga na palce. Marta siedziała zahipnotyzowana, liczyła im pióra. Podałem jej herbatę, nie zauważyła, sięgnęła po wystygłą.

– I tak będzie przez całą zimę? – spytała z niedowierzaniem.

Tak, pojawią się jeszcze gile, zięby, czasem rabuś kowalik i komplet sikorek. A kiedy powiesimy słoninę na sośnie, przyleci zielonosiwy. I raz na jakiś czas krogulec, który je stołowników.

Wśród ptaków pod karmnikiem uwijała się mysz, przerażona, że jej zżerają zapasy. Dzwoniec ją dziobnął, aż podskoczyła, schowała się pod śniegiem. Marta wzięła kartkę i ołówek i zaczęła rysować. Nie wiedziałem, że ma talent do rysunków, stanąłem za nią. Brakowało jej kolorów, ale wzory i kształty oddawała lepiej niż w atlasie. Jeszcze nie wiem niejednego – zakomunikowała – czekają mnie niespodzianki; i już wie, jaki prezent pod choinkę, żeby wszystko zostało po staremu, a nawet jeszcze dawniej.

Ubraliśmy się ciepło, pod kurtkę włożyła mój sweter, i wyszliśmy na dwór.

– Dzisiaj nie łupiemy? – spytała. – I nie układamy?

Można by, pod wiatą w drewnitni prawie nie było śniegu. Tylko podobno mam się wystrzeżać wysiłku przez parę tygodni, nie podnosić ciężarów.

Wprawdzie tutaj się go spuszcza – i gdy klocek pęka, siły powracają – ale może lepiej nie kusić licha. Moglibyśmy za to zawieźć siano sarnom, to nie jest ciężkie. W stodole miałem siano sprasowane w kostki, kupione od sąsiada. Zapakowaliśmy dwie na sanki i poszliśmy w stronę paśnika. Skleciłem go z kilku desek i ustawiłem w miejscu, dokąd nie docierają myśliwi.

Oni sami rzucają najczęściej karmę blisko ambon, na odległość strzału, nie będą się fatygować. Prowadzę z nimi walkę partyzancką, regularnie podpiłowuję ambony albo, jeśli są wysoko na drzewach, konfiskuję drabiny. Zauważyłem, że to skutkuje, myśliwi lubią wygody, przenieśli się na drugą stronę grani, dokąd rzadziej zachodzę. Tam też mają lepszy dojazd, a najchętniej by wjechali do nory. Wiosną będę musiał zrobić coś z tamtą leśną drogą, przekopię ją albo przegrodzę, już zdarzyło się, że zapuścił się tam barbarzyńca na quadzie.

Kiedy rozrzučiliśmy całe siano, dogonił nas pies, nie wiadomo, gdzie się podziewał od rana, miejmy nadzieję, że nie zniechęci saren, są przyzwyczajone. Po południu rozpałem w saunie, porządnej fińskiej saunie z paleniskiem i kamieniami, nie żadnym spa dla mieszczuchów na Teatralnej. Marcie spływał pot po kręgosłupie i gromadził się w zagłębieniu na dole, woda w moim stawie. Na prawej łopatce ma niewielkie znamię, na potwierdzenie, że jest, że istnieje. Okładałem ją brzoową gałęzią, która natrafiła na opór. Co jakiś czas wypadaliśmy na śnieg, żeby się ochłodzić, tak jak nas Pan Bóg stworzył, stworzył mnie i Martę. Śnieg przylepiał się wszędzie i parzył, pies chciał nas oblizywać, sól mu smakowała, trzeba było rzucać patyk, żeby się go pozbyć.

Potem wracaliśmy do sauny i wszystko zamieniało się w opary, zwidy. Po godzinie ogarnął nas wilczy głód, zgodnie z harmonogramem. Nad żarem na kominku upiekliśmy antrykot, z wierzchu poczerniał, ale w środku pozostał krwisty, dobry. Utarłem masło z pietruszką i czosnkiem, Marta pokroiła paprykę i gotowany fenkuł, z octem balsamicznym. Na gorących talerzach zjedliśmy wszystko, dla psa zostały kości, a wciąż nam było mało.

– Zrobię ciasto – zaproponowała Marta.

– Ale jak, bez formy?

– Nie szkodzi, starczy blacha.

Przez chwilę coś mieszała, jajka, mąkę, wodę, ciasta mnie przerastają. Potem wstawiła wszystko do piekarnika.

Jedliśmy płaskie zakalce w formie kontynentów, parząc sobie język. Nasyceni zasnęliśmy na kanapie, prawa ręka zdrętwiała mi pod jej barkiem, nie czułem, gdzie kończą się moje nerwy, a zaczynają cudze.

W nocy obudził mnie cierpki zapach dymu. Marcie znów było za gorąco i zamknęła szyber.

– Musisz zostawiać chociaż mały prześwit, inaczej nas udusisz.

Rano Marta obudziła się pierwsza. W moim szlafroku, z kawą, kontemplowała karmnik i coś rysowała.

– Był jakiś nowy – zakomunikowała – ale nie poznaję. – Podała mi rysunek. Trudno powiedzieć, w ołówku wszystkie są jak mazurek. Po śniadaniu pojechaliśmy do Czech przez Płoszczynę, nieprzetartą drogą, nasza pierwsza podróż zagraniczna. W Jeseniku wspięliśmy się do sanatorium Prieschnitz.

– Nie wiedziałam, że prysznic to nazwisko.

Wróciliśmy z gór jak zwykle, w niedzielę wieczorem, szybko nabieramy zwyczajów.

– A gdybym została do jutra? – zastanawiała się Marta. Nazajutrz ma dopiero na dziesiątą, polonista choruje, oby nie wyzdrowiał, nienawidziła jego patriotycznych wykładów, literatura to haft na sztandarach. Pewnie, niech zostanie. Do babci trzeba było zatrudnić opiekunkę na stałe, bo już kilka razy na dzień ubierała się w jesionkę i stawała w drzwiach, żeby wrócić do siebie, a Martę myliła z mamą.

Chyba nie będziemy ścielić na kanapie, skoro łóżko jest takie szerokie, dołożymy tylko drugą kołdrę, karencja obowiązuje. Gdybym chrapał, wystarczy, jak mnie szturchnie.

Obudziliśmy się za późno, musi jeszcze pojechać po książki i zeszyty, nie zdąży. Zapropnowałem taksówkę.

Chyba zwariowałem, nie będzie jeździć taksówką do szkoły. Połknęła coś w przelocie i wybiegła.

– Pa, dobrze nam się spało, trzeba to powtórzyć – cofnęła się na



odchodnym.

Teraz przychodziła co wieczór, który zapadał o czwartej. Przeniosła trochę ubrań, zrobiłem miejsce w szafie, bo zdarzało jej się zostawać na noc. Żeby nie musiał czekać jak odźwierny, wzięła drugie klucze. Zacząłem wychodzić pod byle jakim pretekstem, gdy wiedziałem, że przyjdzie. Lubilem wracać tak, żeby ją zastać. W domu, zadomowioną. Krążyłem po mieście wokół centrum grawitacji, orbita się zacieśniała. Udawałem jakieś drobne zakupy, zastanawiając się, co tam robi.

Otwiera drzwi do lodówki i białe zimne światło przyprawia ją o bladość, może trzeba by zmienić żarówkę na żółtą. Parzy sobie herbatę i odkłada torebkę na spodek, czekając, aż z niej skapie, zieloną można parzyć dwa razy. Wyciąga się z książką na kanapie, podkurczając stopy – miała kształtne wąskie stopy nieokaleczone przez torturę szpilek – i szuka miejsca, w którym skończyła, nigdy nie zaznaczała zakładką i jedną książkę czytała kilkakrotnie, dziwne – mówiła – autor się powtarza.

Przypisywałem jej zwykle trywialne czynności, żadnych gestów podniosłych czy lubieżnych, chodziła między pokojami, podlewała kwiatki, gdzieś przelała i musiała biec po ścierkę. Wychodziła na taras, aby zapalić skręta, raz na jakiś czas pozwalamy sobie na ekscesy. Marzła, wracała, narzucała pled na ramiona. Myła zęby i drżały jej wargi od elektrycznej szczoteczki. Malowała paznokcie, to dobre na czekanie, każdy może schnąć minutę, czekają po kolei, lewy kciuk – pięć minut, rozprostowuje rękę, ocenia pod światło, porównuje z drugą, wypada na niekorzyść, bierze zmywacz i zmywa, w pokoju unosi się woń acetonu.

O tej porze robi się już głodna, kraje chleb, okruchy rozsypują się na blacie, zbiera je palcami, łatwo przywierają, podnosi do ust, trochę załatuje chemią, krzywi się, przełykając. Wtedy słyszy klucz w drzwiach wejściowych, przechodzi do przedpokoju. Gdzie byłem tak długo, czekała i czekała. Przepraszam, musiałem coś załatwić, ale w końcu jestem. Na górnej wardze ma błyszczący ślad po maśle i coś słonego, co czuję na języku.

Postanowiłem poza paczką książek coś jej jednak jeszcze podarować, choćby coś małego. Handlowe Boże Narodzenie trwało już w najlepsze,

poszedłem do najbliższej galerii bez pomysłu, z wirówką w głowie. Tym razem tłum mnie nie przeraził ani nie zniechęcił, nie szukałem już nikogo w tłumie. Będę wzorowym konsumentem, może nie zostawię tu fortuny, ale też nie puszczę się przez miasto śladem czyichś kolczyków, nie dam się ogolić i zamoczyć.

Zacząłem od tego samego sklepu z biżuterią. Na Marcie wszystko by wyglądało świetnie, powinna służyć za modelkę u jubilera. Ale kupowanie złota – czy nie jest czymś grubiańskim? Jakbym w nią inwestował. W lustrze uśmiechnęła się do mnie twarz nad naszyjnikiem. Uśmiechnąłem się do lustra, nie ja będę go zapinał, ale na jej miejscu nie starałbym się uwypuklać grdyki. Zrezygnowałem i wyszedłem z ulgą, najlepszą formą dla złota są sztabki. W drzwiach zderzyłem się z sierotką rozdającą pierniki. – Przepraszam – wziąłem całą garść, aby ulżyć jej doli.

W sklepach z ubraniami byłem bez szans, wiedziałem to od razu. Jednorazowe suknie sylwestrowe sąsiadowały z rzeczami ze smutnych emhadowskich materiałów, które nas nie zdołają. Na stoiskach z bielizną było już trochę lepiej, uśmiechnąłem się na myśl, że Marta mogłaby to wszystko włożyć. Chyba wolałem jej znoszone bawełniane egzemplarze czekające na właścicielkę w mojej szafie. Zajrzałem do sportowego, żadnych biegówek, tylko wyczyn alpejski, jakbyśmy nie mieszkali na równinach. Trzeba będzie znów pojechać do Czech, może do Ołomuńca, tam znalazłem swoje.

A może powinienem jej kupić puchową kurtkę na mrozy? Musiałaby zerwać ze zwyczajem wkładania za cienkich ubrań jednych na drugie, chyba lepiej nie, jeśli wszystko ma zostać po staremu, przecież dobrze na niej leżały, lubiłem, kiedy pożyczła moje swetry i nasycła je swoim zapachem. Gospodarstwo domowe odpadało, gospodarzyła u mnie. Laptopy i tablety? Raczej ołówki i papier. Przystanąłem przed sklepem z zegarkami, to byłby jakiś pomysł, brakowało jej zegarka, ilekroć chciała sprawdzić godzinę, sięgała po telefon, który spóźniał się o kwadrans na tydzień, próbowała być punktualna, ale czas ją przeganiał.

Studiowałem wyłożone w gablotach egzemplarze, bardzo drogie i tańsze, nic mnie nie porywało. Nie kupię jej breitlinga za kilkanaście tysięcy, raczej

by go nie nosiła, gdyby sprawdziła cenę. Większość wyglądała tandetnie, jak tania biżuteria, do której dołączono nieczytelny cyferblat.

Ekspedientka poradziła, żebym spróbował w desie, tam czasem mają niezłe używane. Poszedłem dobrze znaną trasą, mróz łączył się ze spalinami, nad asfaltem unosiła się niebieskoszara mgiełka. Mieli pięknego longines'a o kwadratowej tarczy, ze starego matowego srebra, nakręcanego i tykającego przy uchu. Wąska bransoletka tęskniła do przegubu, wyobraziłem sobie jej wąskie nadgarstki z fioletową skórą pod kolor. Antykwariusz otworzył kopertę, lata czterdzieste, wszystko oryginalne, z gwarancją zegarmistrza, nakręcać raz na dzień, na noc zostawiać w pionie. Prawdziwy zegarek, nie cacko z jabłoneksu. Zapłaciłem uradowany: zegarek w samą porę. Odwiozę ją na lotnisko – zaproponowałem – z walizką pełną prezentów. A po świętach odbiorę, pewnie też z nadbagażem. Musieliśmy wyjechać o szóstej, żeby zdążyć, z zapasem. Podjechałem pod kamienicę na Nadodrze, wyremontowaną, bez śladów dawnej świetności i ekstrawagancji, proste gzymsy, brama bez portalu i żadnych fryzów. Zadzwoiłem.

– Wejść po walizkę – powiedziałem.

– Drugie piętro – zaskrzeczał głośnik obcym głosem. Marta stała w drzwiach gotowa do drogi.

– Chcesz zobaczyć mieszkanie? – zapytała bez entuzjazmu, niezapraszająco.

– Innym razem, nie mamy czasu – powiedziałem.

Może lepiej, żeby mnie tu nie widzieli – pomyślałem.

Oparty o walizkę w przedpokoju stał wielki prostokąt opakowany w szary papier, przewiązany czerwonym sznurkiem.

– To dla ciebie – oznajmiła Marta – otwórz pod choinką.

– Dziękuję.

Otworzę jeszcze w samochodzie, domyślałem się obrazu, ale ciekaw byłem motywu. Dźwignąłem walizkę, poczułem w mięśniach dwadzieścia kilogramów, nie wiem, jak ona sobie z nimi poradzi. Niczego nie zapomniała? Wydruk karty pokładowej, pieniądze, klucze, paszport? Ma dowód, to wystarczy, kluczy nie potrzebuje, ciotka musi przecież być w domu. Zupełnie zapomniałem, lepiej, że nie wchodziłem, uniknęliśmy

tłumaczenia, skąd się tu wziął szofer.

Ruszyliśmy na południe, ku autostradzie. Nie wiem, czy świąteczny, ale ruch był duży. Marta wdała się w rozważania wigilijne. To trochę bez sensu, powinna się rozdzielić, roztrócić, przepoczwaczyć. Mama ma kogoś nowego, dopiero teraz ją uprzedziła. Będzie musiała znosić nową szkocką rodzinę, na co wcale nie miała ochoty. Gdyby wiedziała wcześniej, toby została. Zrobilibyśmy sobie wigilię na cztery ręce i trzy talerze, i poszli na pasterkę. Nie szkodzi – uspokajałem – zjemy ją w sylwestra, nie może tak się izolować.

Z tatą zobaczy się w drugi dzień Świąt, pójdą pewnie do knajpy i jak zwykle nie będą mieli o czym rozmawiać. On też ma nowe życie, które skrętnie ukrywa, nic nie wiadomo, skoro płaci alimenty, to nie musi wyjaśniać, uważa. Kiedyś pewnie się dowie, że ma przyrodnią siostrę albo brata, jeśli już, to wołałaby teraz.

Ciotka też nie była zachwycona, zrozumiała, że musi zająć się babką na stare lata, alzheimer raczej nie wyemigruje. Nagle Marta czuje się związana z każdej strony, ona, która chciała się uwolnić od rodziny. Nie rozumiem, rodziców widuje raz na kilka miesięcy, a babcia już jej nie poznaje, to nie jest więzienie. Tak, tylko mama naciska, żeby się do niej przenieść, na razie wymawia się maturą, ale co będzie potem. Jechaliśmy bezimienną autostradą, szarym pasem wyłączonym z przestrzeni, jałowym, bez śladów życia, bez miasteczek, psów i dzieci, auto stopowiczek, nienawidzę autostrad, pomyśleć, że mia łyby być miernikiem cywilizacji, wolę już barbarzyństwo szos podrzędnych.

Gdzieś na wysokości Awerni dopadła nas mgła, coraz gęstsza z każdym kilometrem, musiałem zwolnić do pięćdziesięciu, włączyć światła przeciwmgielne i awaryjne, bo za chwilę z tyłu ktoś na nas najedzie, to nie wróży dobrze, w taką mgłę samoloty nie lądują, to nie Rosja. Jakoś dobrnęliśmy do Balic, żeby się dowiedzieć, że od paru godzin nic stąd nie startuje. Ani nie ląduje, tym bardziej. Boeing z Birmingham poleciał do Pyrzowic i stamtąd też odleci. W hali kłębił się tłum oczekujących i nieodlatujących. Na tablicy odlotów powtarzał się jeden wyraz: *cancelled*. Wielka choinka w środku hali obiecywała wigilię na miejscu. W

samochodzie mieliśmy jeden prezent, w mojej kieszeni drugi, w walizce wiktuały. Może zostaniemy? Podano informację o autokarach, które będą przewozić do Pyrzowic. Tłum rzucił się na parking. Wróciliśmy do samochodu. Mgła ofiarowała nam parę dodatkowych wspólnych godzin. – Najchętniej bym nie poleciała – zwierzyła się Marta. – Musisz, przecież na ciebie czekają. – Przez chwilę zmagalem się z nawigacją, lepiej ją włączyć, bo we mgle łatwo zbłądzić. Skierowaliśmy się na autostradę, nie było widać dalej niż kilkadziesiąt metrów, ale po lewym pasie samochody gnały setką, z fantazją smoleńską. Przez radio usłyszeliśmy o karambolu pod Imielinem, dwadzieścia samochodów, w ostatniej chwili odbiliśmy na Jaworzno.

Po paru kilometrach mgła się rozproszyła, wyszło słońce, zaproponowałem nawigacji objazd. W Pyrzowicach czekaliśmy godzinę na autobusy, a potem jeszcze drugą na wezwanie do boardingu. Pożegnaliśmy się czule, jak przystoi kochankom rozstającym się na tydzień w adwencie. Wyciągnąłem pudełko z longines'em i podałem jej już przy barierce, może zacząć liczyć godziny. W samochodzie rozpakowałem obraz. Widok z okna w kuchni w górach, zimą. Przy karmniku tłoczyły się ptaki. Do tych, które istnieją tam naprawdę, domalowała kilka fantastycznych, jakich próżno szukać w atlasie. Na tarasie do skoku czaił się pręgowany rudy kot: nie mieliśmy kota.

Zdjąłem grafikę Medyńskiego wiszącą w dużym pokoju i zawiesiłem Martę – rozświetlała ciemności. Przez święta siedziałem nad wierszami Einara: musiał istnieć świat przed Bachem, ale jaki świat? Europa wielkich pustych pomieszczeń, bezdźwięcznych, krajobrazy, gdzie słychać tylko siekiery starych drwali, zimą zdrowe głosy silnych psów i – niczym dzwon – łyżwy na gładkim lodzie. Po tygodniu pojechałem do Balic po Martę.

Był mróz, nie było mgły, wylądowała punktualnie, z nowym zegarkiem w ręku. Przywitaliśmy się jak po dokuczliwej separacji, uścisk trwał dłużej niż uściski odnajdujących się połówek w hali przylotów – które podpatrywałem kątem oka – aż zabrakło nam powietrza. Marta opowiadała przez całą drogę.

Mama nie jest w najlepszej formie. Ten facet to nikt dla niej, gburowaty, szczeciniasty, ryży. Zawodowy rozwodnik, co ona w nim widzi. Najpierw przez osiem godzin uwija się między stolikami, aż nóg nie czuje, a potem gotuje dla niego i podaje mu piwo. To były chyba ich najgorsze święta, żałuje, że pojechała. Na wigilię przyszły jego dzieci z dwóch małżeństw, mrukliwe dzikusy, milczały, jakby nie znały angielskiego. Obcy dom, wszędzie odpychająca obcość, byle jakoś dotrzeć do wieczora. I pogoda, niebożonarodzeniowa, wilgotna, chłodny sezon, tęskniła do śniegu. To nie skończy się niczym dobrym, kolejna katastrofa. Nie, nie chce słyszeć o powrocie, wzięła jakieś pożyczki, chyba jest usidlona.

A tata? Z tatą lepiej, wydaje się normalny, jak zwykle nieobecny, zadaje te same pytania, co pięć i dziesięć lat temu, wcale nie słuchając odpowiedzi, pyta o szkołę, ale nie chce zapamiętać, w której jest klasie, dla niego mogłaby powtarzać cztery razy jedną. Aha, żeby nie zapomniała, dziękuje za zegarek – wyciągnęła rękę do kierownicy. Dziękuję za obraz, wisi na honorowym miejscu. Pojechaliśmy do mnie, ciotka nie musi wiedzieć. Marta pierwszy raz od tygodnia odetchnęła, poczuła się u siebie. Wyciągnęła się na kanapie, nogi urosły jej o dziesięć centymetrów, oparła je na moich kolanach. Krytycznie przyglądała się obrazowi.

– Muszę wszystko przemalować, przyniosę farby.

Lepiej niech namaluje nowy, do tego już przywykłem, wie, że nie lubię zmieniać.

– Ale nic się tu nie zgadza, teraz wyraźnie widzę.

– Trudno, jest mój, proszę nie dotykać eksponatu.

Nazajutrz zjedliśmy na śniadanie angielskie specjały, po które warto było lecieć do Anglii, i odwiozłem ją do domu, trzy dni przed końcem roku. Tym razem ciotka stała w drzwiach, trzeba jednak było wziąć klucz ze sobą.

Zlustrowała mnie krytycznie, odruchowo puściłem walizkę, wciągnąłem brzuch i się wyprostowałem.

– A, to pan – powiedziała.

– To ja, bardzo mi przyjemnie – nie dałem jej skończyć. Dzień przed sylwestrem poszliśmy na spacer, padał śnieg i walczył o lepsze z błotem. Ludzie nerwowo dopinali swoje sprawy, bilans, ponaglany, nie chciał się zamknąć. W parku gawrony walczyły o zawartość kosza, rozwlekając ją wokół stawu. Przy brzegu kaczki spały na lodzie i przymarzały. Jakiś biegacz zaliczał ostatnie kilometry w tym roku, z ust mu buchała para. Byliśmy prawie sami, kto ma czas włóczyć się po parku, gdy lata gonią. Z Martą tkwiliśmy poza czasem, w ten sposób redukowaliśmy różnicę wieku do zera. Jednak jutro sylwester, kalendarz się nie poddawał (nawet gramatyce). Pójdzie z kolegami na imprezę, a gdzieś tak po północy dotrze do mnie. Tak, chętnie, będę cze kał, a gdybym zasnął mimo fajerwerków, niech mnie obudzi. Pożegnaliśmy się do następnego roku.

Przez cały dzień nie wychodziłem, nie chciałem przykładać się do zmiany daty. Opuściłem żaluzje i włączyłem muzykę, coś ponadczasowego, *Triosonate D-dur*, przed którą nie było świata. Wybuchy i rozbłyski dochodziły stłumione, z daleka, z innej wojny, jej front mi nie zagrażał. Wieczorem zadzwoniła Marta i przekrzykując wydarzenia, próbowała coś powiedzieć. Rozłączyła się, zadzwoniła po chwili.

Zrozumiałem, że impreza nie wypaliła, wśród tyłu fajerwerków jeden niewybuch. Przenieśli się na Rynek, ale tam jest kicha. Zimno, pełno pijanych, obciachowa muzyka. Czy nie mogliby się przenieść do mnie? Proszę bardzo, w kilkanaście osób? Jakoś tak, mam się nie przejmować.

Otworzyłem lodówkę i sprawdziłem zawartość. Niewiele, i daty przydatności nie zawsze zahaczały o styczeń. Otworzyłem spizarkę, jakieś puszki, słoiki, z głodu tu nie umrą. Wyjąłem chleb z zamrażarki i przenieśli go do piekarnika. Odkorkowałem parę butelek – i usłyszałem dzwonek, Marta nie chciała pokazywać klucza. Przedpokój wypełnił się rozbawionym tłumem. Ściągali buty i kurtki. Przedstawiali mi się po kolei, szesnaście różnych imion nie do spamiętania, może dwa się powtarzały. Przepraszają za zbiorowe najście. Dziękują za zaproszenie.



– Proszę, wchodźcie, czujcie się jak u siebie. – Chciałem powiedzieć: u Marty, ugryzłem się w język.

Okazało się, że przynieśli mnóstwo jedzenia i tanich alkoholi. W kuchni zawiązała się grupa robocza, rozkładała sałatki i wędliny. W pokoju ktoś dobrał się do wzmacniacza, podłączył swój magazynek, buchnęła muzyka niepodobna do niczego, czego tu słuchałem. Ktoś wystawił na taras butelki z wódką, ktoś inny w nie wszedł i zaklął, alkohol popłynął.

Marta zachowywała się inaczej, głośniejsze, odważniejsza, śmiała się i przekrzykiwała z towarzystwem. Na czym miała polegać rola gospodarza? Radzili sobie świetnie sami, beze mnie. Usiadłem na schodach i przyglądałem się z góry, widz we własnym mieszkaniu. Kilka osób tańczyło. Zazdrościłem im sprężystych ruchów, ale nie chciałem ich powtarzać. Dobrze pamiętałem, kim byłem w tym wieku. Miotalem się, ale nie tańczyłem, nigdy nie chciałem tam wrócić i próbować od nowa. Rozpacziwa mgła wszystkiego, szukanie tożsamości. Dzisiaj uważa się, że ona jest przechodnia, że możesz sobie ustalić, kim będziesz w tym tygodniu, niczym jadłospis. Ale wtedy szukało się twardego miejsca. Ciekły, chciałem okrzepnąć. Odcinałem się po kolei od wszystkiego, domu, szkoły, religii. Pamiętam wszechogarniające uczucie wstydu, nadal żywotne. Pode mną tańczyły fantomy przeszłości, przyglądałem im się z zimnym zaciekawieniem, już mnie nie dosięgną. Ktoś potknął się i upadł na stolik, rozbił z brzękiem szybę. Nie szkodzi i tak chciałem się go pozbyć, dowodu przestępstwa. Wystawiliśmy szczątki na taras, parkiet zrobił się większy. Marta tańczyła z rówieśnikami, ledwie ją poznawałem, zupełnie niepodobna, z wyraźnym makijażem, w czymś obcisłym czarnym i butach na obcasach.

Zbliżała się dwunasta, nie miałem szampana, ale zostały mi dwie flaszki crémanty, wcale nie gorszego. Otworzyłem ze stłumionym hukim – jak dawne niewypały – i rozlałem. Zaczęły się przechodnie powinszowania. Czego sobie życzyli? Matury? Dorosłości? Klęski, ale własnej? Uściskałem się z Martą, wiedziała, że nie chcę nic nowego ani terroru daty.

Obudziłem się przed południem, bez bólu głowy, zszedłem zaparzyć kawę. Poza rozbitym stołem, na tarasie, nie było wcale śladów. Nie wiem, kiedy to posprzątali, zostawiłem ich po drugiej. Wynieśli szkło i śmieci,

puścili zmywarę. W lodówce zostawili trochę alkoholu i jedzenie na tydzień. Umyli zlew i podłogę, mógłbym chyba częściej użyć im mieszkania, dobrze bym na tym wyszedł. Zrobiłem kawę, śniadanie, zaniósłem Marcie na górę. Nadal spała z niestartym makijażem z zeszłego roku. Nie budziłem jej, przyglądałem się, jak oddycha. Rozrzucone na poduszce włosy powoli odzyskiwały prostotę. Na policzku piegi wygrywały z brokatem. Wstałem i otworzyłem okno, wtargnęło mroźne powietrze, może ją orzeźwi.

Zima mijала nam jak staremu małżeństwu. Marta uczyła się do matury i rysowała. Postanowiła złożyć teczkę na Akademii. Pozowałem jej nago, drżąc z zimna, brakuje mojej gęsiej skórki na szkicach. Co sobotę jeździliśmy w góry karmić ptaki i sarny. Śniegu było tyle, że samochód musieliśmy zostawiać na dole. Do odśnieżarki wpadł kamień i rozwalił wirnik. Choć i tak by nie poradziła. Trzymaliśmy biegówki u sąsiada, żeby jakoś przebrnąć ostatni odcinek. Marcie rozjeżdżały się długie nogi i upadała na bok. Zostawały po niej wklęsłe miejsca, które przetrwają do wiosny.

Kupiliśmy też nowy stół do salonu, bez szkła, tylko drewno i metal. W końcu stycznia Marta zaczęła się niepokoić. Coś podejrzewać. Miała dziwne mdłości, bolały ją piersi. Pobiegiła po test do apteki, zamknęła się w łazience.

– Niebieski – powiedziała, wychodząc – niebieski, jestem w ciąży.

Jest w ciąży, co zrobimy? Objąłem ją i uspokajałem. Wszystko będzie dobrze.

Od czasu operacji mam suchy wytrysk. Resekcja gruczołu krokowego uszkadza kanał nasienny i sperma zamiast na zewnątrz dostaje się do worka moczowego. W naturalnych warunkach jestem bezpłodny. Z kim Marta miała dziecko? Niezbyt mnie to zajmowało. Może z którymś z gości sylwestrowych, a może z kimś innym, kogo nie znałem. Co mnie to obchodzi. Uznała, że jest nasze, nie wyprowadziłem jej z błędu, nie sprostowałem. Nie namawiałem jej do aborcji, przeciwnie, proponowałem ojcostwo, wiedząc, że nie jest moje.

Po tygodniu zdecydowała, że przerwie. W takim razie nie w Polsce, dość mam prokuratorów.

Wylądowaliśmy na zaśnieżonym Sturup, pas ledwie nadażali czyścić, mimo ogromnych maszyn z pługami i szczotkami. Pod rękaw podjeżdżaliśmy przez zbity śnieg, aż samolotem trzęsło, turbulencje po wylądowaniu. U Hertza wynajęliśmy XC90, miał opony z kolcami. Od Hyby drogę sto osiem zawiewało tak, że tylko tyczki wbite na poboczu ratowały nas przed rowem, znam tu każdy zakręt, ale zakręty znikły, co paręset metrów w polu parkowali ci, którzy tego w porę nie dostrzegli. Ogromne wiatraki, których nie było tu za moich czasów, łapały wiatr, ale go nie osłabiały.

Po godzinie dobrnęliśmy do Grandu, to dwa razy dłużej. W dużej sali po prawej grała orkiestra i do pokoju dobiegał stłumiony puzon. Jeszcze nie zdjęto świątecznych dekoracji – zakładają je coraz wcześniej, zdejmują coraz później – i cały Bantorget mienił się lampkami. Zeszliśmy na kolację, a potem do miasta, znów stapałem po swoich śladach. Poza księgarnią, optykiem i sklepem ogrodniczym, na Lillafiskaregatan wszystkie inne zamieniły się miejscami, jakby chciały mnie zmylić. Nie szkodzi, i tak nic nie kupimy, był wieczór.

Marta studiowała witrynę z literaturą dziecięcą: oto bajki, których mu nie przeczyta. Poszliśmy pod katedrę. Przez śnieg przeciskali się zmarznięci rowerzyści, wszędobylscy i całorocznicy. W pustym miejscu w dół ku Stortorget wybudowano coś nowego, kościelne forum konferencyjne, z fasadą ze złotej blachy. Można było wejść i się ogrzać, napić glögggu bez alkoholu i przegryźć piernikami. Pachniało niekościelnie, imbirem i goździkami. Marta jednak rozglądała się nieufnie: czy nikt jej nie będzie nauczał? Nie, bez obaw, nie tutaj.

Pani pastor skinęła nam po świecku głową. W głębi sali, w kącie dla dzieci leżały rozrzucone beczynne zabawki. – Chodźmy – pociągnęła mnie Marta – wszędzie zastawiają na nas pułapki. Obeszliśmy uniwersytet, dla dorosłych, i bibliotekę, gdzie strawiłem pół życia. Ciekawe, czy moje konto nadal jest aktywne, czy może przenieśli mnie do starodruków. Kawalek dalej majaczyła szara i ogromna bryła szpitala, tam stawimy się jutro, teraz zawracajmy.

Chciałem pokazać jej miasto, otwarte i przyjemne, centrum pozbawione obrzeży. Tu było wszystko (tutaj – pomyślałem niechęć – można by wychowywać dzieci), szkoły i uniwersytet, średniowieczna dzielnica żydowska z odtworzonym kamiennym brukiem i Stadsparken z trawą też wiekową, dobre stare sklepy, bez galerii handlowych, i księgarnie w paru językach; latem pół godziny rowerem do plaży, blisko lotnisko i most na kontynent. Tu moglibyśmy mieszkać, nie ma Akademii, ale mogłaby dojeżdżać do Kopenhagi, przez most czterdzieści minut, pociąg jest co chwilę, bardzo wygodny dojazd. Marta milczała, trzymała mnie pod rękę, żeby nie poślizgnąć się na oblodzonych chodnikach i alejkach, a ja uciekałem myślą do wszystkich innych dojazdów, kiedyś mniej lub bardziej regularnych, byle dalej od szpitala i celu wymuszonej podróży.

W dzieciństwie z R. do Warszawy Głównej, kiedy tylko mogłem, sto pięć kilometrów, miałem osiemdziesiąt procent zniżki w klasie dowolnej, wybiegałem z domu pół godziny wcześniej i dochodziłem do dworca kasztanową aleją. To, że w R. stoi dworzec, z którego można odjechać, jest jego główną zaletą. Kupowałem bilet, prostokąt z brązowej tektury z otworem pośrodku, kiedyś trzeba było go oddawać przy wyjściu z peronu, jak wtedy rozliczano delegacje? Szukałem miejsca przy oknie albo stawałem w korytarzu, jeśli biegł po lewej, i wypatrywałem czubka naszego świerka w ogrodzie, był najwyższym drzewem w okolicy. (A w domu, w nocy, przy zgaszonym świetle, nasłuchiwałem odgłosów pociągu, rozróżniałem gwizdki nastawiaczy na górcie rozrządowej od głośniejszego gwizdu parowozu). Studiowałem typy pasażerów wiozących ważne sprawy do stolicy. Wracałem późnym wieczorem. Kiedyś na peronie na Głównym pierwszy raz zobaczyłem trupa. Podobno pijak, podobno się zatoczył i potraścił go otwarte drzwi wagonu. Leżał na wznak z rozrzuconymi ramionami, ktoś przykrył mu twarz gazetą, „Życiem”.

Do Jelcza autobus spod akademików na placu Grunwaldzkim zabierał nas o szóstej rano. Rzucaliśmy się na siedzenia w niskopodłogowym berlicie – takie same mieliśmy za chwilę produkować w ramach praktyk studenckich – żeby jeszcze podrzemać, ale tu nie zaśniesz, trzęsło niemiłosiernie, pamiętam twardość szyby, drżenie i chrzęst rozgniatanych na niej włosów,

jakbym miał wszy. Potem snuliśmy się niepotrzebni po halach przez osiem godzin, czekając na powrót, bezsensowny nie ekologiczny transport osób.

Z Kamieńca do Wrocławia torami jest siedemdziesiąt dwa kilometry, ale jechało się półtorej godziny. Kiedyś tu była piękna stacja, z gotyckimi wieżyczkami, z szeroką granitową aleją wysadzaną drzewami. Pociąg Kraków – Berlin robił długi postój, aby towarzystwo mogło zwiedzić zamek. Dziś tu hula wiatr, nie ma ogrzewania, po gołębiach od lat nikt nie posprzątał, a ostatnio zamknęli nawet kasę. Nigdy nie mogłem zapamiętać kolejności małych przystanków, licząc od Strzelina: Boreczek, Węgry, Żórawina, Smardzów?

Do Poughkeepsie – co za nazwa, już choćby dla niej – jedzie się nad rzeką Hudson. Konduktor wysiada pierwszy i tam, gdzie są niskie perony, podstawia schodki dla pasażerów. Linie elektryczne wiszą byle jak na krzywych słupach, niczym po huraganie. Na dworcu czekał farmer w przedpotopowym pickupie, jechaliśmy na farmę do pracy.

Do Kopenhagi dojeżdżałem jeszcze w epoce przed mostem nad Sundem, to była era wodolotów, małych i niezgrabnych, zbyt czułych na fale. Zatrzymywano je przy szkwale, kiedy wiało piętnaście metrów na sekundę. Tłum pasażerów stał bezradnie nad kanałem, na lepszą pogodę się nie zanosilo. Potem podjeżdżał autobus i zabierał nas do Limhamn, skąd pływał większy statek, póki sztorm i jego nie zatrzymał.

Marta nie chciała słuchać moich wywodów i oglądać miasta, marzła, oczy jej łzawiły, pociągała nosem, już dosyć, wracajmy. Dobrnęliśmy do hotelu, orkiestra właśnie skończyła, muzycy chowali instrumenty, nie będą nam przeszkadzać.

Nienawidzę szpitali, najchętniej bym go ominął (szerokim, szerokim łukiem), tutaj jednak nie chodziło o usunięcie gruczołu i skoro podjąłem się roli ojca, muszę. Przez chwilę mi przebiegło przez głowę, że powinienem się postarać o DNA płodu, choć właściwie po co, na przyszłą obronę? Pielęgniarka przyszła z ciepłym, podgrzanym kocem i objęła Martę, opatulila. Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze.

Czekałem w poczekalni, to nie potrwa długo. Wokół toczyło się leniwe życie, ktoś wchodził, ktoś wychodził, ktoś jadł mandarynki, jakaś matka

karmiła dziecko, przyciskając je do piersi, demonstracja *pro life* trwała skromna, niekrzykliwa i nieagresywna, tym bardziej dobitna.

Nie było komplikacji, to rutynowy zabieg, medycznie jednak prostszy od resekcji prostaty, medycznie, nie religijnie. Zostaliśmy na wszelki wypadek jeszcze kilka dni, przedłużając ferie zimowoaborcyjne. Przestało wiać i padać, zrobiła się nordycka zdrowa zima, na stawie parku krążyli hokeiści na zmianę z łyżwiarkami figurowymi. Codziennie chodziliśmy do wolier z ptakami, kolorowe egzotyczne okazy przez chwilę skakały po śniegu, ale zaraz chowały się w ogrzewanych domkach, siedziały nad grzejnikami. Jakiś wróbel dostał się do środka woliery i korzystał z okazji, wyjadał im ziarno, słonecznik, i przegryzał jabłkiem.

Pojechaliśmy na grób Gudrun, to ona finansowała podróż, cmentarz bardziej odpowiadał Marcie i jej depresji. Niskie groby – horyzontalne, niestrzeliste, to nie Powązki – zupełnie zniknęły pod śniegiem. Wystawały tylko do połowy identyczne kamienie nagrobne, żaden nie może być wyższy, trzeba było odgarniać śnieg, żeby dojść do nazwiska. Zrobiliśmy niewielkie igloo, nie większe niż piłka do siatkówki, i wstawiliśmy świeczkę. Będzie powoli roztapiać ścianki, aż się wypali. Ptaki? Nie było żadnych, tylko gdzieś za kościołem rozległo się krakanie niewidocznej wrony.

Marta ciągle marzła, nie pomógł mój sweter. U Wennergrena kupiliśmy jej puchową parkę, teraz może pójść na biegun, powiedział sprzedawca. Chętnie by poszła, owszem, i już tam została, hibernacja, co za ulga, lokalne oziębienie. Pojechaliśmy do Falsterbo nad morze, to frajda zobaczyć wydmy zimą. – Popatrz – mówiłem – przy brzegu fale zamarzły, wkrótce będzie można chodzić po morzu.–Marta nie chciała chodzić. Stała nieruchomo jak latarnia morska, ale niczego nie rozświetlała. Wokół niej tworzyła się czarna dziura, gromadziła ciemność.

Zabrałem ją do Kåsebergi i do Kullabergu, żeby zobaczyć to wszystko z góry, *to get some perspective*, nic z tego, wbijała wzrok w najbliższy kamień, jej oczy straciły zdolność akomodacji. Była antyturystką, moglibyśmy napisać przewodnik dla tych, co nie lubią wychodzić z hotelu. W Glimmingehus nie interesował jej najstarszy świecki borg, a w katedrze z

niechęcią odwracała wzrok od chrzcielnicy. Jak dla niej, pokój w Roskilde nie miał żadnego znaczenia.

Najgorzej było rano, nie chciała się obudzić, odmawiała zejścia na śniadanie. Słońce ją przeszywało na wylot, obiecując nowy dzień pełen przygód. Przynosiłem grzanki i dzbanek mocnej kawy.

– Wypij, to cię rozbudzi, czysta arabica.

Po prysznicem stała pół godziny, czekając, aż wyleje się cała woda. Potem wycierała się dokładnie, czy szlafrok i dwa komplety ręczników wystarczą, aby się zasuszyć w zielniku? Ze wstrętem patrzyła na ubranie, ubranie jest niemodne. Pomagałem jej zapiąć koszulę, ja, który wolę rozpinać.

Koło południa udawało się ją wyciągnąć do parku, do łązwarzy i ptaków. Potem chodziliśmy po mieście, szukając lunchu, którego nie da się wymiotować. Przypomniałem sobie, dlaczego stąd wyjechałem przed laty. W południe wsiadłem na rower i objechałem dwadzieścia restauracji, coraz bardziej głodny. Studiowałem tablice z porządnym jadłospisem, dla mięsożernych i wegetarian. Nic mi nie smakowało, nabawię się anoreksji. Wróciłem do domu i zjadłem cokolwiek, co było pod ręką, nie pamiętam, może makaron z jajkiem.

Po południu, kiedy zmierzchało, Marta czuła się lepiej, zmierzch jej sprzyjał, zmierzch ją obejmował. Znowu oglądała wystawy, porządnie oświetlone, pozwoliła zabrać się do kina i płakała przy szczęśliwym zakończeniu. Do hotelu wróciła orkiestra, tym razem z wokalistką, i podglądaliśmy tańczące pary. Jakiś młodzieniec skłonił się przed Martą: czy pozwoli, czy ja pozwolę, czy pozwolimy?

– Musisz z nim zatańczyć dwa kawałki – szepnąłem – to taki zwyczaj.

Klarnet rzewnie ciągnął ich za sobą, *why don't you try to live alone*, od razu rozpoznałem.

W nocy budziły ją koszmary, zapalaliśmy lampkę. Przynosiłem jej szklankę wody i xanax, po szwedzku xanor. Koszmar to nic nowego, nic, co powinno budzić. W piątek wypadała kontrola u lekarza. – Wszystko w najlepszym porządku, *ingen fara* – zawyrokował. Oby, ale równie dobrze porządek może już nie wrócić. My w każdym razie mogliśmy wracać bez

przeszkód, niepodejrzewani na granicy o przestępstwo. Wyjeżdżaliśmy w trójkę, wracamy we dwoje.



Całą wiosnę Marta dołowała, nie nadaje się na terapeutę. Szukaliśmy gorączkowo kogoś, kto mógłby jej pomóc, pielgrzymowaliśmy od gabinetu do gabinetu. Na ogół wystarczał kwadrans, góra pół godziny. – Już tam nigdy nie wrócę – mówiła – niech się leczą sami. – Ktoś zaproponował zajęcia w grupie, pojechała na cały weekend, ale już w sobotę w południe dzwoniła, żeby ją zabrać. Dosyć miała własnej traumy, żeby jeszcze się roztkliwiać nad cudzą, a oddech brzuszny może ćwiczyć w domu na kanapie.

W końcu trafiła na kogoś rozsądnego, z kim wytrzymała całą godzinę, czasem przez pół milczeli, ale to jej najwyraźniej pomagało, mało ją wzrusza, kto siedzi naprzeciwko, psychiatra czy weterynarz, w każdym razie skuteczniejszy od efectinu. W szkole oczywiście nikt niczego nie dostrzegł, nauczyciele propagują depresję, każdy powinien jej dostać i umierać w ławce z wyróżnieniem. Koleżanki jej nie nagabywały, wiedziały, że ma kogoś i pewnie po całych dniach rysuje, żeby zdążyć z teczką na Akademię.

Wróciła do rysunków, owszem, ale głównie poprawiała stare, czysty arkusz przyprawiał ją o drżenie, szkicowała wężym, czasem prosiła mnie, żebym zaczął, wytoczył jakąś linię. Najlepiej czuła się na długich spacerach pozbawionych celu, w górach śnieg topniał gwałtownie i co dzień zalewał inną wioskę w dole, zakładaliśmy kalosze do kolan i brodziliśmy po strumieniach, pojawiały się w coraz innych miejscach, aż pluszcz dostał kręćka jak krętogłów.

W kwietniu umarła babcia, która znów znalazła się w mieszkaniu Marty, zamienionym w hospicjum – co trochę ją pokrzepiało przez ostatnie tygodnie, nic tak nie podtrzymuje przy życiu jak opieka nad umierającymi. Z Anglii przyleciała mama na pogrzeb i znów wałkowała temat przeprowadzki. Mogłyby sprzedać mieszkanie, Nadodrze to dzielnica, która się rewitalizuje, a ceny idą w górę. Sprawdziłem statystyki, nieprawda, w ostatnim roku spadły o prawie dziesięć procent. Nie wątpię, że w Birmingham brakuje pomywaczek, chętnie bym wypłacał jej tę pensję w funtach, byle tylko została. Mógłbym zepsuć zmywarę i składać jej brudne

naczynia w zlewie, jeśli już musi zmywać.

Tymczasem groźbę odroczonego do matury, czułem się, jakbym to ja miał zdawać. Niestety, nie zanosilo się na to, że obleje, była wzorową uczennicą, wzór korzystał ze stołu w mojej kuchni, wśród rozłożonych podręczników i zeszytów karmiła się wiedza. Teraz żałuję, że nie podsuwałem jej błędnych odpowiedzi: Achilles dogonił żółwia.

Któregoś wieczoru Marta wpadła roztrzęsiona, szlochala przez kwadrans, nie mogłem z niej wydusić słowa. W końcu wyciągnęła z torby laptop i podłączyła. Na portalu, na który już od miesięcy nie wchodziłem, ktoś zamieścił jej profil i prawdziwe zdjęcia, z mailem i telefonem, a wśród preferencji zaznaczył same perwersje (tak źle z nami nie było). Prześpi się z każdym za trzysta złotych, najlepiej z dwoma naraz, bo to ją kręci. Na początku nie rozumiała tej lawiny maili i telefonów, szkoda, że nie podał adresu domowego.

Czy domyśla się, kto to może być? Nie, nie ma pojęcia. Czy ktoś jej groził, z kimś się pokłóciła ostatnio? Nie, prawie z nikim się nie spotyka. No właśnie, może ktoś czuje się pominięty? To był zręczny manipulator, i pracowity, do prawdziwego zdjęcia dołączył dwa sfingowane, na których Marta odsłaniała nie swoje wdzięki w obscenicznym pozach.

Nazajutrz poszliśmy do moich ubeków na Krupniczą, nie było wyjścia, nie sądziłem, że ich jeszcze zobaczą. Oficer – wolę starą nomenklaturę – popatrzył na mnie rozbawiony: znów się w coś wpakowałem. Wypytał Martę szczegółowo o kolegów ze szkoły, naturalny krąg podejrzanych. Poprosił, żeby zostawić mu komórkę i komputer, wziął tysiąc zaliczki i obiecał zająć się tym jeszcze dzisiaj.

Kiedyś, żeby sprokurować fałszywkę – nie mógł sobie darować wspomnień – trzeba było się namęczyć, to był cały kunszt edytorski, a dzisiaj byle smarkacz pstryknie dwa zdjęcia, skleji je byle jak i wrzuci do sieci, takie przyszły czasy. Kiedyś oni tkali sieci żmudnie i pod kontrolą. Gdy wróciliśmy do domu, profil już znikł z portalu.

A może – przyszło mi do głowy – to oni je zakładają, alfonsi i stręczyciele, miłośnicy spotkań? Po trzech dniach mieliśmy odpowiedź. A., kolega z klasy, był u mnie na sylwestra – pamiętam? – wysoki, w okularach,

ciemne kręcone włosy. Anons wysłał z komputera w szkole i trudno by go było namierzyć, posłużył się, żeby rzecz uwiarygodnić, loginem Marty i jej hasłem, skąd znał hasło?

– Nie wiem – powiedziała Marta – może podpatrzył?

Potem jednak zrobił prosty błąd i maila z odpowie dzią – z odpowiedzią na własny anons – wysłał z domowego komputera jako pierwszy, więc szybko został głównym podejrzanym. Pojechali do niego wieczorem i łatwo uzyskali potwierdzenie. Czy chcemy coś z tym robić? Wnieść sprawę? Spojrzałem na Martę, potrząsnęła głową. Nie, dziękujemy bardzo, żadnych spraw sądowych. Tak, przyznała w drodze powrotnej – znów kluczyłem, omijając sądy i prokuraturę – on się do niej zalecał. Po sylwestrze parę razy ją nachodził, ale nie robiła mu nadziei. Może za długo go tolerowała, zanim odprawiła. Czy to on – zastanawiałem się, ale nie zdradziłem – był biologicznym ojcem?

Musiąca zmienić maila i numer telefonu, bo wieść zdążyła się roznieść wśród wygłodniałych sponsorów, rzadko oglądali takie fotografie, zapłaciliby każdą cenę, ta podana była dziwnie zaniżona. Kupiłem jej nowego iphone'a, może nie będzie się wyłączał po godzinie. Przyjęła go niechętnie, jak elektroniczną bransoletkę, jakbym chciał kontrolować jej ruchy. Zupełnie nie interesowała jej zawartość, tysiąc aplikacji. Będzie używała jak zwykłego telefonu, szkoda, że nie ma tarczy do wykręcania i korbki.

Teraz, kiedy nie musiała się spieszyć do domu, nikt tam nie liczył jej nieobecności, nikt nie czekał, wychodziła coraz częściej, coraz wcześniej, pod byle jakim pretekstem, że przychodzi inkasent, hydraulik, gazownik, albo chciała nagle skończyć rysunek zostawiony w pół linii. Nie musiała szukać pretekstów, była wolna, nikt jej tu nie trzymał. Staralem się przywyknąć do jej braku, spałem i pracowałem na przemian, zostawiałem po sobie bałagan, jednoosobowy, nikogo się nie spodziewam.

Wyjechałem dokądś na dwa dni, dla treningu nieobecności, z nikim nie musiałem tego ustalać. Kiedy wróciłem, spała na kanapie pod kocem. Jak mogłem, czemu jej nie uprzedziłem? Została przez cały weekend, demonstracyjnie sprzątała, jakby chciała zatrzeć ślady po nas. – To tu nie

stoi – podważała prawa grawitacji. Gdyby teraz wpadła ekipa z kryminalnego, nie znalazłaby odcisków i wydzielin. Może jakiś włos, przyklejony dyskretnie do prysznicza (nie wszędzie wyłysiałem), albo trochę naskórka zebranego w odkurzaczu (trzeba by go nieco więcej, żeby zasklepić ranę).

W poniedziałek poszła do szkoły i przestała się pojawiać, może przeniosła się do szkoły z internatem. Telefon milczał, zero aplikacji. W mailach nadal chcieli mi przedłużać organ, gdyby zsumować te oferty, wyszedłby rurociąg. Nie pójdę na Krupniczą, nie wykupię monitoringu figurantki Marty. Nie obchodzi mnie, czy i z kim się spotyka. Nie chcę oglądać billingów, choć to ja płacę za telefony. Co zrobię z wiadomością, że szesnastego kwietnia o szesnastej przeszła Oławską i kamera zarejestrowała, jak poprawia włosy?

Nie będę udawał opiekuna w szkole i sprawdzał jej nieobecności, może wagarować do woli, nie tylko u mnie. Może kupować alkohol, jest pełnoletnia, cytrynowkę lubelską zamiast limoncello. Po powrocie z Lundu zaczęła jeść pigułki (dla mnie mogłaby równie dobrze jeść witaminy), niech codziennie sprawdza, czy zgadzają się z kalendarzem. Może teraz sobie urządzać sylwestra co tydzień, Nadodrze jest pełne żuli szukających zabawy. Albo zaprosić szkołę, pchającą się na portale. Czy to nie terapeuta zalecił jej swobodę, *refoulement* i *jouissance*, aż do szpiku? W czwartek wróciłem późno (nie, nie po zebraniu, od lat nie byłem na zebraniu, jestem pojedynczy, nie chodzę nawet na walne akcjonariuszy), Marta czekała w kuchni nad książkami.

– Zrobię coś z resztek – zaproponowała – jedzenie się marnuje. Pizzę albo paellę.

Wszystko jedno, byłem głodny, zjem obie. Otworzyłem crianzę, też przyzwyczajoną do czekania. Po pierwszej butelce zaczęliśmy wspominać.

– A pamiętasz, pamiętasz... – Marta domagała się innej powieści, porządnej, z *vorgeschichte*, epickiej, nie ścinków z terażniejszości.

W maju Marta złożyła teczkę na Akademii. Wielka plastikowa teka (z moimi aktami) ledwie zmieściła się w samochodzie (nie wiedziałem, że mam ten format). Potem zdała maturę raz-dwa, na luzie i z zapasem, swoimi procentami mogłaby obdarzyć kogoś mniej zdolnego, a i tak by zdała. Teczka przyjęto bez zastrzeżeń – trafiłem do archiwum – i mogła przystąpić do egzaminów. Najpierw rysowali modela, podobnego do mnie, dwie ręce i dwie nogi, głowa na średniej szyi, tu i ówdzie fałdy, miała to już obrysowane, więc poszło jej łatwo. Potem miała zilustrować słowo: grafika, za pomocą graficznych technik. Napisała: (grafika) zanika, i odbijała tak długo z jednej sztancy, aż całkiem zanikło.

Dostała się na piątym miejscu (na ponad stu zdających), nie pojedzie do Birmingham na zmywak, będą jeść na brudnych. Mama nie wydawała się szczęśliwa: może choć na wakacje przyjechałaby zarobić tysiąc funtów? Marta odmówiła, myśl, że miałyby powtarzać wigilię latem, wpędziła ją w dolny rejestr. Znow zaczęły się jej nieobecności, nawet kiedy siedziała obok, była jak powietrze, jak miejsce wydrążone w powietrzu, wytwarzała silne podciśnienie, w samolocie już dawno wypadłyby maski z tlenem, w salonie musieliśmy sobie jakoś radzić bez nich. Upał w mieście stawał się nie do wytrzymania, nic nas tu nie trzymało. Wstawiliśmy kwiatki do miednic, przenieśli zawartość lodówki do zamrażarki, kupiliśmy trochę warzyw i makaronów i pojechali w góry. Marta jakby odżyła, nie bała się słońca, robiła sezonowe porządki z zapalem gospodyni. Ułożyła resztę drewna w sztaple. Wymyła i schowała karmnik. Wieczorem podlewała długo ogród, który zapomniał już o roztopach. Prześwietlała drzewa i krzaki, coś przesadzała, zmieniała stanowiska, z północnego na południowe albo odwrotnie. Pod lasem znajdowała wciąż nowe rośliny, importowała je na grządkę, zapewne nielegalnie.

Kret, rozbudzony jej ruchliwością, przekopał trawnik na dowód, że nie zostaje w tyle. Marta czekała ze szlauchem, aż zrobi nowy kopiec, potem szybko urządziła mu potop i zmusiła, żeby wyszedł na powierzchnię. Złapała nieboraka do wiadra i wyniosła dobry kawał od domu, piszcząc

niepocieszony. Ze starych okien złożonych w drewnutni zrobiliśmy inspekt, bo nad ranem temperatura przy gruncie spadała do paru stopni i więdła nam sałata. Przez dzień otwieraliśmy okna (– Wygląda jak dom w poziomie – powiedziała Marta), bo inaczej by się ugotowała. Żywiliśmy się głównie sałatą, na śniadanie, obiad i kolację, Marta wciąż ją czymś wzbogacała (może powinna otworzyć salad bar w Birmingham i szkicować klientów). Ale i tak połowa nam przekwitła, wegetarianin nie prześcignie wegetacji, a zajęcy było tego lata na lekarstwo.

Pies przyniósł nam, jaroszom, udo sarny, a potem nas doprowadził do truchła.

– Zakopmy – powiedziała Marta, zasłaniając usta.

Nie trzeba, nie warto, rozdziobią je kruki, a lisy dojedzą, wystarczy, że urządziliśmy w ogrodzie pogrzeb uda. Marta pozazdrościła Łysence, zaopatrzyła się w podręczniki i zaczęła szczepić drzewa. Na jednej starej jabłoni zaszczepiła dwie nowe, ma teraz rodić trzy rodzaje jabłek, wielopokoleniowo. Na gruszy obcięła wszystkie dziczki, wystrzelające pionowo, i wszczepiła jej coś tajemniczego, zobaczymy, co wyrośnie, może avocado. W garażu odkryła kosiarkę i zaczęła jak w transie kosić coraz większe połacie, nieledwie połoniny, kosić w górach to przesada, już lepiej byłoby sprowadzić owce, mniej warczące.

Życie teraz (życie, nasze życie) zupełnie przenieśliśmy na dwór, do domu zachodziliśmy po korkociąg. Moim starym zwyczajem rozłożyliśmy materace na tarasie i spaliśmy pod gwiazdami, atlasem nieba. Niewiele potrafiła rozpoznać, poza Wielkim Wozem i Wenus, i niczego wywróżyć, astronomia w liceum to przedmiot sprowadzony do czarnej dziury.

Na ścianie nad hydroforem spało dziewięć motyli, *Inachis io*, hałas pompy im nie przeszkadzał. Marta wynosiła je po kolei na słońce, po minucie budziły się i odlatywały. Czy zrobiła dobry uczynek?

Łazienkę też przenieśliśmy na trawnik, prysznic zrobiliśmy ze szlauchu i konewki na drągu, cztery tralki rozłożone na trawie są lepsze niż kafelki. Wieczorem leciała ciepła, rozgrzana przez dzień w pięćdziesięciu metrach węża. Żeby starczyło dla obojga, wchodziliśmy razem (jej namydlone plecy, gdy zanika tarcie). Rano tryskała lodowata, żeby nas rozbudzić. Nie pomagał

nawet czajnik wrzątku wlewany do konewki. Po tygodniu, hydraulicy, wpadliśmy na pomysł, że szlauch daje się podłączyć do kranu z ciepłą w kuchni, wystarczy kupić trójnik i sprytny adapter.

Po trzech tygodniach idylli zaczęła zapadać w niebyt. Znikała na całe dni w lesie i pojawiała się z rzadka, jak zwierzyna. Przestała dbać o inspekt, sałata przekwitała. Przestała jeść, pies nawet nie chciał jej porcji, rozumiał, że to nie w porządku. A może tylko nie lubi sałaty. Kiedy już spałem, wsuwała się do łóżka, a wysuwała, nim się obudziłem. Raz znalazłem ją na wpół zanurzoną w stawie, czekała, aż zamarznie. Staw? Staw i ona. Natarłem ją całą spirytusem, pachniała jak gorzelnia, pół miasta utopiło w niej zmartwienia.

– Muszę wrócić do miasta – postanowiła.

Do miasta, do czego, do upału, spalin? Do potu i dezodorantów? Do klepiska zamiast trawników, gołębi zamiast sójek? Do głośnika, który jakiś kretyn zawiesił nad sklepem i cały dzień obwieszcza, że cyrk, cyrk przyjechał? Do kogo miałyby wracać? Jej terapeuta jest pewnie na urlopie, koleżanki pojechały na saksy i wakacje, wielbiciele szukają pocieszenia w klaustrofobicznych dyskotekach nad morzem.

Tutaj ma cały świat, kompletny biotop, jaszczurki i węże, i *Vipera berus*, motyle, ćmy, nietoperze, trzy tysiące owadów, ropuchę, która wieczorem wychodzi spod tarasu, i popielice, co chowają się na strychu, kreta, który wrócił nie wiedzieć jakim cudem, a trochę bliżej powierzchni karczowniki, zaszczepione jabłonie, trzeba ich doglądać, i jodły nieszczepione, inspekt, dwie rodziny jaskółek, jeśli tęskniłaby do rodziny, dymówki w stodole i oknówki pod framugą, tylko patrzeć, jak wylecą młode, dokąd będzie jechać?

Natnę leszczyny, trzeba zbudować płotek wokół grządki, bo przyciąga gryzonie, szczypior rośnie jak trawnik, porzeczki obrodziły, trzeba zrobić nalewkę, czy mam popaść w alkoholizm? Trzeba uprać pościel, jak mam rozciągać prześcieradła, przybić je do drzewa?

Zawiozłem ją do Przedmieścia, przyjechał pociąg z Pardubic, niech podleje kwiatki w miednicach, przejrzy pocztę i wraca, miasto w lecie jest toksyczne, pełne wirusów i bakterii ziejących z klimatyzacji. Wsiadła i

pomachała przez okno, jakby ćwiczyła rozstanie. Zadzwoni, podniosła dłoń z odstającym kciukiem do ucha. Jeśli będzie zasięg.

Wieczorem zszedłem do sąsiada z butelką calvadosu.

– Panna Marta wyjechała – bardziej stwierdził fakt, niż zapytał.

– Musi coś załatwić, ale wkrótce wróci – uspokoiłem go użytecznym kłamstwem.

Całkiem bezużytecznym. Siedliśmy na schodach ganku i nalali do szklanek. Dowiedziałem się, co słytać w okolicy. W Bielicach jakiś cepr przejechał matkę z dzieckiem kładem. Szli na spacer całą rodziną leśną szutrową drogą i zwrócili mu uwagę, że kamienie niebezpiecznie strzelają spod opon. Oddalił się i zawrócił, potracił ją i wózek, dziecko zginęło na miejscu, matka zmarła w szpitalu. A gdzież tam, niech zapomnę, nawet go nie zamkli. Był trzeźwy, na publicznej drodze, może będzie proces.

Wtajemniczyłem sąsiada w mój plan, aby przekopać drogę biegnącą nad nami w poprzek szerokim rowem. Dobry pomysł, pochwalił, tam, gdzie idzie między skałkami, co by nie mieli jak go ominąć. Zaraz byśmy poszli, z kilofem i łopata, gdyby nie calvados.

Poza jednym esemesem nazajutrz – dzięki, dojechałam – nic, głucha pustka, niekomunikacja. Zepsuła się pogoda i zaczęło padać, prowokując i mnie do wyjazdu. Wniosłem materace i przykryłem drewno plandeką. Próbowałem dzwonić, parzył mnie telefon, ale nie włączała się nawet poczta głosowa, proszę nie zostawiać wiadomości, w skrzynce leżą już zeszłoroczne i gniją. Pośród półtora miliona aplikacji – liczba powiększała się z każdą godziną – czy była jakaś pasująca do wyłączonych telefonów?

Po kilku dniach zamknąłem okiennice, odłączyłem prąd, otworzyłem inspekt, żeby zrobić miejsce przekwitłym sałatom, które wystrzelały w górę jak dziewanna, i pojechałem za nią do miasta. W mieszkaniu nie było żadnych nowych śladów, nie zabrała rzeczy, leżały poskładane w kostki w szafie i zwinięte w kłębek w koszu z praniem, wziąłem szary podkoszulek i przyłożyłem do twarzy, zwietrzały zapach potu, tyle zostawiła. W miednicach była resztką wody, a kwiatki zakwitły, rosną lepiej, kiedy nikt nie widzi.

W papierowej poczcie same reklamy pizzy – zdjęcia przypominały ziemię



niesioną przez żółwie – i trochę wyciągów z banków, dobrze, że nie wymieniłem koron, w ciągu roku wzmocniły się o dziesięć procent.

Nazajutrz przed południem pojechałem na Nadodrze, wślizgnąłem się z listonoszem, jeśli ma coś pod piątkę, to mogę wziąć. Spojrzał na mnie nieufnie:

– Pan tu mieszka, jest pan rodziną? Tak czy owak, poczty nie było.

Wdrapałem się na górę po wyżłobionych schodach, wchodziłem w jej koleiny. Stukałem i dzwoniłem niedziałającym dzwonkiem, teraz dzwoni się domofonem z dołu, potrzebny jest bufor. Zajrzałem przez judasza, z drugiej strony soczewki, jakbym chciał odwołać zdradę. W końcu nacisnąłem klamkę, drzwi nie ustąpiły, zamiast nich, otworzyły się po lewej, prostopadle, skąd wyjrzała sąsiadka, niepewna i ciekawska, całe życie skazana na mieszkanie obok.

– Panna Marta wyjechała na wakacje, w góry – dowiedziałem się w zaufaniu.

W górach jej już nie ma – nie sprostowałem – może toczy się po nizinach, w najgorszym razie nad morzem, kamień ma bliżej do wody.

Cóż było robić, wracam na Krupniczą, do centrum wiedzy o ludziach. Na szczęście mój opiekun też wyjechał na urlop, zastąpił go ktoś młodszy, przyszczaty, nie podlegający lustracji. Wszystko skrzętnie zanotował, wpisał do bazy danych. – To nasza stara klientka – stwierdził z satysfakcją. Tak buduje się tradycję, ciągłość. Szukajcie, aby was szukali.

Wracając, zrobiłem obchód miasta. Wstąpiłem do tych kilku miejsc, gdzie bywała Marta. Były puste, wydrążone, spalone upałem. W ogrodzie botanicznym wszystko więdło, marniało, jakby zabrakło wody, nawet sadzawka wysychała, odsłaniając błoto na brzegach, tylko niezniszczalne tabliczki wetknięte do ziemi potwierdzały tożsamość, swoją i Linneusza, powinienem zażądać zwrotu za bilet. W wegetariańskiej restauracji, gdzie nieraz kupowaliśmy sałatki, aby potem zdradziecko jeść je w domu z befsztykiem, siedział nad kompotem ospowaty starzec o siwych strąkach i udowadniał, że dieta mu mu nie służy. Ale nie wiadomo, gdyby jadł mięso, może już by nie żył. Przed Akademią mewy szarpały martwą kawkę w czarnobiałym horrorze, który wystarczyłby na zaliczenie. Marty nie było, jej

talent się nie ujawniał. Czułem pot, kurz i wyziewy, kwaśny odór rzeki, przez chwilę zatęskniłem do pływalni przy Teatralnej, nadal nie wiem, za kim popłynąłem, ale nie za Martą, przepadło. Zajrzałem do włoskiej trattorii, może to ona chodzi po moich śladach? Wypiłem trzy limoncello z lodem, kwaśny smak nie ustąpił, ale nabrał cytrynowego składnika.

Wróciłem do zaciemnionego mieszkania, zbawienny chłód i szum bezwonnej klimatyzacji, otworzyłem szafę z jej ubraniem, niech się przewietrzy, jeszcze poza zasięgiem moli. Nie włączałem komputera, starym korespondentom nie mam nic do dodania, a na nowych mnie nie stać.

Po dwóch dniach wróciłem na Krupniczą po wynik kwerendy. Nie był imponujący, młodzież nie ma daru szukania. Właściwie wszystko, czego dowiedział się młodzieniec, to że jej telefon logował się trzy dni temu w Sopocie. W Sopocie? Na złość sobie przepowiedziałem morze. I jeszcze jedno. To było połączenie z tamtym numerem. Z tamtym? Z tym należącym do żartownisia złapanego poprzednim razem, producenta profili. (Może należało go oskarżyć?). On logował się w Gdyni.

Szkoda, że wcześniej nie zostawiłem im jej aparatu. Bo to ja go kupiłem? Zamontowaliby małą aplikację, która wysyła współrzędne nawet, gdy telefon jest wyłączony, mielibyśmy dokładną mapę. Aha, sprawdził jeszcze lotnisko i promy do Szwecji, przez trzy ostatnie dni tacy pasażerowie nie wyjeżdżali.

– Czy te dane nie są tajne? – wyrwało mi się bez sensu.

– Są, dlatego je mamy.

Gdybym wpadł za tydzień, to szef wróci z urlopu, może uda mu się coś więcej. Nie wątpię, ale wolałbym nie wracać pod kuratelę.

Wieczorem był samolot do Gdańska, nowy bombardier, pięćdziesiąt minut, ledwie zdążą rozlać herbatę i soki.

– Pomidorowy, bez przypraw.

Zatrzymałem się w hotelu w nowym centrum, zbudowanym przez producentów plastikowych okien. Z pokoju miałem widok na molo, molo w S., stały motyw na zdjęciach niedoszłych korespondentek, więc jednak tu trafiłem. Gdybym czuwał tu od świtu do zmierzchu, na pewno bym ich spotkał. Tylko po co? Po co tu przyjechałem? Już w samolocie chciałem

zawracać, czekałem na awarię. Niestety, leciał bez zarzutu, z wiatrem, i wylądował dziesięć minut przed czasem, lekko dotknąwszy ziemi.

Ale nie ma dramatu, bywają gorsze nieszczęścia, przejdę się po plaży, obejrzę setkę zadków, zjem smaczną rybę (w poniedziałek, zgodnie z diariuszem, jeśli wytrwam do poniedziałku). Poszedłem na nocny spacer, pierwszy rekonesans.

Nikt tu nie spał, kurort bezsenności, z oszukańczymi ogłoszeniami: noclegi. Z klubów wylewały się spazmatyczne dźwięki, od których tańczący dostawali drgawek. Na deptaku stały tłumy nastolatek ubranych nie kompletniej niż na plaży, były nawet podobne do Marty, miały łydki, lędźwie i uda, włosy opadające na ramiona, miały smukłe szyje czekające na porównania. A jednak nie wyobrażałem sobie Marty w tym towarzystwie, może brakuje mi wyobraźni.

W którejś grupie rozległ się brzęk butelki, jeszcze jedna słuczka na nieszczęście. Tłum zafalował, czymś szarpnięty, popchnięty, rozwarł się w połowie, na środek chodnika wypadły dwa koguty i zaczęła się walka, na razie niekrwawa. Odwróciłem się i poszedłem dalej, w stronę plaży, nie jestem pasjonatem walki kogutów. Stałem na wydmach i spojrzałem na zatokę, na wodzie pasma światła błyskały jak cynfolia. Niżej na piasku co kilkanaście metrów leżały splecione cienie i kopulowały, żaby na mojej drodze nad stawem. Nic tu po mnie, nie ma z kim spółkować, wróciłem do hotelu. W barze prostytutka niepodłączona do internetu kusiała mnie znad kieliszka z czymś lepkiem. Wypiłem nasenny armagnac i pożegnałem ją chłodno: Niestety, jestem zajęty, i nie podam numeru (dwieście jedenaście) pokoju.

Rano zjadłem śniadanie, przygotowane na wyrost, mógłbym zaprosić do stołu okolicznych głodnych. Kawa nie była dobra ani dość gorąca, musiałem zamówić osobną z innego ekspresu. Przejrzałem lokalne gazety wiszące w hallu, w rubryce: kto wie, kto widział, nie było zdjęcia Marty, mógłbym je tam zamieścić, dostałbym sto informacji od spostrzegawczych i jeszcze tuzin od jasno widzów. Wolałem jednak najpierw sam się rozejrzeć. Stałem w pokoju przy oknie, brakowało mi lornetki, do obserwacji ornitologicznych. Widziałem jasne pasmo ludzi na molo, z rozmytą twarzą, czasem

odróżniałem na niej ciemne okulary, jak u gąsiora dzierzby. Jestem krótkowidzem bez astygmatyzmu, który potrafi radować się na widok, musiałem zejść na parter, na poziom oczu. Na bulwarze wszystkie ławki były zajęte przez opalających się w kolejce po raka skóry, poszedłem wzdłuż brzegu pod słońce, morze, które powinno być na północy, tutaj jest na wschodzie. Naprzeciwko mnie szły matki z dziećmi, bezdietni narzeczeni, rozwodnicy nieprzyz nający się do ojcostwa, opalone kobiety bez ciąży, małżeństwa i związku partnerskie przeze mnie rejestrowane. Rozglądałem się za pustą ławką, aż w końcu dosiadłem się do emeryta, w cieniu, tak abym mógł zlustrować i tych, którzy szli gdzieś za mną. Nie, nie uważam, żeby było zbyt gorąco. Nie, nie idę sobie na urlopie na spacer.

Jak długo tak siedziałem, pół godziny, kwadrans? Zauważyłem ich, gdy wyszli z bocznej alejki, prawie prosto na nas. Odruchowo i ja przybrałem postać emeryta, zgarbiłem się i wcisnąłem głowę w ramiona, tamten prawowity odsunął się o pół metra, na sam koniec ławki, nie lubi przedrzeźniania. Kiedy odeszli na trzydzieści kroków, podwójnych, pewnych, szerokich, podniosłem się gwałtownie, jakby wstąpiła we mnie nowa energia, hartowana sprężyna. Emeryt zerknął w bok z niedowierzaniem, co takiego zażyłem, podniósł łokieć na wysokość twarzy, jakby chciał się osłonić. Coś mocniejszego od kokainy, bez pożegnania odszedłem, poprawiłem okulary, będą mi potrzebne.

Szli przede mną bezwiednie, bezkarni i bezwstydni, połączeni ramieniem założonym na ramię, chomąto zakochanych. On coś pokazywał na morzu, horyzont albo bryzę, ona przytakiwała, kręcąc ręką coś w powietrzu i zaraz poprawiając, choć przecież się rozwiało, przypomniałem sobie dawne korekty, rysunki, na których marzłem, znowu poczułem dreszcze.

Przystanęli przy stoisku z tandetą, globalne chińskie muszelki podsypane miejscowym piaskiem, przemysłowo wyślizgane korzenie, plastikowe bursztyny, musiałem skrócić na wydmy i udawać sikanie, udawanie jest zaraźliwe. Ona coś przymierzała, widziałem jej pilne palce szukające zapinki na karku, na przegubie brakowało zegarka, już nam nie sekunduje. On zapłacił, przepłacając o całą sumę, nie ja będę im liczył wydatki, ale zbankrutują.

Poszli prosto przed siebie, niespiesznie, prowokacyjnie, noga za nogą w nonszalanckich kłapkach i sandałach, musiałem znowu zwolnić, ich łokcie układały się w strzałki celujące we mnie, wytykali mnie łokciami, odruchowo przesunąłem się w prawo, aby zejść z linii strzału, usłyszałem jeszcze dzwonek, za późno, bo w tej samej chwili poczułem uderzenie, rower odbił się od barku i pojechał dalej, zrobiłem dwa piruety, poczułem prąd w ramieniu i dławiący paraliż, okulary gdzieś po szybowały i wylądowały twardo na kamieniach, pod niosłem je pełen obaw, ale były całe, założyłem je, zobaczyłem ich daleko, szli nadal niewzruszeni, jakby ich to nie dotyczyło, obojętni perypatetycy, mógłbyś paść trupem, a przeszliby po trupie lekkim krokiem hieny. W kącie lewego oka dostrzegłem skośną ryse, jakby włos dostał się do projektora. Tkwił tam na dobre, nie dawał się usunąć, odtąd będę widział wszystko zarysowane skosem. Szybko skracałem dystans, lekko utykając, wyścig albo spacer na dochodzenie, wyprzedzałem maruderów, którzy szli bez celu, bezpieczni, niewidzeni przez nikogo. Klasa szkolna, idąca prostopadle, od morza w głąb lądu, przecięła mi drogę, musiałem ich przepuścić, młodzież ma pierwszeństwo, choć więcej czasu przed sobą. Szli, błaznując i ociągając się, pewni swego pochodzenia. Znow się oddaliłem i znow skracałem dystans, wyprzedzając rozlazły peleton, niezdyscyplinowany, bez szans na zwycięstwo. Na szlaku, gdzie bez wieści giną tancerki wracające z dyskotek, odnalazłem Martę, już nie spuszcza jej z oka, niech nas rejestrują kamery. Teraz oddzieliła się od niego, wyswobodziła, wskoczyła na krawężnik i szła po równoważni, podtrzymując powietrze rękami. Przeskoczyła na murek, a potem na skarpe, ani na sekundę nie tracąc pionu, jakby miała żyroskop zamiast kręgosłupa, okręciła się wokół latarni, dwa razy, i wróciła do pary.

Co kilkadziesiąt metrów wejścia na plażę posuwały się o numer w górę, ale co chwilę na wydmach między nimi pojawiali się nadliczbowi koczownicy, nielegalni, nieujęci w rachubę. Oni też skusili się na zabronione przejście, skręcili na zrazu wydeptany przesmyk, który wkrótce ginął jednak w piachu, piachu nie udepczesz, nadal szedłem za nimi, ale nie po śladach. Gdyby teraz zginęli, zapadli się w wydmy, roztopili w kwarcu, jak szkło przezroczyści, nikt by się nie upomniał i tylko ten obraz w moich okularach,

z rysą w lewym kącie, pozostałby prawomocny.

Ale nie zginęli, wyszli z traw na wydmach, nieokaleczeni, zbiegli do wody, z chlupotem, po chwili przemokli, Marta straciła równowagę – przestał działać żyroskop – i odeszła od pionu, usiadła na fali, fale są poziome, piana zatarła jej kontury, on przewrócił się obok i leżeli teraz jak topielcy, przydałby się ratownik, narażeni na infekcję i przeziębienie. Usiadłem na suchym pisaku, w bezpiecznej odległości, poczekam, aż przemarzną.

Marta ściągnęła podkoszulek, i tak już przezroczysty, z trudem rozpoznawałem jej piersi, wyżeła go w powietrzu, woda dołączyła do wody. Po chwili poszli dalej, balansując na linii fal, uciekając przed nimi, tanecznym lekkim krokiem niczego nieświadomych. Mnie odwrotnie, szło się coraz ciężiej, miałem tonę piasku w butach i mamucie nogi. W końcu jakoś dobrnęliśmy do chodnika z desek przerzuconego przez plażę.

Marta otrząpywała mokre stopy, poczułem nieprzyjemne skrzywienie, piasek jest wścibski, uparty jak egzema, nagle podskoczyła, drzazga dostała się pod paznokieć, skacząc na jednej nodze, próbowała ja wyjąć, tu trzeba by pęsety, może nawet igły, i pewnej stabilnej ręki, którą mogłem podać. Poszła dalej, nieco utykając, czułem jej nierówny krok, jakbyśmy tańczyli nie do taktu, inne tańce, wbrew sobie.

Dotarliśmy do baru Przystań, zatrzymali się, zgodnie z zaleceniem. On stanął w kolejce i wybierał ryby, przepuściłem kilku głodnych i podszedłem do lady. Śledzie kitwały się w zalewach, idealnie równe chińskie węgorze, hodowane w rurach, leżały równolegle niczym żebra kaloryfera. Nie byłem wcale głodny, hotelowe śniadania wystarczą do kolacji, ale przez grzeczność zamówiłem białą kergulene smażoną bez tłuszczu i piwo dla kierowców, wprawdzie to oni prowadzili, byłem pasażerem, ale role za chwilę mogą się odwrócić.

Ledwie uszczknąłem, nie smakowała niczym, nicość oceanu. Nalałem sobie piwa, było od razu zwietrzałe, jak po wczorajszej bibie. Czekałem nad pełnym stygnącym talerzem na dogodny moment. Ktoś poprosił o sól z mojego stołu, proszę, nie zjem niesolonego. Było cicho, telewizor zawieszony w głębi sali miał wyłączoną fonię, a ryby odbierały chęć

rozmów, tylko sztucze stukały o porcelanę jak w szkolnej stołówce. Po kwadransie, kiedy na talerzu został mu tylko kręgosłup najeżony ośmi, wstał, minął mnie i zniknął w toalecie.

Podniosłem się i podszedłem do Marty od tyłu, położyłem jej rękę na ramieniu, na mokrym podkoszulku, kto wie, czy nie moim. Szarpnęła i odwróciła głowę: to nie była Marta.

– Czego – syknęła – czego pan chce ode mnie?

Niczego, już niczego, przeprosiłem, wyszedłem, zanim tamten wrócił.

Wieczorem siedziałem już w samolocie. Zachód był jak należy, pomarańczowy, i domagał się opisu z detalami, których nie udzielię.

W domu w skrzynce czekało wezwanie z prokuratury, nieczytelnie, niechlujnie wypełnione, nie potwierdziłem odbioru, listonosz i tak wkłada. W charakterze świadka, ale charakter, wiadomo, może się zmienić. Ich niedoczekanie, każdy sąd uzna je za niedoręczone, zresztą sądy też mnie nie interesują.

W poniedziałek pół dnia spędziłem u notariusza. Tutaj wszystko musi być uwierzytelnione, wypełnione starannie, aby żaden sąd nie podważył. Będzie miała trochę biegania, adwokat jej pomoże.

Napisałem też list do firmy pogrzebowej, załączyłem czek, klucze i instrukcje, dokładne, z numerem kwatery. Niewykłuczone, że trochę przepłaciłem. Wracając z poczty, zjadłem porządny obiad we włoskiej trattorii, tagliatelle z kurkami i barbaresco lekko chłodne, leki na pusty żołądek szkodzą.

Sformatowałem dyski w obu komputerach, lepiej nie oddawać ich prokuraturze. Telefon zostawiłem w kieszeni, może zadzwoni nekrofil. Wyrzuciłem śmieci i resztki jedzenia, niech nie pleśnieje. Podlałem wszystkie kwiatki, kto wie, czy nie przetrwają.

Ubrałem się w garnitur najzupełniej wyjściowy, nie będą mnie przebierać. Na stoliku nocnym postawiłem szklanekę wody. Otworzyłem szufladkę, zaszeleściło. Miałem spory zapas, pół miasta by zasnęło.